

LYNN MICHAELS
WĘWNĘTRZNE SWIATŁO

ROZDZIAŁ

1

Nowy Jork VI listopada to najgorsze miejsce, do jakiego można było wrócić. Tak przynajmniej pomyślał Richard Parker-Harris, kiedy wysiadł z taksówki i stanął przed domem swojej babki.

Choć było bardzo wątpliwe, aby w tym zagraconym bibelotami domu oczekiwała go jeszcze jakaś część przeszłości, Richard po prostu nie miał dokąd iść. Jeżeli będzie miał trochę szczęścia, babka nie spyta o Alfredę, a jeśli zdążyła już wypić swojego pierwszego drinka, to może nawet nie będzie pamiętała o istnieniu jego narzeczonej.

Byłej narzeczonej, poprawił się, naciskając dzwonek. Wciąż jednak nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli babka spyta go o Alfredę. Może rzuci wszystko, ucieknie i zaciągnie się do wojska, najlepiej do marynarki. Jednego' tylko był pewien -

nie będzie płakał. Przez całe cholerne życie nigdy nie zdarzyło mu się płakać. /

. Drzwi otworzył Devlin, ubrany jak zwykle w białą marynarkę, czarne spodnie i nienagannie zawiązany krawat. Richard omal nie upuścił walizki na .widok postarzałej twarzy służącego.

- Dzień dobry, Devlin - powiedział. Twarz lokaja zmarszczyła się w uśmiechu.

- Pan Richard! Co za niespodzianka!' Proszę, proszę.

Richard wszedł za służącym do holu i postawił walizkę na mozaikowej, kamiennej posadzce. Mahoniowe boazerie jak zawsze pachniały woskiem, a grube wełniane dywany'kulkami na mole.

- Gdzie ona jest?

Ku własnemu zaskoczeniu odezwał się przyciszonym głosem. Jego babka była jedyną osobą w tym domu, której wolno było mówić głośno. Boże, jak trudno uwolnić się od starych nawyków, pomyślał.

- Pani Barton,.Forbes nie ma w domu - odpowiedział Devlin, zamykając ostatni zamek. - Wyjechała razem z pańską'ciotką, panią Agie, do Las Vegas.

Nieobecność babki sprawiła Richardowi taką ulgę, że nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Podał służącemu płaszcz i przez moment zastanawiał się, czy staruszek da sobie z nim radę. Devlin zdołał jednak jakoś założyć płaszcz na wieszak i umieścić w szafie.^c

- Jeśli pan sobie życzy, to możemy zadzwonić do pani - odezwał się, zamykając drzwi. - Zostawiła mi numer telefonu.

- Nie będziemy jej psuć zabawy. Kiedy zamierza wrócić?

Devlin spojrzał na niego porozumiewawczo.

- Pani powiedziała, że będzie dwudziestego piątego. To za trzy dni. Pański pokój jak zwykle czeka na pana. Tak jak pani sobie tego życzy.

- Wiem, dziękuję. .

Staruszek schylił się i z wysiłkiem uniósł walizkę.

Richard wyjął mu ją z ręki.

- Czy kucharka jeszcze... .

- Żyje? -. Lokaj uśmiechnął się do Richarda. - Tak, . proszę pana. Czy życzy pan sobie kolację o siódmej?

Richard spojrzał mu w oczy. Błękitne źrenice lokaja przesłaniała delikatna mgiełka. Devlin ma kataraktę, uświadomił sobie Richard. I pomimo to pewnie prowadzi rollsa. Czy babka zdaje sobie z tego sprawę? . I czy w ogóle

ma to dla niej jakieś znaczenie?

- Siódma będzie w sam raz, Devlin. Trafię do swojego pokoju.

- Jak pan sobie życzy. - Służący skinął głową i dorzucił: - Witamy w domu, proszę pana.

- Dziękuję. Miło być z powrotem w domu - dodał, choć wcale tak nie myślał.

. Nie może tu zostać. Wiedział to, zanim jeszcze otworzył drzwi do swojego pokoju, ale widok starannie zasłanego łóżka jeszcze utwierdził go w tym przekonaniu. Ilekroć opuszczał dom przy Gramercy Park, zawsze słyszał od swojej babki zapewnienie: . "Twój pokój będzie na ciebie czekał".

Kiedy wybiegł ostatnio, przed ośmiu laty, żeby zdążyć na taksówkę, która go miała zawieźć na lotnisko, krzyknęła za nim to samo. Przysięgał sobie wtedy, że nigdy więcej tu nie wróci i oto był z powrotem.

Ilekroć nie mógł dłużej wytrzymać z ojcem w Foxglove lub gdy nie mógł znieść obojętności, z jaką traktowała go matka, tylekroć przypominał sobie o swoim pokoju u babki i wracał do tego starego, wielkiego domu.

Drink, pomyślał, to było to, czego mi trzeba.

Wiedział, gdzie babka trzyma whisky. Udał się prosto do

biblioteki i bez wahania sięgnął za oprawny w skórę tom "Raju utraconego". Po raz pierwszy odkrył to miejsce i doświadczył, co to znaczy mieć kaca, w wieku dwunastu lat.

Dolał do whisky wody sodowej i opróżnił szklanek dwoma łykami. Był to pierwszy drink od chwili, gdy przyjął z powrotem swój pierścion zaręczynowy. Trudniej byłoby policzyć drinki, które wypił od chwili, gdy zastał ją nagą, dyszącą ciężko w objęciach Phillipa Quigleya, wicehrabiego Avenel, na sianie w boksie jej ukochanej kasztanki Sereny.

Nikt z gości zebranych na przyjęciu zaręczynowym w pałacu lorda A very nie zauważył zniknięcia Richarda. Ani jego matka, lady Simpson, ani jej. drugi mąż; sir Freddie, ani rodzice Alfredy, ani żaden z ich obrzydliwie bogatych i bezmyślnych przyjaciół. Zapewne, pomyślał Richard; świętowali dalej zaręczyny Alfredy, -tyle, że teraz były to zaręczyny z Quigleyem, co zapewne nikomu nie robiło żadnej różnicy.

Stajnia była świetnym miejscem, aby przyprawić Richardowi rogi. Alfreda wiedziała, że nienawidzi koni. Zapamiętała minę, jaką zrobił kiedyś, gdy zaproponowała mu, aby kochali się w boksie Sereny. "Tam jest naprawdę mnóstwo miejsca, kochanie. Serena nawet nie zauważy."

Miała rację, klacz najspokojniej w świecie przeżuwała siano, podczas gdy Richard stał jak skamieniały, słuchając westchnień swojej narzeczonej. Potem poszedł do pałacu i upił się jak idiota.

Teraz w równie idiotyczny sposób upijał się w bibliotece babki. Może przydałaby mu się rozrywka? Może powinien wsiąść w samolot i polecieć do Vegas? Widok babki grającej razem z ciotką Agie w ruletkę mógłby go rozbawić do łez.

Nie, wyjazd do Vegas nie jest najlepszym pomysłem. Miał już zdecydowanie dość latania i przenoszenia się w ciągu paru godzin z jednego końca świata na drugi. Richard potarł nos, w miejscu, gdzie przed laty złamała go Susan Cade, ta potworna kuzynka jego przyrodniej siostry, Meredith, i zdecydował się poprzestać na razie na kolejnym drinku.

Po czterech godzinach i tyłuż szklankach whisky z wodą sodową, Richard leżał rozciągnięty na kanapie mrugając oczami boleśnie podrażnionymi od nieustannego noszenia szkieł kontaktowych. Obok niego, na dywanie waląca się pusta butelka.

. Uniósł dłoń do oczu. Kiedy przycisnął palcami powieki, doznał szoku. Miał mokre rzęsy! Nagle wytrzeźwiał, zerwał się z kanapy i podszedł do zawieszzonego nad

kominkiem lustra. Rzeczywiście, jego brązowe oczy były pełne łez. Pozostawało tylko pytanie: naprawdę płakał czy po prostu za długo nosił szkła kontaktowe?

Usiłował sobie przypomnieć, o czym właściwie myślał. Nerwowo przyglądał zmierzwił jasne włosy, usiłując się skupić. Niech to cholera! Pierwszy raz w życiu płakał i był tak pijany, że sam nie wiedział dlaczego!

To było niesprawiedliwe. Wszyscy dookoła płakali. Nawet Alfreda płakała. w chwili, gdy oddawała mu pierścionek. Dlaczego on jeden tego nie potrafił?

Przypomniał sobie swoją część spuścizny *po* dziadku, którą tak bezsensownie przepuścił .na *tę* dziwkę. Bizuteria, stroje; samochody, trzydzieści tysięcy funtów za *tę* cholerną Serenę. Na myśl o takiej forsie każdy wybuchnąłby płaczem. Dla niego nie był to jednak powód do rozpacz. Tym, co go naprawdę bolało, było zranione ego ..

Kiedy sobie to uświadomił, poczuł się tak, jakby ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody. Mgła wywołana wypiciem butelki whisky rozproszyła się bez śladu. Tak naprawdę zależało mu przede wszystkim na zdobyciu uznania ojca. Odkąd oznajmił Richardowi Parkerowi-Harrisowi seniorowi, że 'wejdzie do jednej z najlepszych, arystokratycznych rodzin

Anglii, ich stosunki stały się wyraźnie cieplejsze.

"Moja krew", oświadczył ojciec z dumą. Ciekawe, co powiedziałby teraz, gdyby usłyszał, że Alfreda przyprawiła mi rogi, dlatego że nie chciałem iść z nią na siano? - pomyślał Richard. Właściwie, czemu by tego nie sprawdzić, przyszło mu do głowy, i bez wahania wykręcił numer do Foxglove.

Gdy czekał, aż ktoś ze służby podniesie słuchawkę, postanowił powiedzieć ojcu, że jest bez grosza. Na wieść o tym senior na pewno wpadnie w furję i wydziedziczy syna, a Richard wreszcie będzie miał prawdziwy powód do płaczu.

Słuchawkę podniosła gospodyni, pani Clark.

- Halo, pani Oark, tu Richard. Mogę prosić ojca?

- Och,. Richard! Ojciec i pani Bea wyjechali dzisiaj rano na aukcję jednoroczniaków do Marylandu. Jaka szkoda!

Dzwonisz aż z;An.g1ii i mijasz się z nimi o włos!

- Jestem w Nowym Jorku, pani Clark. U babki.

- Czy Alfreda jest z "tobą? Czy chcesz z nią tu przyjechać, pokazać jej ranczo? O Boże! Może mogłabym... .

- Jestem sam. Alfreda zerwała zaręczyny. Wracam na 'lobre do domu.

żebym jeszcze wiedział, gdzie jest ten dom, pomyślał.

- Och! - W głosie pani Clark brzmiała nuta prawdziwego

żalu. - A czy dostałeś zaproszenie, Richie?

- Jakie zaproszenie?

- No, zaproszenie na ślub panny Meredith.

- Nie. Nawet nie miałem pojęcia, że ona jest
zareczona.

- No tak. T o wszystko wydarzyło się już po twoim wyjeździe do' Anglii. Panna Susan i panna Meredith przeniosły się do Santa Barbara i tam panna Susan skończyła weterynarię. Potem pojechały do Kalifornii, żeby panna Meredith mogła być razem z panem Luke'em.

- Luke. - Richard powtórzył głośno imię, ale to nic nie dało.

- Kto to jest Luke, pani Clark?

- Pamiętasz syna Setha Hardina, Richie? Przyjeżdżał razem z ojcem w sezonie polowania na lisy.

- Coś mi świta - mruknął Richard, ale naprawdę . był jeszcze ciągle zbyt pijany, żeby przypomnieć sobie cokolwiek poza tym, że Susan zawsze marzyła, by leczyć zwierzęta. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat to utkwilo mu w głowie.

- Chyba zadzwonię do Meredith z życzeniami

- powiedział w końcu. - Ma pani jej numer?

..: Oczywiście. Masz długopis?

- Tak. - Richard wyciągnął z kieszeni długopis i zapisał

numer.

- Dziękuję, pani Clark. Proszę powiedzieć ojcu, że dzwoniłem.

- Przy pierwszej okazji. Naprawdę przykro mi, chłopcze, z powodu Alfredy.

- Dziękuję, pani Clark.

Odłożył słuchawkę i wpatrywał się w zapisany na kartce numer. Meredith wychodzi za mąż. Meredith, ta drobna blondynka, która spędzała całe dnie, jeżdżąc konno po polach i lasach w okolicy Foxglove. Trudno mu było uwierzyć w to, co usłyszał, choć z drugiej strony cóż w tym dziwnego. Meredith była równie inteligentna i ładna, jak jej matka, Bea.

Richard wyciągnął rękę w kierunku słuchawki, ale zatrzymał się, poruszony nowymi wspomnieniami. Dokuczanie przyrodniej siostrze i jej kuzynce, Susan, było przez dłuższy czas jego ulubionym zajęciem i jednym z niewielu, które mu naprawdę świetnie szło.

Postanowił, że zanim porozmawia z Meredith, wypije jeszcze jednego drinka. W chwili gdy wstał od stolika, zadzwonił telefon.

..... Halo?

- Dickie, co ty, do diabła, robisz? - w słuchawce rozległ się

władczy głos lady Glorii Simpson. - Alfreda nie chce wyjść z pokoju, zepsułeś własne przyjęcie zaręczynowe!

- Jeżeli drzwi do pokoju Alfredy są zamknięte, to znaczy, że jest z nią, Quigley.

- Głupcze, z powodu niewinnego flirtu ...

- Oddała mi pierścionek. . .

- Zabrałeś go?

- Oczywiście, że go zabrałem. A potem sam się zabrałem na lotnisko Heathrow.

- Ty. idioto! Jesteś kompletnie pijany. Daj mi mamę.

-Babcia też musi być już zalana. W Vegas jest teraz trzecia nad ranem.

- A co ona tam znów robi?

- Puszczą na ruletce twój spadek, mam nadzieję~

- Niech ją diabli!

- No trudno, mamó. Sama widzisz, że nie wszystko w życiu układa się tak, jakbyśmy chcieli.

Richard odłożył słuchawkę i podszedł do półki z książkami. Następna butelka kryła się za opasłym grzbietem "Toma Jonesa". Pociągając prosto z butelki, Richard przeszedł do salonu i usiadł na taborecie przed fortepianem. Uniósł wieko, odstawił butelkę na podłogę i przeciągnął palcami po

klawiszach. Potem zaczął grać swoje ulubione melodie, głównie te, których nauczyła go Bea.

Spędziła z nim niejedno popołudnie przy fortepianie, podczas gdy inni: Richard senior" Meredith, Susan, a przypuszczalnie także Luke, syn Setha Hardina, uganiali się po polach za lisami. Palce Richarda potykały się chwilami, ale gdy był trzeźwy, ciągle jeszcze potrafił całkiem nieźle zagrać piosenki Cole Portera czy Sammy Cahna. Miał ręce stworzone do fortepianu, mówiła mu Bea.

Czasem wieczorami dawał się namówić i grali razem ojcu. Wspomnienie tej udręki sprawiło, że dalsze pokonywanie klawiszy przychodziło mu z coraz większym trudem. Jego dłonie przestały być opanowanymi, zadbanymi dłońmi dorosłego mężczyzny. Znowu były niezgrabn~i rękami małego przerażonego chłopca, z boleśnie poobgryzanymi paznokciami.

Niezależnie od tego jak się starali, Parker-Harris senior i tak prędzej czy później wstawał z kanapy i przechodził na leżący przed kominkiem dywan, na którym siedziały Meredith i Susan pogrążone w marzeniach o wspólnej stadninie koni. Richard świetnie pamiętał wyraz wściekłości i bólu, jaki pojawiał się

wtedy na twarzy żony jego ojca. .

Pomyślał, że w jakiś sposób zawsze będzie kochał Beę za to, co robiła, aby doprowadzić do zbliżenia między nim i ojcem. Z drugiej strony, zapewne nigdy nie wybaczy jej tego, że sprowadziła do Foxglove swoją siostrzenicę, Susan Cade. Richard miał niemal piętnaście lat, gdy pewnego dnia pojawiła się na ranchu dwunastoletnia, brudna i nieokrzesana dziewczynka z jakiejś zapadłej miejsciny w Oklahomie.

Jej ojciec, wiecznie pijany trener koni, Loren Cade, błagał Beę, żeby wzięła małą i "zrobiła z niej prawdziwą damę, taką jaką była jej mamusia". Susan była wrażliwa jak wszyscy diabli, zwariowana na punkcie dobrego traktowania koni, i w rezultacie zaraz po przyjeździe złamała Richardowi nos.

Wszystko przez ostrogi. Parker-Harris senior kazał chłopcu założyć ostrogi, żeby wreszcie oduczył starego, złośliwego ogiera, Valianta, odwracania łba i gryzienia go w kolana. Susan nie miała o tym pojęcia i gdy zobaczyła, jak Richard wbija ostrogi w koński brzuch, bez namysłu trzasnęła go pejczem w twarz. Uwolniony od ciężaru jeźdźca Valiant radośnie pogalopował do stajni, podczas gdy chłopak z twarzą zalaną krwią wracał, chwiejąc się na siodle Meredith.

"Dziewucha!" - wrzeszczał ojciec, wioząc go do szpitala -

"ta cholerna dziewczucha rozbija ci twój cholerny nos, a ty na to pozwalasz!"

Następnego dnia Richard wyjechał prosto do Nowego Jorku. Z powrotem do wielkiego, zimnego domu przy Gramercy Park. Do domu, do którego zawsze prędzej lub później musiał wrócić, żeby leżeć tak jak w tej chwili, z twarzą schowaną przed całym światem w zgięciu ramienia.

Nie miał pojęcia o tym, że usnął i zaczął chrapać, a z kącika jego oka wypłynęła samotna łza i stoczyła się na klawisze fortepianu.

ROZDZIAŁ

2

Nieprzerwane, fałszywie brzmiące brzęczenie pianina urwało się w chwili, gdy doktor Susan Cade położyła dłoń na klamce drzwi boksu. Nastąpiło to tak nagie, że mimowolnie cofnęła rękę.

Niech to cholera, pomyślała, ale poczuła ulgę. Drażniące bębnienie rozpoczęło się dwadzieścia minut

wcześniej, gdy siadała za kierownicą samochodu, by podjechać do stajni.

- Masz stracha? - Luke Hardin spojrzał jej w twarz i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Może przyznasz się wreszcie do porażki?

- Nie licz na to. - Susan odpowiedziała uśmiechem i położyła z powrotem dłoń na klamce. - W dniu, w którym stchórzę przed Szatanem, wrócę do domu i spalę swój dyplom weterynarza.

N a dźwięk swego imienia Szatan odpowiedział krótkim rzeniem. Chociaż pysk zwierzęcia pokrywała już siwizna, nikt, nawet Luke, który odziedziczył stajnie Roundhouse po ojcu, nie wiedział, ile właściwie zwierzę ma lat. Susan, oceniając po zębach, dawała mu jakieś siedemnaście. Kiedy uchyliła furtkę, Szatan położył uszy po sobie.

- No cóż, Suz. Może właśnie dziś wybiła twoja godzina.

- Chciałbyś - powiedziała i mijając Luke'a, weszła do boksu.

- Założymy się?

Nie wyjmując rąk z kieszeni, Susan spojrzała Luke'owi w oczy i uśmiechnęła się. - Jeśli chcesz.

- Dam półtora dolara.

- Też mi zakład. Uważasz, że nie warto dać więcej

za wyciągnięcie tego chplerstwa, które utkwilo w kopycie Szatana?

- Ani centa więcej. - Luke wyjął z kieszeni zegarek.
- Nie zajmie ci to nawet pięciu minut.
- Chyba że masz zamiar mi przeszkadzać. Założmy się o Lady.

Na dźwięk swego imienia dwuletnia kasztanka wysunęła łeb zza ogrodzenia boksu i zastrzygła uszami. Susan z przyjemnością popatrzyła na delikatnie wykrojone uszy i nozdrza klaczy.

- ' W życiu się o nią nie założę i świetnie o tym wiesz - odparł Luke, uśmiechając się szeroko. - Ale muszę przyznać, że cenię wasze przywiązanie do tego stworzenia. Meredith cały czas ma nadzieję, że naciągnie mnie, żebym dał jej Lady w prezencie ślubnym.

- No to powinna się postarać. Został już tylko miesiąc do ślubu.

- Nie musisz mi przypominać. No i co z zakładem? Półtora do lca, Suz.

- Niech będzie, Hardin.

Susan odwróciła się w stronę Szatana. KUI(zarżał ostrzegawczo i utkwil w niej spojrzenie. Lewe tylne kopyto

unosilo się lekko nad sianem.

-Ma pani nerwy - odezwał się stajenny, Paulie O'Gilbert. -
Ja bym go nie tknął nawet za sto pięć-
dziesiąt dołców.

Bandaż na ramieniu chłopaka świetnie tłumaczył jego respekt.
Ukąszenie było jedynym wyrazem wdzię CznOSCl za próbę
wyciągnięcia czegoś, co utkwilo w kopycie Szatana.

- Jaki będzie z ciebie dżokej, jeśli nie możesz sobie poradzić
z szetlandzkim kucem?

- Szatan to naprawdę wcielony diabeł - odpowiedział za
stajennego Luke.

- I ma zęby jak rekin - dodał zawstydzony chłopak.

- Tak - dorzucił Luke. - Gdyby Lady tak go nie
lubiła, już dawno poszedłby na karmę dla psów.

Susan świetnie wiedziała, że Luke jest ostatnim
człowiekiem, który byłby w stanie skazać złośliwego kuca na
śmierć. Był do niego równie przywiązany, jak Szatan do
Lady.

- Nie ma się o co obrażać, Paulie. - Susan uśmiechnęła się
do chłopaka. - Ciagle zapominam, że nie potrafisz rozumieć
koni tak jak ja.

Paulie wyszczerzył zęby. - Jasne, pani

doktor.

- Naprawdę jest tak, jak mówię, Paulie. Potrafię się z nimi porozumieć.

- A ja naprawdę pani wierzę.

- Tylko się przyjrzyj, niedowiarku. - Susan odwróciła się z powrotem do kuca. - Szatan i ja świetnie się rozumiemy, prawda, Szatan?

Szatan zmierzył ją bolesnym spojrzeniem.

- Zmęczyło cię już stanie na trzech nogach, co? Kuc położył po sobie uszy, potrząsnął łbem i zarżał" cicho.

- Gadanie. - Susan powoli przesuwała się w stronę zwierzęcia. - Wiem, że naprawdę cię to boli, stary.

Szatan wpatrywał się w nią uważnie, a gdy znalazła się tuż koło niego, zarżał przeciągle.

- Tak? - Susan położyła dłoń na pysku zwierzęcia.

- Tylko spróbuj mnie ugryźć, to zobaczysz, odpłacę ci tym samym.

- Uwielbiam patrzeć, jak doktor sobie z nimi radzi ..
- Paulie zeskoczył z ogrodzenia oddzielającego boks Lady i stanął obok Hardina. - Ona naprawdę sprawia wrażenie, jakby z nim! rozmawiała.

- A skąd wiesz, że tego nie robi?

- Niech pan nie żartuje, szefie - odpowiedział chłopak i zwrócił spojrzenie w stronę Susano

Dziewczyna powoli przesuwiała się wzdłuż kuca, nieustannie głaszcząc go po grzbiecie. Czuła drżenie jego mięśni i nie miała wątpliwości, że zwierzę musi być naprawdę udrećzone bólem.

- Taki stary i taki głupi. - Powoli przesuwiała ręką po nodze zwierzęcia, zmierzając w stronę kopyta. - Gdybyś pozwolił chłopcu, żeby ci pomógł, to nie byłbyś teraz taki wściekły.

Kuc zarżał cicho, ale stał spokojnie. Susan pochyliła się i uniosła do góry zranione kopyto.

Z drzwi stajni widać było w tej chwili zgrabną sylwetkę dziewczyny w dopasowanych niebieskich dżinsach. Kiedy wyciągnęła z kieszeni szczypce i pochyliła się jeszcze niżej, Luke Hardin, jak na dżentelmena przystało, odwrócił oczy. Tym, co ujrzał, była wsparta na rękę, rozmarzona twarz chłopca.

- To mi się naprawdę podoba - mruknął Paulie. Luke szturchnął go w łokieć, wytrącając mu podporę ~od brody, i wskazał drzwi.

- Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

- A pan zostanie, tak?

- Ja tu jestem szefem.

_Odwrócił się w stronę dziewczyny w chwili, gdy właśnie się prostowała. Kuc ostrożnie stawiał nogę na sianie. Susan poklepała go jeszcze raz po grzbiecie i wyciągnęła rękę w stronę Luke'a.

- No i po wszystkim. - Schowała szczypcę do kieszeni i wskazała na niewielki błyszczący przedmiot. - Kapsel od butelki.

Kuc położył po sobie uszy i odsłonił zęby. Zanim Luke zdążył otworzyć usta, żeby ją ostrzec, Susan odwróciła się błyskawicznie i uszczypnęła zwierzę w ucho. Mocny uścisk zmusił Szatana do odwrócenia łba i nie pozwolił mu ugryźć Susano

. - Oj nieładnie, nieładnie! - Susan pomachała mu przed nosem kawałkiem blachy wydobytym z kopyta. - Zobaczysz, jak będziesz taki, to wcisnę ten kapsel tam, gdzie był:

Puściła Szatana, który zarżał donośnie, odwrócił się tyłem,

jakby chcąc dać wyraz swojej złości.

- To tylko o to chodzi, Paulie - powiedziała Susan, wychodząc z boksu Szatana. - Zwierzę musi wiedzieć, kto tu jest panem.

- Łatwo pani mówić - odpowiedział chłopak tonem powątpiewania i podrapał się po głowie. - Mam wprowadzić Lady do Szatana, szefie?

- Co ty na to, Suz?

.- Jasne. - Susan pogładziła klacz po aksamitnych nozdrzach. - Niech się sama przekona, że nic mu nie jest.

Zdjęła kurtkę z barierki i cofnęła się o krok. Patilie podniósł przegrodę i wprowadził Lady do boksu, który dzieliła ze złośliwym kucem. Lady pochyliła się nad Szatanem, sięgając do swojego żłobu, kuc natomiast, nie zwracając na nią żadnej uwagi, skubał siano.

- Cwaniak - powiedział Luke, wziął Susan pod ramię i poprowadził w stronę wyjścia.

- ,Wiesz, skarbie - uśmiechnęła się do niego promiennie - ich widok przypomina mi Meredith i ciebie. - Bardzo śmieszne, Susan - odpowiedział z kwaśnąmą.

Susan roześmiała się, przerzucając kurtkę przez ramię. Na dźwięk jej głosu zza przegród kolejnych boksów wysuwały

się zgrabne końskie pyski. Zwierzę ta strzygły uszami i węszyły; wyciągając szyje, aby Susan poklepała je albo pogładziła.

- Ciekaw jestem, co by powiedział Paulie, gdyby wiedział, że ty naprawdę z nimi rozmawia~z?

- Nic dobrego, pewnie zmawiałby na mój widok pacierzalbo zacząłby nosić naszyjnik z żąbkówczosnku, jakbym była wampirem.

_ - Nie martw się, Suz. Nie mam zamiaru mu mówić.

- Nie robię z tego tajemnicy - odpowiedziała - ale też nie chcę, żeby ludzie patrzyli na mnie jak na wariatkę.

- Nikt nie patrzy na ciebie jak na wariatkę, w każdym razie nie ja - powiedział, uchylając przed nią drzwi stajni.

- To dlatego, że usłyszałeś o tym od Meredith. Uwierzyłyś we wszystko, co powiedziałyby ci jej słodkie usteczka - odparła Susan, wychodząc na zewnątrz.

- To prawda - przyznał Luke bez oporu, kiedy znaleźli się na dworze. - Ale to naprawdę pozwala zrozumieć różne rzeczy, które potrafisz zrobić. Odkąd zobaczyłem, jak uspokajasz oszalałego z bólu ogiera, kładąc mu rękę na pysku, nie mam_ wątpliwości, że rzeczywiście

m_asz jakąś przedziwną władzę nad zwierzętami.

Susan wzruszyła ramionami i zadrzała. Powoli nadchodził wieczór, słońce chowało się za horyzontem. Nie było jeszcze naprawdę zimno, ale po wyjściu z rozgrzanej stajni czuło się w powietrzu zapowiedź chłodu. Susan wiedziała, że nie wszyscy lubią ten rodzaj ciepła, jaki przepelnia pomieszczenie pełne zwierząt, jej jednak dawało zawsze poczucie bezpieczeństwa i pewności, którego tak często brakowało między ludźmi.

- Takie są zalety posiadania zdolności telepatycznych - odparła, spoglądając na niebo i zastanawiając się, czy będzie padać. - Gorzej, że wielu ludzi patrzy na mnie tak, jakby mieli do czynienia z czarownicą, która lada chwila poprzemienia ich w żaby.

- Więc dlaczego sama żartujesz sobie z tego, tak jak teraz z Pauliem?

- T o tak jak z wielkim nosem - - odpowiedziała i wyciągnęła z kieszeni kluczyki do samochodu. - Jeżeli sam z niego żartujesz, ludzie nie będą zwracać uwagi.

Rano umyła samochód. A teraz zanosilo się na deszcz, niewykluczone więc, że będzie musiała go myć jeszcze raz. Jej zdolności telepatyczne ograniczały się,

niestety, tylko do porozumienia z końmi. J

- Cieszę się, że nie potrafisz czytać w moich myślach. -
Luke przytrzymał drzwi, podczas gdy Susan wsiadała do samochodu. - Nie mógłbym wtedy mieć żadnych sekretów przed Meredith.

- I tak masz ich niewiele. - Susan siadła za kierownicą i wsunęła kluczyk do stacyjki. - Choć sędzę, że mogłabym zarobić parę groszy, straszając cię, że powiem Meredith o tym i owym.

- Ładne rzeczy, ale to mi przypomniało, że coś ci jestem winien. - Luke zatrzasnął drzwi i wsunął twarz w otwarte okno. Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął dolarówkę i dwie monety po dwadzieścia pięć centów. :- Półtora dolca, tak?

- Tak - odpowiedziała Susan z tryumfalnym uśmiechem. - Może któregoś dnia wreszcie się naucysz być ostrożniejszym. Przynajmniej, gdy zakładasz się ze mną.

- Mam hazard we krwi. Dlatego prowadzę stajnię wyścigową. ~

- Rzeczywiście, można powiedzieć, że pracujesz z powołania.

- Ciebie dotyczy to w większym stopniu.

- Dlaczego? - spytała, zapalając silnik.'

Luke wyszczerzył zęby i odsunął się od okna.

- Bo wszyscy faceci w twoim życiu muszą mieć cztery nogi, grzywę i ogon. . . .

Luke wybuchnął śmiechem, ale Susan spojrzała na niego chłodno, dając do zrozumienia, że wcale nie czuje się rozbawiona jego dowcipem.

~ Rzeczywiście, bardzo śmieszne. Do zobaczenia jutro, panie wesołku.

Ruszyła w stronę szosy. W lusterku widziała Luke'a z rękami w kieszeniach, wracającego do stajni i trzęsącego się ze śmiechu.

Musi wymyślić coś, żeby mu odpłacić. Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę, że dokuczali sobie nieustannie od trzech lat, odkąd zaczęła pracować w Roundhouse jako weterynarz. Trzy lata wzajemnych doqnków, a jeżeli sięgnąć dalej, do czasu ich pierwszego spotkania w Foxglove, to nawet trzynaście lat. '

Susan nie lubiła sięgać myślami do Foxglove, przypominało jej to bowiem nieodmiennie jeszcze kogoś. Kogoś, z kim nie łączyła jej zabarwiona wzajemną sympatią

złościwość, ale zupełnie inne, zdecydowanie silniejsze uczucie. Chłopca, który już zresztą wcale nie był chłopcem, tylko mężczyzną zaręczonym z lady Alfredą Taką-to-a-taką.

Podjechała do bramy, za którą znajdował się wyjazd na szosę. Minęła słupki i pochyliła się nad kierownicą, żeby sprawdzić, czy nic nie jedzie.

Kiedy czekała, aż minie ją wielka ciężarówka, jej uwagę pq;yciągnęło dzwonienie pęku kluczyków zwisających ze stacyjki. Sama nie wiedziała dlaczego przypomniało jej się' bębnienie pianina, które tak natrętnie rozlegało się w jej głowie, gdy jechała do Szatana.

Skąd się to wzięło? Puściła jedną ręką kierownicę i dotknęła kluczyków. Może chodziło o Meredith, pomyślała, pocierając palcem wyrzeźbioną w onyksie końską głowę, wprawioną w wisiołek do kluczy.

Kiedy jej kuzynka się skupiła, Susan odbierała płynące z jej strony myśli. A zważywszy na to, z jakim trudem Meredith grała na pianinie, odtworzenie najprostszej melodii wiązało się w jej przypadku z naprawdę kolosalną koncentracją.

Nie, muzyka była stanowczo zbyt wyszukana jak na Meredith. Susan pokręciła głową i wyjechała na szosę. Bea mogłaby tak zagrać, ale Susan nigdy nie odebrała przekazu od

nikogo z całej rodziny Parkerów-Harrisów oprócz ...

T ożsamość tajemniczego pianisty objawiła jej się tak nagle, że Susan zahamowała gwałtownie na kompletnie pustej szosie i zjechała na pobocze, żeby spokojnie przeanalizować nieoczekiwaną myśl. Oparła obie ręce na kierownicy i zamknęła oczy, usiłując przywołać w pamięci rozedrgane dźwięki pianina.

- O, nie - jęknęła, czując znajomy dreszcz. - Richard.

Kiedy był trzeźwy, grał prawie jak sam Rachmaninow. Dostatecznie często słuchała go w Foxglove, żeby o tym wiedzieć. Głównie wieczorami, gdy z ręką pod brodą leżała razem z Susan i Wlijkiem Richardem przed kominkiem. Parę razy słuchała jego gry po południu, kiedy ćwiczył. Siedziała wtedy na schodach, tak by nie mógł jej zobaczyć, pragnąc w jakiś cudowny sposób cofnąć czas, żeby nie zdarzyła się ta przeklęta chwila,' w której złamała mu nos.

Nigdy nie wybaczył jej tego, że przez nią ojciec patrzył na niego jak na nieudacznika. Co gorsza, wiedziała, że iw przyszłości nie będzie jej chciał tego wybaczyć. Czowała cierpienie Richarda równie wyraźnie, jak czowała ból chorego konia. Dreszcz przeniknął jej napięty kark.

Westchnęła, zapaliła silnik i ruszyła w stronę domu,

przyciskając gaz do deski. Meredith była ostatnią osobą, której mogła o tym wszystkim opowiedzieć, ale musiała zwierzyć się komuś, by nie stracić panowania nad sobą.

ROZDZIAŁ

3

Richard śnił, że jest Fredem Astairem, a Alfreda Ginger Rogers.' Był ubrany we frak, muszkę i lakierki. Alfreda miała na sobie wyszywaną, czerwoną narzutę, taką jak ta, na której zastał ją w stajni w dniu przyjęcia zaręczynowego. W dodatku miała cztery nogi. Dwie z nich należały do Phillipa Quigleya.

Czuł się fatalnie, głowę rozsadzał mu ból, usta domagały się wody; a kiedy otworzył oczy, oślepiło go zalewające pokój ostre światło. Przeklinając idiotę, który nie zgasił poprzedniego wieczora lampy, wcisnął głowę pod poduszkę. Kiedy jednak pragnienie zmusiło go, aby spod niej wyjrzał, stwierdził, że to, co wziął za zapaloną lampę, jest po prostu odblaskiem zimnego listopadowego słońca na ścianie pokoju. Ból oczu uświadomił mu, że spał w szklach kontaktowych.

Nawet nie próbując, wiedział, że nie ma mowy o tym, by stanął na nogach, więc zrobił to, co jako dziecko podpatrzył u babki. Wypełził z łóżka i na czworakach udał się do łazienki.

Po drodze stwierdził, że ktoś go wieczorem rozebrał. Miał nadzieję, że Devlin, bo bielizna, którą nosił na życzenie Alfredy, była zdecydowanie zbyt ekstrawagancka, by bez zgorszenia oglądał ją ktokolwiek inny w tym domu. Richard postanowił, że pierwszym jego zakupem będą normalne, białe slipy.

Kiedy dotarł do wanny, odkł:tecił kran z zimną wodą i zgrzytając zębami, trzymał pod nim głowę przez dobre pięć minut. Potem napełnił wannę ciepłą wodą, wszedł do niej ostrożnie i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby się od razu utopił. Zanim podjął decyzję, zjawił się przed nim Devlin z kubkiem i termosem w jednej ręce oraz ze szklanką czegoś, co wyglądało na mocną, mrożoną herbatę, w drugiej.

- Pani twierdzi, że nic nie stawia jej tak na nogi jak to. '

- A co to jest?

- Łatwiej wypić, kiedy się nie wie.

Dziwny płyn wprawdzie nie parował, lecz widok pojawiających się bąbelków sprawił, że żołądek Richarda gwałtownie się skurczył.

. - Dziękuję - powiedział i zanurzył się głębiej w wodzie.

- Pani dzwoniła rano, żebym odebrał ją z lotniska dzisiaj, za dwadzieścia szósta.

Richard wynurzył się z wody jak~ wieloryb i tak gwałtownie sfęgnął po szklanke, że ochlapał nieskazitelnie wypastowane buty Devlina. Wstrzymując oddech, wypił paroma łykami dziwny koktajl, skrzywił się i z trudem złapał powietrze.

- Która godzina?

- Kwadrans po dziewiątej.

Devlin napełnił kubek kawą i podał go Richardowi. - Czy przynieść panu szlafrok?

- Tak, proszę.

Kiedy służący wyszedł, Richard znów zanurzył się głębiej i popijał kawę małymi łykami:

- Czy dzwoniła moja matka? - spytał, gdy Devlin pojawił się ponownie.

- Tak, proszę pana. Wczoraj wieczorem. Pytała mnie o numer telefonu do hotelu, w którym zatrzymała się pani.

- Czy możesz poprosić kucharkę, żeby mi zrobiła jajko po wiedeńsku i grzanek?

- Oczywiście, proszę pana. - Służący zabrał puste naczynia i wyszedł.

Babka wraca o szóstej. To znaczy, że ma niecałe dziewięć godzin na to, żeby wynieść się z domu przy Gramercy Park. Tylko dokąd? Dzięki zdumiewającemu koktajlowi, jaki mu zaserwował Devlin, miał na szczęście na tyle jasną głowę, że mógł się poważnie zastanowić nad tym pytaniem.

Richard wynurzył się z wody, odkręcił prysznic i namydlił ramiona. Powrót do Anglii nie wchodził w grę. Poprzedniego dnia myśl o wydziedziczeniu przez ojca wydawała mu się zabawna, ale teraz był trzeźwy i widział wszystko w innym świetle. Foxglove i tak nie mogło mu na długo udzielić schronienia. Ranczo było ostatnim miejscem na świecie, w którym mógłby wytrzymać przez dłuższy czas.

Po raz pierwszy w życiu Richard nie miał dokąd uciec. Ku własnemu zaskoczeniu poczuł się tym przez moment rozbawiony. Pan własnego losu, goły i wesoły. Taka jest cena wolności, pomyślał, wychodząc z wanny. Założył szlafrok i zaczął wycierać włosy.

Choć jego sprawy przybierały różny obrót, to nigdy jeszcze

nie brakowało mu pieniędzy. Teraz zresztą teźnie można byłoby nazwać go biedakiem. Miał zawód, kilka tysięcy dolarów w obligacjach płatnych w ciągu trzech miesięcy i jakieś bliżej nieokreślone resztki fortuny w banku. Bieda jest pojęciem względnym, uznał Richard i uświadomił sobie, że w życiu zdarzają się naprawdę większe nieszczęścia niż brak pieniędzy. Najgorzej jest obudzić się rano ze straszliwym kacem

i mając niemal trzydzieści lat, stwierdzić, że zupełnie się nie wie, kim się naprawdę jest i czego właściwie chce od życia. Ta refleksja była tak porażająca, że Richard zamarł w bezruchu na środku sypialni.

Z letargu wyrwał go dzwonek telefonu.

- Halo? '

-Nie waż się więcej odkładać słuchawki, kiedy do ciebie mówię, Dickie!

- Dobrze, dobrze. Tylko tak nie krzycz.

- Nie krzyczę! :- wrzasnęła matka.

::- Proszę cię - powiedział najbardziej ugodowym tonem, na jaki go było stać - boli mnie głowa.

- Za dużo pijesz. Nie myśl, że o tym nie wiem. .

- To tak jak ty, mamó. Jak sądzisz, kto mnie tego

nauczył?

- Dlatego Alfreda zdecydowała się z tobą zerwać.

Sama mi to powiedziała.

- Trzebajej było przypomnieć, że najłatwiej zrobić durnia z pijaka.

- Długo wczoraj rozmawialiśmy. Chcesz wiedzieć o czym? - Nie.

- Alfreda gotowa jest przyjąć cię z powrotem.

- Nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Nie bądź idiotą, Dickie. Nie zapominaj o tym, .
w jakim się znajdziesz towarzystwie. Pomyśl, co to
znaczy być zięciem lorda Avery. .

-!- A przede wszystkim, co to znaczy dla ciebie.

- Nie IDaII;l zamiaru tego ukrywać. .

- Wobec tego rozwiedź się z Freddie i ożeń
z Alfredą. Ja nie chcę. Tak naprawdę, to nigdy nie zależało
mi na tym małżeństwie. Chciałem zaimponować ojcu.
Wczoraj to zrozumiałem.

- Ojcu?! A cóż może dla ciebie znaczyć opinia człowieka,
dla którego wszystko, co w życiu zrobiłeś, było wyłącznie
źródłem rozczarowania?

- Nie wiem. W ogóle nie wiem, czego chcę, oprócz

porządnych białych majtek.

- Boże drogi, ty jesteś od rana pijany!

- Nie. Powiedziałbym, że właśnie wytrzeźwiałem.

■ nie chodzi mi o wczorajsze pijaństwo. Chodzi mi o całe moje cholerne życie. Nie wiem, co mną tak wstrząsnęło. Może to, że zobaczyłem, jak się zestarzał Devlin. Czy ty wiesz, że on mnie uczył wiązać sznurowadła?

- Wzruszające. Teraz posłuchaj mnie, Dickie.

Wczoraj wszystko ustaliłam z mamą. Oczywiście będziesz musiał kupić Alfredzie jakiś prezent ...

- Oczywiście. - Richard był bardzo ciekaw, jak daleko posunie się matka.

- Jakiś kosztowny drobiazg. - Lady Simpson zupełnie nie wyczuła sarkazmu w jego głosie. - Mama pójdzie z tobą jutro do Tiffany'ego. ■ zamów kwiaty do mieszkania Alfredy. Jutro rano wraca ze mną i Freddiem do Londynu. A potem wsiądziesz w wieczorny samolot, tak żebyś był tu jutro na obiedzie. Zaprosimy Alfredę i lad y A very, więc pamiętaj o jakimś drobiazgu dla niej. ■ ogól się w samolocie. Aha, i nie zapomnij oantyhistaminie!

- Mój nos! Pamiętasz o mojej alergii! -Richard poczuł się

szczerze wzruszony i kompletnie rozbrojony nietypową dla matki troską.

- No oczywiście, że pamiętam. Nie sposób zapomnieć o tym koncercie smarkania i chrząkania, jaki dajesz, ilekroć zapomnisz o lekarstwie. Nie rozumiem, dlaczego nie pójdziesz do jakiegoś porządnego lekarza.

- Już poszedłem. Piętnaście lat temu, kiedy Susan, ta kuzynka Meredith, złamała mi nos: Pamiętasz Meredith, moją przyrodną siostrę,' prawda? Ojciec zaadoptował ją po ślubie z Beą, bo ja zawsze sprawiałem mu same rozczarowania!

- Po CO ta złośliwość? - spytała matka rozdrażnionym tonem. - I dlaczego na mnie'krzyczysz? Czy naprawdę muszę o wszystkim pamiętać, Dickie?

A potem wybuchnęła płaczem. To był jej stary, niezawodny trik, za pomocą którego nieodmiennie budziła w Richardzie poczucie winy. Tak silne, że był gotów zrobić wszystko, czego chciała, żeby tylko przestała płakać. Skąd jednak wzięła się teraz u niego ta świadomość jej manipulacji? I czemu nie dostrzegał tego przez te wszystkie lata?

- Mogłabyś przynajmniej pamiętać, że mam na imię Richard.

- To jest jego imię! - zaprotestowała lady Simpson. - Nie mogę cię nazywać tak samo jakiego. Dickie dużo lepiej do ciebie pasuje.

- Dickie wcale do mnie nie pasuje. Tak jak nie pasuje do mnie powrót do Anglii i ślub z tą znikowaną córką lorda Avery. I to tylko po to, żebyś ty się wspięła na kolejny szczebel hierarchii. Możesz zadzwonić do babci, do Vegas, i powiedzieć jej, żeby spokojnie piła i grała dalej, bo kiedy tu przyjedzie wieczorem, to i tak mnie już nie zastanie. Ani mi się śni czekać na nią tylko po to, żeby mną pomiatała. Skończyły się te czasy!

Trzasnął słuchawką i usiadł na łóżku. Oddychał ciężko, znowu zaczęła go boleć głowa. To był jej kolejny sposób. Kiedy czuła, że sobie z nim nie radzi, natychmiast wzywała na pomoc babcię. A trzeba było mieć naprawdę znacznie więcej siły, niż on jej miał, żeby podjąć walkę z tą wiecznie zalaną starą wiedźmą.

Rozległ się ostry dzwonek. Richard chwycił sznur od telefonu i szarpnął z taką siłą, że wtyczka wyleciała z gniazdka i uderzyła go prosto w nos. Zrobiło mu się ciemno

przed oczami i przewrócił się na plecy.

- Niech to choiera! -' jęknął i dotknął nosa~

N a szczęście wrażenie, że jego organ powonienia zmienił kształt, skręcając gwałtownie w lewo, było tylko złudzeniem. Gorzej, że zaraz potem w drzwiach pojawił się Devlin. Znaczyło to, że słaby odgłos dzwonienia dobiegający z głębi domu nie był złudzeniem.

- Panie Richardzie - odezwał się łagodnie służący.

- Dzwoni pańska siostra, panna Meredith.

- Meredith? - Richard ruszył w stronę drzwi, czując bolesne pulsowanie w obolałym nosie.

Spodziewał się kolejnego telefonu od matki albo od babki. Ale Meredith? Nie mógł sobie przypomnieć, czy w końcu do niej wczoraj zadzwonił.

Ruszył za służącym w stronę schodów. Pani Clark powiedziała mu wczoraj, że Meredith mieszka gdzieś ... gdzieś: .. Cholera, tego też nie zapamiętał.

- Czy mówiła; skąd dzwoni?

- Nie, proszę pana, ale o ile 'wiem, panna Meredith mieszka teraz w Santa Barbara.

T o było gdzieś w Kalifornii. Nic więcej nie potrafił so bie przypomnieć.

- Od dawna? - Richard odwrócił się i spojrzał na Devlina, który ostrożnie szedł za nim po schodach, przytrzymując się poręczy.

- Wydaje mi się, że ona i panna Susan kupiły ranczo wkrótce po pańskim wyjeździe do Anglii.

Gdy zeszli na dół, Richard podniósł słuchawkę na stoliku słuchawkę. Zamknął oczy i przez moment starał się uspokoić oddech.

7''' Czy to ty zadzwoniłaś do pani Clark, czy ona do ciebie?

- Ona do mnie - odpowiedziała Meredith bez chwili wahania. - Cieszę się, że wróciłaś. Dawno się nie widzieliśmy.

- Dziękuję, Merr,y. A teraz powiedz mi, czego, do diabła, chcesz?

- Znowu się wczoraj załamałaś, prawda?

Intuicja, jaką wykazała Meredith po ośmiu latach - niewidzenia i na odległość przeszło półtora tysiąca kilometrów, sprawiła, że Richardowi zrobiło się nagle gorąco. Ze zdumieniem stwierdził, że się rumieni, co nie zdarzało mu się od piętnastego roku życia. '.

- Słyszałaś kiedyś o szoku wskutek gwałtownego przeniesienia się z jednej półkuli na drugą?

- Słyszałaś kiedyś o klinice Betty Ford? Uratowała życie

Wujkowi Lorenowi.

- Został abstynentem?

- Stuprocentowym. Może i ty powinieneś spróbować.

Richard znowu się zaczerwienił, dziwiąc się swoim reakcjom. Może to sprawa koktajlu Devlina.

- Pani Clark powiedziała mi, że nie dotarło do ciebie zaproszenie - odezwała się Meredith. - Więc dzwonię, żeby zaprosić cię na ślub.

- Ach, prawda. Moje gratulacje.

- Dziękuję. Chcę tu mieć całą rodzinę, Richard, i w żadnym razie nie przyjmę odmowy.

- Nie miałem zamiaru ci odmawiać, Meredith.

Przyjadę z prawdziwą przyjemnością. Kiedy mamy ten szczęśliwy dzień?

- W wigilię Bożego Narodzenia. To trochę sentymentalne, prawda?

Sentymentalne jak cholera, pomyślał Richard, ale skłamał i powiedział:

- Wcale nie, myślę, że to bardzo miłe.

- To kiedy przyjedziesz?

- A kiedy byś chciała? .

- Najszybciej jak możesz.

- A dlaczego? :- spytał, ogarnięty nagłymi podejrzeniami.

- Siedzę po uszy w koronkach, tortach i zaproszeniach.

Przydałby mi się ktoś do pomocy.

- A dlaczego Susan ci nie pomoże? Jeszcze się nie nauczyła porządnie pisać?

- Nie ma czasu. Prowadzi ranczo, a poza tym pracuje jako etatowy weterynarz w stajniach w Roundhouse.

- W jakim Roundhouse?

- U Luke'a.

- U jakiego Luke'a?

- Luke'a Hardina, mojego narzeczonego.

- Syna Setha Hardina. - Richard nadal nie był w stanie przypomnieć sobie niczego więcej. - A dlaczego nie wynajmiesz sekretarki?

- Chcesz, żebym wyłożyła kawę na ławę?

- Proszę bardzo. - Richard przysiadł na krawędzi stołu.

- Więc ja to widzę tak: jednego dnia jesteś w Anglii z utytułowaną narzeczoną, a następnego w Nowym Jorku z kacem. Pani Clark powiedziała mi, że dostałeś kosza, ale -

biorąc pod uwagę twój nagły wyjazd - nie mogę się oprzeć wrażeniu, że kryje się za tym coś jeszcze. Nie pytam co, bo mam nadzieję, że sam mi jeszcze o tym opowiesz. Devlin powiedział mi, że twoja babka wraca dzisiaj, o trzy dni wcześniej, niż planowała. Na twoim miejscu zniknęłabym z domu przy Gramercy Park, zanim ona się w nim pojawi. Co ty na to?

- Bardzo trafnie. - Richard był rozdarty między irytacją a podziwem dla Meredith. Jak to możliwe, że tyle wiedziała na jego temat, podczas gdy on nie mógł sobie przypomnieć nic poza tym, że miała niebieskie oczy? - No dobrze, i co dalej?

- Ja będę miała prawdziwy pożytek z ciebie, a ty będziesz miał bezpieczną kryjówkę. Stadnina koni w Kalifornii to ostatnie miejsce, w którym babka będzie cię szukać.

- Jestem pełen podziwu, Meredith. Wyrosło z ciebie naprawdę bystre stworzenie. Stadnina koni to rzeczywiście ostatnie miejsce ... - Richard rozsiadł się wygodniej na stole. - Zaczekaj no chwilę, Devlin wspominał mi o jakimś ranczu. Co to za stadnina koni?

- Na miłość boską, Richard. Ile ty straciłeś szarych komórek ostatniej nocy?

- Nie tak znowu wiele. Nie było mnie tu przez osiem lat, jak sobie może przypominasz.

- Mama pisała do ciebie tydzień w tydzień. Nawet ja dorzuciłam czasem parę słów. Czy ty naprawdę nie czytałeś naszych listów?

- No, ja ...

- Wszystko jedno. Ranczo to ta stadnina koni, o której marzyliśmy z Susan, a ty twierdziłeś, że nigdy jej nie będziemy miały. To są te nasze bzdurne rojenia na stu hektarach koło Santa Barbara.

W pamięci Richarda zamajaczyły jakieś fragmenty listów, których nigdy do końca nie czytał i na które nigdy nie odpowiadał.

- Chcesz powiedzieć, że się wam udało? Że macie własne konie?

- Oczywiście. Mówiłam ci, że będziemy je-miały.

- Ale jak to zrobiłyście? Obrabowałyście bank?

- Oczywiście, że nie. Zastanów się nad tym w samolocie. Przynajmniej będziesz miał jakieś zajęcie oprócz pICIA.

- Bardzo śmieszne, Meredith.

- To co? Przyjedziesz?

- Tak. Przyjadę. Gdzie to dokładnie jest i jak mam tam trafić?

- Wszystko już załatwiłam. Zarezerwowałam ci miejsce w samolocie z lotniska La Guardia. O pierwszej. Zdasz?

Richard podniósł wzrok i spojrzał na wiszący w holu zegar. Kwadrans po dziesiątej.

- Zdam - odpowiedział.

- Masz długopis?

Richard sięgnął do stojącego na stole kubka, wyrwał kartkę z leżącego obok notesu i zapisał numer lotu, adres rancza i numer telefonu firmy, w której Meredith wynajęła dla niego samochód.

- Jeszcze jedno. Ranczo jest dostatecznie duże, żebyś nie musiał się widywać z Susan. Oczywiście~ poza obiadami, które jadamy razem, i poza ur,oczystością ślubną.

Po raz kolejny Richard był kompletnie zaskoczony umiejętnością przewidywania wykazaną przez siostrę. - To

bardzo miło z twojej strony - odpowiedział

- ale ja już dawno wyrosłem z tych głupot.

- To samo mówią Susan - odpowiedziała Meredith ze śmiechem. - Ale jakoś nie mogę wam uwierzyć.

Po skończonej rozmowie Richard zamyślił się głęboko. Zaproszenie Meredith przyszło tak bardzo w porę, aż trudno uwierzyć, że nic *się* za nim nie kryje. Już raz koń był sprawcą klęski, jak pamiętał z mitologii. Z drugiej strony, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Poza tym nie miał wyboru, czas miglił. Podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić po taksówkę.

ROZDZIAŁ

4

Richard odbył lot do Kalifornii w towarzystwie Krwawej Mary, zastanawiając się, w jaki sposób Meredith i Susan zgromadziły pieniądze na kupno stu hektarów ziemi w okolicy Santa Barbara. W pewnym momencie, dzięki wspomnieniu, które nagle wypłynęło z zakamarków jego podświadomości doznał olśnienia.

A wraz z nim przyszedł pomysł na to, jak zrekompensować stratę pieniędzy z funduszu powierniczego. Myśl była tak obiecująca, że na twarzy Richarda pojawił się błogi uśmiech, który przyciągnął do niego stewardesę. Richard zamienił resztki alkoholu na kawę, którą popijał małymi łykami, dziękując Bogu, że pomimo wszystko rozmiękczenie mózgu mu nie groziło.

Przed piętnastu laty nie uwierzył Meredith, kiedy usiłowała mu wyjaśnić, dlaczego Susan uderzyła go pejczem w twarz. Dopiero w maju następnego roku, podczas dorocznego

rodzinnego wyjazdu do Churchill Downs, na wyścigi konne, dał wiarę słowom siostry. Richard był świadkiem, jak Parker-Harris senior starannie studiuje wszelkie dostępne informacje na temat koni, ich rodow04ów, wcześniejszych występów i uzyskiwanych wyników, a następnie przegrywa wszystkie postawione pieniądze. Tymczasem Meredith i Susan trzymały się razem, szepcząc coś do siebie i obserwując konie prezentowane przed wyścigami na padoku, potem zaś wręczały swoje pieniądze wraz z dokładnymi instrukcjami matce Meredith. Rezultaty ich typowań były 'szokujące'. Podczas tych Wyścigów wygrały osiem tysięcy czterysta szesnaście dolarów.

Od tej pory Richard nie miał już żadnych wątpliwości, co do telepatycznych uzdolnień Susan Cade, jej zdolności rozumienia zwierząt -i odczuwania ich bólu. To ostatecznie zadecydowało o jej zachowaniu w dniu, gdy złamała mu nos. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, aby skorzystać z jej uzdolnień, nigdy jednak nie znajdował się w takiej sytuacji jak teraz. A. poza tym dziewczyna dotąd nie powiedziała "przepraszam". Uznał więc, że wspólne popołudnie na wyścigach byłoby z jej strony najwłaściwszą formą zadośćuczynienia.

Richard w znakomitym humorze wyjechał z lotniska fordem tempo. Miał wrażenie, że nareszcie znalazł klimat, który mu naprawdę odpowiada, a w dodatku był szczerze zachwycony hiszpańską architekturą Santa Barbara. Kiedy obejrzał miasto i ruszył autostradą numer 101 w kierunku wzgórz, wśród których kryło się ranczo, odkręcił szybę w oknie i po raz pierwszy od lat odetchnął pełną piersią. Czyżby znalazł swoje miejsce na ziemi?

Richard skręcił z szosy w szeroką kamienną bramę prowadzącą na teren rancza. Przejechał jeszcze kilkaset metrów i znalazł się na parkingu z garażem. Zdjął . krawat i z prawdziwym zachwytem rozejrzał się po okolicy. Po jednej stronie rozciągał się ocean, po drugiej łagodne wzgórza zwieńczone kępami drzew. Przed nim stał obszerny dom w stylu kolonialnym: murowany, tynkowany na biało, z wielkimi balkonami i dachem krytym czerwoną dachówką. Po ścianach pięły się róże. Na lewo od domu, w pewnej odległości, widać było cztery obszerne stajnie z padokami.

Richard ruszył po kamiennym -chodniku w stronę domu. Z tarasu zobaczył stojący między dwoma wysokimi dębami parterowy domek z szeroką werandą.

Ranczo było piękne. Więcej, było wspaniałe i niesamowite,

najzupełniej niesamowite. Okazało się, że gdy on trwonił swoją część funduszu powierniczego w Anglii, Meredith i Susan potrafiły przemienić marzenia snute przed kominkiem w najprawdziwszy raj na ziemi.

Ta, świadomość bynajmniej nie była dla Richarda pocieszająca. Przygnębiony, pódzedł do zawieszzonego na wysokim stojaku dzwonu i pociągnął zdecydowanie za sznur. W chwilę potem otworzyły się drzwi prowadzące na wewnętrzny dziedziniec i pojawiła się w nich czekoladowa Meksykanka ze złotymi kolczykami w kształcie krzyży w uszach.

- Dzień dobry. Jestem Richard Parker-Harris, brat Meredith.

- Panna Meredith pojechała pana szukać. Powiedziała, że się pan zgubił. Powiedziała, żeby zadzwonić, jak się pan znajdzie.' Pan poczeka.

Richard miał zamiar spytać, czy zastał Susan albo Lorena Cade, ale kobieta zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że przyjechał o pół godziny później, niż się go spodziewano. Wzruszył ramionami. Niech będzie. Zdjął marynarkę, rozwiesił ją na oparciu bujanego fotela, aby dać znać, że nie odchodzi nigdzie daleko i ruszył przez łąkę, rozejrzeć się po ranczu.

Cień pod dębami był tak głęboki, że w pierwszej chwili nie zauważył łysego mężczyzny siedzącego na werandzie domku, który dostrzegł z tarasu.

- Dzień dobry. Jestem Richard Parker-Harris, brat Meredith.

- Jak się masz. Rufus Page. - Mężczyzna uniósł się nieco, ścisnął Richardowi dłoń i opadł z powrotem na fotel.

- Właśnie rozglądam się po okolicy. Piękne miejsce.

Rufus Page chrząknął w odpowiedzi i skinął głową. - Jest tu może gdzieś Susan? Albo jej ojciec?

- Loren jest w Solvang, zajęty przy gospodarstwie.

Susan jest pewnie w którejś stajni. Meredith pojechała cię szukać. Myślałem, że Consuella ci o tym powiedziała.

- Tak. Chociaż nie mogę zrozumieć, dlaczego Meredith uznała, że się zgubiłem. Bardzo dokładnie opisała całą drogę.

- Jeżeli o mnie chodzi, to myślę, że martwiła się raczej tym, że coś znajdziesz, niż tym, że się zgubisz.

- Słucham?

~

Rufus Page uniósł zgiętą w łokciu rękę, ułożył palce tak, jakby trzymał w dłoni szklanekę i mrugnął porozumiewawczo.

- Rozumiem - odpowiedział Richard ze ściśniętyffi gardłem. - Dziękuję.

Odwrócił się skinąwszy głową i poszedł w kierunku stajni. Do cholery jasnej, nie był przecież pijakiem! Wypił, co prawda, jednego w samolocie, ale miał powód. Będzie to musiał powiedzieć Meredith na samym wstępie. A potem wypije drinka. Podwójnego, dodał w myśli, otwierając drzwi do stajni.

Gniadosz i dwa kasztanki zwróciły ku niemu głowy, węsząc i strzygąc uszami. Pomimo rżenia, które wywołało jego przybycie, nikt się nie .. zjawił. W stajni były .. tylko trzy klacze i Richard doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej miały się właśnie żrebić.

Ruszył w głąb stajni i jego podejrzenia się potwierdziły, po kilku krokach minął trzy obszerne boksy przeznaczone do przyjmowania porodu. Zaraz za nimi natknął się na coś, co wstrzymało mu dech w piersi: nieduży, kształtny tyłeczek wieńczący niezmiernie długie nogi w obcisłych wypłowiałych dżinsach. Tyłeczek należał do rudowłosej dziewczyni, która, nisko pochylona, masowała pęciny gniadej klaczy z wielkim brzuchem. Kiedy pogrążona w swoim zajęciu rudowłosa pochylała się niżej, flanelowa koszula odchyłała się, ukazując

najpiękniejszą skórę, jaką Richard widział od czasu, gdy jeszcze przeglądał

"Playboya".

Chwała, chwała Kalifornii, pomyślał i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w niezwykle zjawisko. Rudowłosa piękność wyprostowała się, sięgnęła do butelki 'z oliwką i znów pochyliła się nad pęcina zwierzęcia.

- Biedna Peggity. Biedna dziewczyna:..... odezwała się lekko ochrypłym kontraltem, od którego ciarki przebiegły Richardowi po plecach. - Wiem, że to wszystko jest męczące, ale już niedługo będziesz to miała z głowy.

W prześwietlonym słońcem powietrzu unosiły się drobiny kurzu. Richard czuł przenikliwy zapach oliwki, ciepły zapach stajni i patrzył na połyskujące złotem rude włosy dziewczyny. Miała długie, smukłe. palce z krótko przyciętymi, czystymi paznokciami.

Niezwykłe, jak na stajnię. Niemal równie niezwykle, jak nagły przyływ czułości, jaki wzbudził w nim widok dziewczyny, troskliwie opiekującej się spuchniętą końską nogą. Aura dobroci i spokoju otaczająca dziewczynę była niemal namacalna. Dla Richarda, któremu stajnia od kilku dni

kojarzyła się obsesyjnie z Alfredą i jej obrzydliwą zdradą, było w tym wszystkim coś szczególnie zdumiewającego.

Klacz wyczuła jego obecność i poruszyła się niespokojnie. Rudowłosa 'piękność wyprostowała się, odwróciła i spojrzała Richardowi prosto w oczy.

Teraz zobaczył jej twarz: idealnie prosty nos, wielkie, ciemnoniebieskie oczy i wąską brodę z niewielkim dołeczkiem.

- Cześć! - Richard oparł się na ogrodzeniu boksu i uśmiechnął. - Jestem Richard, brat Meredith. Domyślam się, że tu pracujesz, prawda?

- Można to tak nazwać. ~ Kiedy się do niego uśmiechnęła, w jej oczach pojawiły się niespodziewane iskierki. - Cześć, Richard.

- Szukam doktor Cade. Widziałaś ją może? Iskierki zniknęły natychmiast z oczu dziewczyny.

Richard miał wrażenie, że powiedział coś niewłaściwego, ale nie wiedział co.

- Na pt(wno gdzieś tu jest - odpowiedziała. Poklepała klacz po zadzie i ruszyła w stronę wyjścia z boksu.

Kiedy przytrzymała przed nią przegrodę, mruknęła "dziękuję", ale nadal unikała jego spojrzenia. Podeszła do

wiszącej na ścianie szafki i schowała butelkę z oliwką. Richard nie miał pojęcia, jaki popełnił błąd, przyrzekł sobie jednak, że zrobi wszystko, by w oczach rudowłosej z powrotem pojawił się blask.

- Przyjechałem z Nowego Jorku - odezwał się, idąc u jej boku wzdłuż stajni.

- Wiem - odpowiedziała, przyśpieszając kroku.

- Może pokazałabyś mi okolice Santa Barbara? Na przykład dziś wieczorem? Postawię ci za to kolację.

Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała na niego spod długich rzęs.

- A co z Meredith?

- Nie będzie jej to przeszkadzać. Nienawidzi zwiedzania.

- Wiem. Zawsze taka była. - Dziewczyna patrzyła na niego wyczekująco, jakby dawała mu jakieś wskazówki i spodziewała się, że Richard wreszcie zorientuje się w sytuacji. - To co? Wybierzemy się gdzieś razem?

- Miło mi, ale nie mam dzisiaj czasu. Może innym razem.

- Kiedy tylko będziesz miała ochotę. - Richard przytrzymał drzwi do stajni. - Może jutro wieczorem?

Dziewczyna już prawie go minęła, gdy nagle odwróciła się w jego stronę. Richard poczuł, jak jej pierś muska jego żebra. Miała najpiękniejsze, najbardziej pociągające w świecie uszy - nie nosiła kolczyków - i wspaniałe, zmysłowy głos. W jej wzroku widać było niezdecydowanie i jeszcze coś, czego nie umiał nazwać.

- Zastanowię się - odpowiedziała.

A potem odwróciła się i szybko odeszła. Przez moment chciał za nią pobiec, ale się rozmyślił. Zamknął drzwi stajni i patrzył, jak nieznajoma szybko, niemal biegiem, zmierza w stronę parkingu. Wciąż się zastanawiał, czym ją tak spłoszył.

Może Susan była ciągle taką jędzą, że na samo jej wspomnienie ludzie tracili humor? Albo może ...

Już wiedział, jaką gafę strzelił. Ruszył biegiem, ale rudowłosa właśnie zapaliła silnik i gwahownie ruszyła. Wbił wzrok w tablicę rejestracyjną i udało mu się odczytać jej treść. Napis głosił: "Dr wet. S. Cade".

ROZDZIAŁ

Gdyby Susan i Meredith nie nacisnęły równocześnie hamulców, żółte BMW i srebrny blazer wpadłyby na siebie w bramie.

- Mówiłam ci - zaczęła Susan, wychylając się przez okno - że mam złe przeczucia w związku z przyjazdem Richarda. To samo mówiłam ci w zeszłym roku, kiedy jechałyśmy do Londynu, ale nie słuchałaś. Nigdy mnie nie słuchasz. Zawsze ci się wydaje, że wiesz wszystko najlepiej na świecie.

- Co się stało? - spytała Meredith.

- Zaprosił mnie na kolację. To się stało!

- Ależ to wspaniale. Zawsze uważałam, że wy dwoje ...

- Meredith! Twój brat nie ma pojęcia, kim ja jestem.

- Żartujesz.

- Byłam właśnie w stajni dla żrebných klaczy, kiedy zjawił się Richard i spytał, czy nie wiem, gdzie jest doktor Cade.

Teraz dopiero Meredith zdała sobie sprawę, że oczy kuzynki błyszczą od łez.

- Czy był...

- Był trzeźwy jak ...

- Nie o to mi chodzi. Chciałam spytać, czy był w okularach,

czy w szklach kontaktowych?

- Nie miał okularów. Nie mam pojęcia, czy miał szkła.

- Więc może .

- Może, może Jadę do sklepu.

- Susan, zaczekaj ...

Ale furgonetka już się cofnęła z piskiem opon, wykręciła, mijając BMW, i ruszyła ostro w stronę szosy. Niech to cholera! - pomyślała Meredith. W końcu to dla niej ściągnęła tu Richarda. Najchętniej udusiłaby oboje.

Trzasnęła drzwiami i ruszyła w stronę domu. Kiedy weszła na patio, ujrzała Richarda. Wyglądał jak młody bóg, tyle; że w nie najlepszym humorze. Zaciśnięte szczęki tworzyły mocną linię, wzburzone włosy lśniły w popołudniowym słońcu jak czyste srebro.

Mój Boże, ależ z niego przystojniak, przebiegło jej przez myśl. To niesamowite, wystarczy nie widzieć faceta przez kilka lat i proszę, jaka odmiana.

- Mogę czasem wypić szklaneczkę whisky, Meredith, ale to nie znaczy, że jestem pijakiem - powitał ją gniewnym tonem. - Uważasz za konieczne przetrząśnięcie wszystkich barów położonych między ranczem a lotniskiem tylko dlatego, że się

trochę spóźniłem?

Jego głos był głębszy, niż to zapamiętała z dzieciństwa, cudownie bogaty baryton, pełen złości i pobrzmiewający lekko brytyjskim akcentem. Nie mogła się zdecydować, czy przypomina jej Richarda Chamberlaina, czy raczej Lawrence'a Oliviera.

- No wiesz, ja ... ja myślałam ... wczoraj ... wczoraj byłeś ...
- urwała. Jąkała się. Po raz pierwszy w życiu się jąkała.

- Oczywiście, że byłem. Wczoraj -dodał z naciskiem. -
Rzuciła mnie narzeczona.

- Słyszałam, że już doszedłeś do siebie. Zaprosiłeś Susan na kolację.

- Nie przypominaj mi o tym. - Richard nerwowo przejechał dłonią po włosach. "I Powinnaś tu być, Meredith. Albo przynajmniej mnie ostrzec. Wiedziałaś, że przyjadę. A ty zamiast czekać, szukasz mnie nie wiadomo gdzie i pozwalasz, żebym wyszedł na kompletnego idiotę. .

- Spóźniłeś się. Martwiłam się o ciebie.

- Rozglądałem się' po mieście. W końcu jestem architektem, a Santa Barbara ma naprawdę wspaniałą architekturę.

- Spotkałam Susan przy bramie. Powiedziała mi, że jej nie

poznałeś. - Podeszła bliżej i spojrzała mu w oczy. Z bliska Richard był jeszcze bardziej olśniewający. - Nosisz szkła kontaktowe?

- Oczywiście, że noszę. Byłbym bez nich ślepy jak kret.

. - Jak to możliwe w takim razie, że nie poznałeś Susan? - Meredith przypominała sobie o swojej złości. - Przecież spędziliście obok siebie dobrych parę lat.

- Ostatnio widziałem ją podczas Bożego Narodzenia w Foxglove, osiem lat temu - odpowiedział. - Była wtedy chuda jak szczapa i miała wypłowiałe rudoblond włosy bez żadnego połysku.

- Wreszcie udało mi się wybić jej z głowy tlenienie włosów.

- To ona naprawdę ma takie piękne włosy? - Richard aż otworzył szerzej oczy ze zdumienia. - Po co je w takim razie, na miłość boską, farbowała?

- To dłuższa historia. - Meredith westchnęła i ujęła brata pod ramię. - Opowiem ci ją przy herbacie.

- Jeśli to będzie Earl Grey i do tego parę kropel co najmniej dwudziestoprocentowego alkoholu, proszę bardzo, mogę wysłuchać nawet najdłuższej historii.

Meredith była gotowa nie tylko pozwolić Richardowi na wzmocnienie swojej herbaty, ale nawet zrobić to samo re

swoją. Była gotowa na wszelkie ofiary, jakich wymagać mogła realizacja jej planu. Richard musi zrozumieć, że Susan jest kobietą stworzoną dla niego.

Kiedy znaleźli się w kuchni, przyjrzała się uważnie Richardowi, wieszającemu w skupieniu marynarkę na oparciu krzesła. Zastanawiała się, co się właściwie stało z gapowatym, zamkniętym w sobie chłopcem, którego pamiętała z dzieciństwa. Miała wielką ochotę podejść do niego, chwycić go oburącz za koszulę i powiedzieć: "No dobrze, przystojniaczku, mów, co właściwie zrobiłeś z moim bratem?" Zamiast tego nastawiła czajnik i usiadła przy stole.

- Jaki miałeś lot?

- Nie najgorszy - odpowiedział. Sięgnął do kieszeni po fajkę. - Mogę zapalić? - spytał.

- Proszę bardzo. - Podała mu popielniczkę. - Naprawdę chcę, żebyś się tu poczuł jak w domu.

Uniósł lekko brwi, o ton ciemniejsze niż włosy.

W jego zaskoczeniu było coś, co przypominało jej dawnego, zamkniętego w sobie, nieufnego Richarda. Przez całe dzieciństwo zachowywał się tak, jakby w każdej chwili spodziewał się ciosu. Zresztą, biorąc pod uwagę jego nieustanne, mniej lub bardziej dobrowolne przenosiny od ojca

do matki, od matki do babki i z powrotem do ojca, nie było w tym nic dziwnego. Kiedy się wiedziało coś o piekle, w jakim spędził dzieciństwo, naprawdę łatwiej było go zrozumieć.

- Dziękuję ci, Meredith. - Richard zaczął spokojnie nabijać fajkę. - Zrobię, co będę mógł.

Zawsze się starał. To było coś, czego Meredith nienawidziła w nim, gdy byli dziećmi. Dopiero później Susan jej wytłumaczyła, że zachowanie Richarda płynęło z panicznego lęku przed tym, że kolejny raz popełni jakiś błąd i znów zostanie odesłany dalej~

Zresztą niezależnie od tego, jak się starał, koniec i tak był zawsze taki sam.

On jest potwornie nieszczęśliwy. Czuje się niepotrzebny i niekochany, tłumaczyła jej Susano A potem wybuchnęła rozpaczliwym szlochem. Meredith, która nigdy wcześniej nie przypuszczała, że jej kuzynka może się rozplakać, przestraszyła się i pobiegła po matkę.

- Zdaje się, że świetnie sobie radzicie. Wspaniały dom, cudowne konie. Widzę, że marzenia się spełniają. .

- Oczywiście - odparła, zdejmując czajnik z kuchenki. - Jeśli tylko się im w tym pomaga.

Wrzuciła do czajniczka dwie torebki herbaty, zalała wodą i

nakryła uszytym przez Cansuellę wатовanym pokrowcem. Odwróciła się i patrzyła, jak Richard zapala fajkę. Jego delikatne, smukłe palce z krótko obciętymi paznokciami były precyzyjne i pewne. Na lewej ręce miał sygnet, który dostał od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny.

- Cieszę się, że ci go oddała - powiedziała, ustawiając czajniczek i cukiernicę na stole. - Wyglądała mi na taką, co to za bardzo przywiązuje się do cudzych rzeczy.

Richard omal nie wypuścił fajki z ust. Meredith pożałowała, że w porę nie ugryzła się w język.

- Skąd wiesz o moim pierścionku? - zapytał, powtórnie unosząc brwi. ,

- Luke, Susan i ja byliśmy w ubiegłym roku na wyścigach w Epsom. - Meredith zdjęła pokrowiec i wlała herbatę do filiżanek. - Widziałam lady Alfredę z twoim sygnetem, zawieszonym na łańcuszku na szyi. Miałam wtedy ochotę udusić ją tym łańcuszkiem.

. Skłamała. To Susan chciała udusić narzeczoną Richarda. Dopóki 'nie przyjrzała się jej uważnie przez lornetkę. Potem spojrzała ze smutną miną na Meredith.

- Po CO ja Cię w ogóle słucham? - spytała. - Czemu pozwalam, żebyś mi wmawiała takie rzeczy? Nie

mogę się z nią przecież równać! .

A potem pobiegła w stronę wyjścia. Meredith ruszyła za Susan, próbując ją namówić, żeby jednak została. Nie spotkały wtedy Richarda, nawet się tego nie spodziewały. Nie obejrzały wyścigów.

- Ucieszyłam się w każdym razie, że koń Alfredy był ostatni.

Richard westchnął i sięgnął po mleko. . - Ja nie.

Straciłem wtedy kupę forsy.

- Luke natomiast wygrał mnóstwo forsy. Niewiele .
brakowało, a zwróciłyby się nam koszty podróży do Anglii.

- A Susan? Jak sobie dała radę?

- Susan już nie gra na wyścigach.

- Naprawdę? - Richard aż rozlał mleko z wrażeń.
- Kiedy przestała grać?

- Jak już miałyśmy pieniądze, żeby kupić ranczo i Admirala, zapłacić pierwsze pensje i wysłać wujka Lortma do kliniki Betty Ford, dzięki czemu mamy w naszej stajni wyścigowej najlepszego trenera na świecie.

- Chyba żartujesz, Meredith. Nie powiesz mi, że macie tu jeszcze tego potwora, Admirala. Chyba że wypchanego, na postrach dla żrebaków.

- Przeciwnie, żywego i w do brej formie. Ma własną stajnię i

padok. Jest doskonałym reproduktorem. Przeczytaj to. -
Siostra sięgnęła po ulotkę leżącą na bocznym stole.

Richard pochylił się nad podanym mu kawałkiem papieru i wyczytał zapowiedź wyścigu z udziałem kilku najlepszych stajni w okolicy. Uczestnicy mieli wystawić swoje najlepsze konie. Dochód przeznaczono na cele dobroczynne. Jego siostra wystawiła Bannera, syna Admirala.

- Ale przecież to był zawsze wcielony diabeł, a nie normalny koń. Pamiętasz, że zdyskwalifikowano go na wyścigach w Belmont za pogryzie startera. Trzeba było sześciu stajennych i nie wiem nawet jakiej ilości środków uspokajających, żeby go ściągnąć z toru.

- To prawda. Ale wygrał wyścigi w Preakness i Smalltown.

- I skreśliłby ci kark, gdybyś tylko dała mu okazję.

Nawet ojciec mówił, że jest zwariowany, kompletnie zwariowany, a wiesz przecież, jak mało jest koni, z którymi stary nie mógłby sobie poradzić .

- Nie ma na świecie takiego konia, z którym nie poradziłaby sobie Susan - oznajmiła Meredith z dumą w głosie. - Admirala je jej z ręki.

- I Susan naprawdę nie gra?

- Nigdy - odparła Meredith, wsypując cukier do

herbaty. - Ponieważ odbiera ich uczucia, uważa, że byłoby to nieuczciwe. Zresztą zawsze tak uważała.

- No tak, pamiętam. - Richard uniósł filiżankę, ale nie przyłożył jej do ust, tylko patrzył w skupieniu na swoją herbatę.

Meredith przypomniała sobie słowa Susan mówiącej, że Richarda martwi coś więcej niż tylko Alfreda. Otworzyła właśnie usta, żeby spytać Richarda, czym się trapi, gdy do kuchni wszedł Loren Cade.

Miał zabłocone buty. Nie pomagały ani prośby Susan, ani krzyki Consuelli, Cade zawsze wchodził do domu w butach, co najwyżej usprawiedliwiając się z uśmiechem, że jest już stary i bez butów marzną mu nogi. Teraz uśmiechnął się szeroko do Richarda i uściśnął mu rękę.

- Cieszę się, że cię widzę, Richard. To miło, że przyjechałeś na ślub Meredith.

- Nie darowałbym sobie, gdybym go opuścił - odpowiedział Richard. - Ja też się cieszę, że cię widzę.

Meredith starała się wyczytać z twarzy Lorena, czy i on zauważa przemianę, jaka zaszła w jej bracie. Jeżeli . nawet tak było, to stary Cade ~.nawet okiem nie mrugnął.

- ~ak tam było w Solvang? - spytała.

- Zadnych klaczy, które warto by kupić dla Admirala - odparł, podchodząc do lodówki. - Musisz dalej robić słodkie oczy do Luke'a, by dopuścił do niego Lady. Byłoby potomstwo, jak się patrzy.

- Robię, co mogę, wujku. - Meredith oparła się ręką o stół i patrzyła na Lorena szykującego sobie kanapki. Ukroił dwie spore pajdy chleba, posmarował je grubo musztardą i położył na każdą plaster szynki. Nie przejmując się musztardą, ściekającą po ściance słoiczka i nie chowając chleba, Loren sięgnął po kubek, wlał kawę i zamieszał trzonkiem noża.

- Lepiej zrobię - powiedział Cade, mierząc rodzeństwo spojrzeniem znad kubka z kawą - jak sobie pójdę, zanim tu -wpadnie Consuella, bo znowu będzie awantura, że chodzę po domu w zabłoconych butach.

- Chyba tak - zgodziła się Meredith.

Loren połknął ostatni kęs, klepnął Richarda w ramię z taką siłą, że ten ·omal nie spadł z krzesła.

- Jęszcze sobie pogadamy po kolacji, co, synu? ~ odezwał się przyjaźnie i wyszedł z domu.

ROZDZIAŁ

6

Podczas kolacji Susan prawie się nie odzywała i nie spoglądała w stronę Richarda, choć siedział naprzeciwko. On z kolei starał się r02Jllawiać z Lorenem Cade, który opowiadał o wyprawie do Solvang, ale złociste refleksy światła, połyskujące we włosach Susan sprawiały, że nie mógł się skupić na r02Jllowie.

Patrząc na nią, myślał, że nie tylko w baśni brzydkie kaczątko mrienia się w pięknego łabędzia. Zmjana dotyczyła czegoś więcej niż tylko koloru włosów, ale nie potrafił tego sprecyzować. Choć parokrotnie podjął próbę przywrócenia oczom Susan zachwycającego blasku, jaki miały, kiedy się spotkali Vi stajni, nie udało mu się to ani razu.

. Przed deserem Susan przeprosiła wszystkich i poszła do swojego pokoju. Kiedy oddalała się od stołu, Richard nie mógł oderwać od niej oczu. Była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział, i budziła w nim takie pożądanie, jakiego jeszcze nigdy nie odczuwał wobec żadnej innej kobiety.

- Weź fajkę, synu - odezwał się Loren Cade, kiedy skończyli jedzenie. - Siądziemy sobie przed kominkiem i pogadamy.

Richard posłusznie poszedł do kuchni, gdzie z0stawił fajkę, i

wrócił przed kominek, na którym płonęły ogromne polana.

Ojciec Susan nie zmienił się od czasów F oxglove.

W jego włosach pojawiło się może więcej siwych nitek, a twarz pokrywała zdrowa opalenizna. Wskazał Richardowi jeden z dwóch głębokich, wyściełanych foteli, stojących przed kominkiem, postawił na stoliku kubek z kawą, wyciągnął z kieszeni wymiętą paczkę papierosów i zapalił.

- Słyszałem, że się masz żenić - odezwał się, wypuszczając dym przez nos.

- Miałem - odpowiedział Richard - ale cztery dni temu narzeczona oddała mi pierścionek zaręczynowy. - Hmm. -

Loren ze smakiem zaciągnął się papierosem. Wypuścił dym i dokończył: - Żałuję, że to słyszę.

- Nie żałuj. Ja nie żałuję. To była kompletna pomyłka;

- Co masz na myśli?

- Nie kocham Alfredy. Nigdy jej nie kochałem.

Teraz dopiero zdałem sobie z tego sprawę.

- T o można by powiedzieć, że wyświadczyła ci przysługę.

- T ak, sam tak teraz sądzę.

- Niesamowite są te kobiety. Człowiek nigdy nie

wie, co sobie myślą. A wiesz czemu? - Loren pochylił się i rzucił Richardowi głębokie spojrzenie zza kłębow dymu. - Bo

VI ogóle nie myślą. One tylko czują. ■ nawet się tego nie wstydzą. Ani nie boją. Nie to co my. Pod tym względem kobiety są całkiem jak konie.

W ciągu tych lat, kiedy się nie widzieli, Susan nabrała całkiem przyzwoitego akcentu, ale jej ojciec dalej mówił tak samo, jak wówczas gdy przyjechali do Foxglove. Richard przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie. Były święta, wszyscy, siedzieli w domu, Loren od rana snuł się lekko zawiany i powtarzał wszystkim, że jest ojcem Susan z "Oplahomy". Tego dnia po południu Richard wyciągnął atlas i poprosił Susan, żeby pokazała mu, gdzie jest Oplahoma. Kiedy nadeszła wiosna, jechał konno i wyśpiewywał na cały głos "Oklahomę" Rogersa i Hammersteina, wymawiając oczywiście "Oh-oh-oh-oh-Oplahoma!" Susan jechała przed nim sztywna jak kij i Richard widział tylko jej płomiennie czerwony kark.

Boże, ależ był ze mnie mały, złośliwy drań, pomyślał. Świetnie wtedy wiedział, gdzie uderzyć, żeby ją zabolalo, a dzisiaj najzupełniej niechcący zrobił dokładnie to samo. Jak tak dalej pójdzie, to nigdy nie zaciągnie jej na wyścigi.

- Jak koń nie lubi biegać, to nie pomoże ani bicie, ani nawet najlepszy dżokej na świecie. Ale jeżeli koń lubi biegać, to co

innego, wtedy potrafi pędzić tak, że mało mu serce nie pęknie. Tak samo jest z kobietami, synu. Tak samo jest z kobietami.

- Masz absolutną rację, Loren. Całkowicie się z tobą zgadzam. Przepraszam na moment.

Richard wstał z fotela i poszedł do kuchni, gdzie Rufus Page zajadał kolejne kawałki szarlotki, a Consuella i Meredith sprzątały ze stołu.

- Jaką kawę pije Susan? - spytał siostry.

- Czarną, z jedną kostką cukru - odparła Meredith i zobaczyła, że Richard napełnia dwa kubki kawą. -

Myślisz, że będę jej przeszkadzał?

- Na pewno - odpowiedziała z uśmiechem.

- T o świetnie.

Richard zacisnął zęby i ruszył korytarzem w stronę schodów. Był gotów znowu narazić się Susan, ale nie potrafił się powstrzymać, musiał coś zrobić. Czuł takie napięcie, że niewiele brakowało, a poprosiłby Lorena o papierosa. Jednak wiedział, że papieros bynajmniej nie zaspokoiłby jego pragnień. Gdyby ktoś go spytał, czego właściwie chce, nie potrafiłby odpowiedzieć, ale był pewien, że to coś wiąże się z Susan.

Gdy stanął przed otwartymi drzwiami, zobaczył ją siedzącą

w głębi pokoju, za mahoniowym biureczkiem, które stało w bibliotece w Foxglove do czasu, gdy Richard wyrył na nim nożem swoje inicjały. Bea nie powiedziała mu wtedy jednego złego słowa. Po prostu kazała wynieść biurko, a ojcu oświadczyła, że postanowiła zmienić wystrój biblioteki.

Richard zupełnie zapomniał o całym wydarzeniu, którego wspomnienie wróciło do niego niespodziewanie w momencie, gdy Susan podniosła wzrok.

- Przyniosłem ci kawę - zaczął. - Czarną z jedną kostką cukru.

- Dziękuję. - Susan wyprostowała się na krześle.

Richard miał wrażenie, że tym gestem chciała się od niego odgradzić. Postawił przed nią kubek i usiadł naprzeciw niej.

- Naprawdę mi przykro, że cię nie poznałem.

- Postawił swój kubek obok kubka Susan, oparł łokcie na krawędzi biurka i wsparł brodę na splecionych palcach. - Zupełnie nie byłem przygotowany na twój widok. Spodziewałem się Susan Cade takiej, jaką zapamiętałem z Foxglove.

Spojrzenie Susan wydało mu się smutne i matowe.

Odblask płonącego na kominku ognia był zbyt odległy, a na biurku stała jedynie najzwyklejsza biurowa lampa, której

światło padało na rozłożone przed dziewczyną papiery.

- Troglodytkę z trądzikiem i rozjaśnionymi włosami.

- Zawsze się zastanawiałem, dlaczego wyglądają
jak mokre siano. ' .

Uśmiechnęła się. Tylko odrobinę.

- T o chyba najmilsza uwaga, jaką w życiu usłysza-:-'
łam na temat swoich włosów. .

- Co ci przyszło do głowy, żeby tlenić włosy? - Nastolatki
miewają głupie pomysły. - Susan wzruszyła ramionami. -
Chciałam wyglądać jak Meredith.

- Dlaczego, na miłość boską?

- Wydawało mi się, że jeżeli będę wyglądała tak jak
ona, to będę również jak ona radzić sobie w życiu. Sądziłam,
że wreszcie zacznę jakoś pasować do otoczenia i że w końcu
wszyscy mnie polubią.

Susan odłożyła na bok rozłożone przed sobą papiery,
zasłaniając zręcznie obrysowane wokół jego inicjałów
serduszko przebite strzałą - zapewne dzieło któregoś z
przyjaciół Meredith.

- Poza tym wymyśliłam sobie, że jeśli upodobnię się do
Meredith, to zniknie obawa, że zostanę odesłana
z Foxglove do domu, do Oklahomy. .

Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Za plecami Richarda, na kominku z trzaskiem pękła kłoda drewna i przez moment w pokoju pojaśniało na tyle, że dostrzegł napięcie we wzroku Susan i jej zaciśniętych ustach.

Miał wrażenie, że dziewczyna powiedziała mu coś ważnego, ale nie potrafił tego zrozumieć.

- Naprawdę chciałbym cię zaprosić na kolację.

- Nie miałeś pojęcia, z kim rozmawiasz. Nie chcę cię trzymać za słowo.

- Tonie. Ja mam ochotę cię trzymać. - Tak blisko, tak mocno i tak szybko, jak tylko będzie to możliwe, dodał w myślach.

- Chciałabym wiedzieć, kiedy jesteś szczery, a kiedy tylko uprzejmy. - Susan uniosła dłoń i przyłożyła palce do skroni. Richard zastanawiał się, czy boli ją głowa, czy też ten gest jest oznaką zdenerwowania. - Po tym jak złamałam ci nos, pomogłam wsiąść na konia i usłyszałam: "dziękuję", przez całe lata miałam wrażenie, że chciałeś mi podziękować za złamanie nosa.

- Dziękuję, że mi pomogłaś.

- Proszę bardzo. - Uśmiechnęła się. - Naprawdę mi przykro, że ci złamałam nos.

- Przyjmuję twoje przeprosiny. Ł. co z kolacją?

- Pójdę pod jednym warunkiem. Powiedz mi uczciwie: dlaczego mnie zapraszasz?

- Mogę powiedzieć, ale wtedy nie pójdziesz.

- Spróbujmy.

- Po prostu po to, żeby móc na ciebie patrzeć.

Najlepiej przez stół, na którym będą stały świece.

W oczach Susan pojawił się znajomy błysk.

- A {iałam nadzieję, że właśnie tak odpowiesz.

ROZDZIAŁ

7

Następny dzień Richard spędził, zwiedzając Santa Barbara, zamieniając funty na dolary i kupując tradycyjną białą bieliznę. Sprzedawca zmierzył go dziwnym spojrzeniem, kiedy usłyszał, że pragnie skorzystać z przebieralni, ale nic nie powiedział. Richard zaciągnął za sobą zasłonę. Kiedy wrzucił do kosza ostatnią parę kolorowych slipków, kupionych na życzenie Alfredy, od razu poczuł się lepiej.

Po raz pierwszy od dawna był naprawdę sobą.

Teraz należało ustalić, jak doszło do tego, że niczego nie pragnął bardziej niż trafić do łóżka z kobietą, którą przez pół swego życia obdarzał pogardą i niechęcią. (Odpowiedź na pytanie, dlaczego tego chciał, była dla niego zupełnie oczywista.)

Gdyby tylko potrafił oddzielić jakoś wspomnienia od terażniejszości, uwolnić się od obrazu tej niewychowanej, zaniedbanej dziewczyny, która tak dłuugo napawała go zgrozą. Gdyby potrafił skupić się na tym, co miał przed oczami, na pociągającej, zmysłowej młodej kobiecie.

Ale tego właśnie nie potrafił. Nie pomogła mu nawet paczka papierosów wypalonych jeden po drugim. Skup się na tym, mówił sobie, żeby zaciągnąć Susan na wyścigi, nie do łóżka. Był podatny na autosugestie póty, póki 'chodził po pełnych ludzi ulicach, Santa Barbara. Gdy widział Susan, jego postanowienia szły w zapomnienie.

„W oknie sklepu z artykułami jeździeckimi znalazł plakat zapowiadający te same wyścigi, których dotyczyła ulotka pokazana mu przez siostrę, oraz stronę poświęconą wydarzeniom życia towarzyskiego, wyciętą z lokalnej gazety. Richard dowiedział się nie tylko, że Meredith patronowała fundacji starającej się zapewnić równy start życiowy dzieciom

w rozmaity sposób upośledzonym, lecz również, że jego siostra miała za sobą poważne sukcesy jako doradca w zakresie inwestycji, a lista jej klientów zawierała wiele poważnych nazwisk. Jeszcze jedna gorzka pigułka do przełknięcia, pomyślał Richard. Podczas gdy on przepuszczał najbezsmyślniej w świecie swoją część funduszu powierniczego, Meredith ukończyła z wyróżnieniem Uniwersytet w Stanford i powiększyła swoją część do rozmiarów całkiem przyzwoitej fortuny.

Odczuł to przede wszystkim jako kolejny cios we własne nadęte ego, jako dowód na to, że razem z pieniędzmi przehulał życie. Było w tym wszystkim jednak jeszcze coś. Zawsze był nieudacznikiem, tak przynajmniej uważał ojciec. Człowiek nie zmienia się tak łatwo, mówił mu jakiś mrQczny głos, dobywający się z głębi duszy. Zatem i Susan nie mogła ulec całkowitej metamorfozie. W tym wspaniałym, oszalałym ciele, ostrzegał sam siebie, czai się ciągle ten sam potwór, który złamał ci nos, skazując na pośmiewisko przed własnym ojcem.

Człowiek nie zmienia się tak łatwo. Richard wiedział, że to banał, ale nie potrafił mu się oprzeć. Tym bardziej - pamiętał albo tak mu się przynajmniej wydawało -

że przybycie Susan do Foxglove natychmiast popsuło do szczętu jego wreszcie ulegające poprawie stosunki z ojcem. To Susan mogłaby być wymarzonym synem Parkera-Harrisa seniora. Była odważnajak diabli, uwielbiała jazdę konną i nigdy się ze sobą nie cackała. Z kolei Bea natychmiast rzuciła się na Susan, chcąc zrobić z niej prawdziwą damę. Richard znowu został samotny i zapomniany. Nigdy nie mógł jej zapomnieć, że w chwili gdy był tak blisko znalezienia swojego miejsca na świecie, przyszła znikąd i zajęła to miejsce.

Kiedy dzwonił o piątej na farmę, niemal pragnął, aby okazało się, że Susan nie ma. Była i podała mu adres restauracji, w której mieli się spotkać o siódmej.

O wpół do siódmej Richard wyszedł z kwiaciarni z jedną, żółtą różą. Wsiadł do samochodu i położył ją troskliwie na siedzeniu, ściągnął pulower, założył marynarkę i przeglądając się w lusterku, zawiązał , starannie krawat.

Przekręcił kluczyk i zaklął - wóz ani drgnął. Otworzył maskę, zaczął grzebać w silniku, ale bez rezultatu, za dziesięć siódma dał za wygraną. ,

Zadzwoił z budki do restauracji z prośbą, aby uprzedzono

doktor Susan Cade, że się spóźni, i do firmy, w której wynajęty był jego samochód, z prośbą o przysłanie mechanika. Mechanik zjawił się za pięć ósma, wymienił akumulator i wskazał mu drogę do restauracji.

Richard był na miejscu o wpół do dziewiątej.

Dowiedział się od szefa sali, że doktor Cade wyszła już jakiś czas temu oraz że ten nie słyszał o żadnej informacji, którą miałby jej przekazać. Klnąc jak szewc, Richard pobiegł do samochodu i w wariackim tempie popędził na ranczo.

Kiedy wpadł do kuchni, Susan siedziała właśnie za stołem, popijając kawę i przeglądając popołudniówkę. Miała na sobie szmaragdową suknię z szerokim dekoltem, na którą narzuciła bolerko.

Boże, jaka była piękna.

! wściekła jak diabli. Kiedy rzuciła mu spojrzenie przez ramię, z jej aczu da sławnie sypnęły skry. Odstawiła gwałtownym ruchem kubek, wstała i ruszyła sztywnym krakiem w stronę drzwi. Nie mógł się pawstrzymać, żeby nie abejrzeć jej nóg. Były cudawnie zgrabne, tak wąskie w kastkach, że Richard nie miał wątp)iwaści - mógłby abjąć je palcami jednej ręki i jeszcze ząstałaby mu trachę miejsca.

- Susan, praszę, zaczekaj sekundkę.

- Zgubiłeś się w mieście? - Odwróciła się, mierząc go. złym wzlakiem. Na piersi miała plamy z kawy, która musiała chlapnąć, gdy adstawiała kubek. - Czy pa prastu stchórzyłeś?

- Wysiadł akumulator w tym chalernym samachodzie.

- Naprawdę? T a jak się tu dostałeś?

- Wezwałem mechanika z firmy.

-'Dlaczego. mnie nie uprzedziłeś?

- Zastawiłem wiadomości w restauracji.

- Nikt mi nic nie powtórzył. Czekałam przez godzinę. - Sięgnęła po serwetkę i ze złością usiłowała zetrzeć plamy z kawy.

Suknia najprawdopodobniej przepadła. A wraz z nią ostatnia szansa, aby trafić w towarzystwie Susan w pobliże tarasu wyścigowego.. Czuł, że całkiem powie, Susan i tak mu nie uwierzy. Był na nią wściekły, ale jeszcze bardziej na siebie. Musi ją jakąś ułagodzić, inaczej nie ma co. łudzić się nadzieją na zaciągnięcie jej na wyścigi, a łóżku nawet nie wspominając.

A prawdę mówiąc, chciał jednego. i drugiego.. Bardziej niż czegośkolwiek w życiu. Bardziej niż pragnął Alfredy czy

aprabaty ajca. Pażądał Susan tak silnie, że niewiele brakawała, a rzuciłby się na nią ad razu, tu; w kuchni, nie zważając na kansekwencje. Zamiast tego, wyciągnął z za pleców różę i pałazył na stale.

Nie wypuszczając serwetki z ręki, Susan aparła drugą a stół. Z jej spajrzenia nie zniknęła złaść, ale zlagadniała przynajmniej na tyle, żeby Richard padjął próbę wyjaśniania sytuacji.

- Nie kupawałbym ci chyba róży w twaim ulubianym kalarze, gdybym nie miał zamiaru przyjsć, prawda?

- Żóhy wcale nie jest maim ulubianym kalarem.

- Owszem, jest.

Richard sam był zdumiany pewnością, z jaką ta pawiedział. Susan zaś -WYdawała się nią najwyraźniej przestraszana.

- Maże Meredith wydaje się, że mnie zna, ale tak naprawdę, ta niewiele a mnie wie.

- Nie pytałem a nic Meredith. Pa prastu wiem, że jest tak, jak mówię.

Sam nie wiedział, skąd miał tę pewność, ale ją miał. Pachylił się nad stałem i delikatnie nakrył dłań Susan własną dłanią. Wyrwała rękę, zrabila krak da tyłu i atarła grzbiet dłani

a suknię, jakby ją sobie ubrudziła.

- Dziękuję ci bardzo. za uprzejmaść - powiedziała, adwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

ROZDZIAŁ

8

Susan zatrzymała się przed kominkiem w salonie, sięgnęła po pogrzebacz i poruszyła węgle, aby upewnić się, że wygasły. Starła się uspokoić, chciała stać się taka sama jak wypalone popioły, ale nie pozwalała jej na to świadomość bólu i pragnienia, jakie wyczuwała w Richardzie.

Nie miał pojęcia, że żóhe róże są moimi ulubionymi, mówiła sobie. To był tylko przypadek. Wszędzie tu pełno żóhych' róż. To niemożliwe, żeby ... Musiał się dowiedzieć od Meredith. Boże, spraw, żeby okazało się, że to ona mu to powiedziała! .

Odłożyła pogrzebacz i spojrzała na ręce. Były równie pewne jak zwykle. Zimne i wilgotne, ale spokojne, choć ciągle czuła na nich dotyk Richarda. Wewnątrz cała trzęsła się z napięcia

wywołanego jego i własnymi przeżyciami, udawało jej się jednak tego nie pokazywać.

Jego to zresztą i tak nic-by nie obeszło, pomyślała gorzko, podchodząc do choinki, którą Meredith uparła się ustawić przed przyjazdem brata. Susan od tak dawna kochała Richarda, że świadomość jego pożądania dławiła jej oddech.

Powstrzymując łzy, przeciągnęła palcami po twardych igłach i wtedy zobaczyła w srebrnej bombce odbicie wchodzącego do salonu Richarda. Odwróciła się w jego stronę, czując, jak zamiera w niej serce. Miał rozluźniony krawat i rozpięty pod szyją guzik od koszuli. W salonie było tylko tyle światła, ile padało go przez drzwi z kuchni i Susan ucieszyła się, że Richard nie może wyraźnie zobaczyć jej twarzy.

- Chcesz czegoś jeszcze? - spytała chłodno. ~ Tak.

Podszedł do niej szybkim krokiem; chwycił ją w ramiona i gwahownie pocałował w usta. Nie zmuszał jej do odpowiedzi, po prostu przycisnął wargi do jej ust i czekał. Gdy nie zareagowała w żaden sposób, odsunął ją na odległość wyciągniętych ramion i popatrzył jej w oczy, zaciskając zęby.

- Chciałem tego, odkąd zobaczyłem cię w stajni, ale to jeszcze nie wszystko. Mam ci powiedzieć resztę czy pokazać?

Susan i tak świetnie wiedziała, czego od niej chce. Słyszała to w drzeniu jego głosu, czuła w bijącym od niego żarze.

Nie miało sensu mówić Richardowi, że rozumie, co on czuje. I tak by jej nie uwierzył. Podobnie jak nie uwierzyłby jej, że to, czego pragnie, jest również od lat jej największym marzeniem. Wszystko inne świetnie jej się udało. Chciała być weterynarzem i była. Jej ojciec od pięciu lat nie wypił ani kropli alkoholu. Miała własne ranczo i własne konie.

- Pokaż mi - szepnęła, nie wahając się ani przez sekundę.

Stali blisko siebie. Susan czuła jego podniecenie, napięcie, z jakim ją przygarniał, niespokojne palce gładzące jej plecy. W jego oczach widziała odblask zapalonych na choince żaróweczek.

Richard nie pocałował jej. Delikatnie przesunął czubkiem nosa wzdłuż jej nosa, aż do nasady brwi.

Poczuła zmieszanie i nieoczekiwaną przyjemność, jaką sprawił jej ten zaskakujący gest.

Wiedziała, że chciał ją pocałować. Nie zrobił tego.

Była zbита z tropu i przestraszona. Tak jak przedtem różą. Usta Richarda dotknęły jej skroni. Zamknęła oczy, poczuła miękki dotyk jego warg, usłyszała, jak z wysiłkiem przetyka ślinę. W

głowie wibrowało jej jakieś nieuchwytnie, niepokojące uczucie, po plecach przebiegły dreszcze.

- Och, Susan - szepnął Richard ochryłym głosem, błędząc wargami PQ jej policzku.

Och; Susan, co? Spróbowała zebrać myśli i skupić się na tym, co działo się w głowie Richarda, tak jak robiła to z Admiralem, ale nie była w stanie wyczuć niczego poza wirami nieprzytomnych emocji, wybuchających co chwila tysiącami iskier jak fajerwerki.

- Powiedz mi to, proszę - powiedziała, zdając sobie sprawę z tego, co mówi, dopiero w chwili gdy usłyszała własny głos. —

- Co powiedzieć? - zapytał szeptem, nieznacznie wolno przesuając usta w kierunku jej ust.

Przeniósł ręce na jej talie, ujmując ją nieco powyżej bioder i Susan poczuła, jak przebiega ją kolejny dreszcz. Powiedz mi, że mnie kochasz, błagała w myśli, choć wiedziała, że nie byłaby to prawda. Powiedz mi, że mnie kochasz.

- Powiedz cokolwiek - odpowiedziała, czując, jak ręce Richarda przesuwały się w górę, w okolice jej piersi.

- Jesteś taka piękna. Jesteś taka piękna - wyszeptał.

Ton jego głosu wywołał kolejną falę gorąca i kolejny

dreszcz. Nawet to połowiczne spełnienie, marzeń było całkiem słodkie. Susan uśmiechnęła się leciutko, odsunęła twarz i otworzyła oczy.

Patrzył na nią, ale nie patrzył jej w oczy. Wzrok skupił na piersiach, które, otaczał dłońmi, usta miał rozchylone, powieki półprzymknięte. Poczwała, że od., dycha z trudem, tak jak ona. Richard nakrył czubki jej piersi kciukami. Zrobił to tak lekko i delikatnie, że niemal niewyczuwalnie. Ogarnęło ją pragnienie, aby do niego przylgnąć, aby poczuć wyraźniej dotyk jego palców, które, pieściły jej sutki leciutkimi okrążeniami. Wszystko to trwało tylko moment, ale sprawiło, że już nie potrafiła go odtrącić.

Obejmując ją delikatnie prawą ręką, Richard ułożył ją na dywanie i sam wyciągnął się obok niej. Kciuk jego lewej dłoni nie przestawał krążyć wokół jej sutka, gdy pochylił się nad jej piersią i zaczął ssać jej czubek przez cienką suknię.

W głowie Susan eksplodowały różnokolorowe fajerwerki, wszystko co docierało do niej w tym momencie to tysiące kolorów. Och, kochaj mnie, kochaj mnie chociaż trochę, powtarzała bezgłośnie, pragnąc, aby jej słowa jakoś do niego dotarły. Kochaj mnie, Richard, kochaj mnie!

- Kocham - odpowiedział, unosząc głowę.

- Co? - Susan nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Powiedziałaś "kochaj mnie" - odpowiedział swoim niskim, aksamitnie łagodnym głosem.

- Ale ... - Nie powiedziałam tego na głos, dokończyła w myśli, chociaż wcale nie była już tego taka pewna.

- Ale co?

. Musiałam powiedzieć na głos, pomyślała. Musiałam.

- Już nic. Pocałuj mnie.

, Pocałował ją równie łagodnie jak poprzednio. Kochaj mnie, powtarzała Susan, czując, jak dłoń Richarda przesuwa się wzdłuż jej biodra i jak unosi delikatnie jej sukienkę. Zadrżała, kiedy poczuła jego palce na udzie.

- O Boże.-: Richard oderwał usta od ust dziewczyny. - Och, Susan ..

- Och, Susan; co?' - wyszeptała, unosząc rękę do jego włosów.

- Och, Susan, ja ...

Pomimo oszłamiająco głośnego bicia serca, Jej a może serca Richarda, Susan usłyszała odgłos otwierania zewnętrznych drzwi do kuchni.

- Hej, Susie - rozległ się głos jej ojca. - Nie śpisz jeszcze?

Oboje jednocześnie poderwali się na nogi. Richard strzepnął jej zadartą spódnicę, podczas gdy ona starła szminkę z jego ust.

- Nie, tutaj jestem. Richard przygładził włosy.

- Tutaj, Susie?

Loren Cade stanął w drzwiach do salonu. Kiedy zapalił światło, Susan na moment zmrużyła oczy.

- Dobry wieczór, Loren - odezwał się Richard najzupełniej naturalnym głosem.

- Dobry wieczór - odpowiedział Loren nieco wolniej niż zwykle.

Starając się nie mrużyć oczu, Susan spojrzała ojcowi w twarz.

- Pijemy kawę. Napijesz się z nami? Loren przyjrzał jej się uważnie.

- Ale przecież kubki są w kuchni?

- Ach, tak. - Susan machnęła ręką. - A ja głupia szukam ich pod choinką.

- N o tak, zwłaszcza bez światła trudno byłoby ci je znaleźć. Nie przeszkadzajcie sobie, sam się uporam z kawą.

Stukając obcasami, wyszedł do kuchni. Susan ukryła twarz na piersi Richarda.

- Nie uwierzył mi - szepnęła.
- Jasne.
- Boże, jakie to idiotyczne. Przepraszam cię, Richard.
- Nie ma za co, Susano Jesteśmy przecież dorośli.
- Uniósł palcem jej brodę. - Żałuję tylko, że nie zabrałem cię do siebie, do pokoju. Bardzo tego żałuję. -
Uważaj - ostrzegła go łagodnie. - Uważaj, bo twoje życzenia mogą się jeszcze spełnić.

ROZDZIAŁ

9

Tego właśnie najbardziej się obawiał, że bez wątpienia zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, aby lepiej wykorzystać następną szansę. Być może najpierw postara się zaciągnąć ją na wyścigi, ale był świadom, że sama wygrana mu nie wystarczy.

Czuł się jak ostatnia świnia. Nie wolno mu było ciągnąć Susan do łóżka, nie kochając jej. A co do tego, że jej nie

kocha, nie miał żadnych wątpliwości.

Ona wiedziała o tym równie dobrze, co zresztą w niczym nie zmieniało faktu, że musiała powstrzymać się całym wysiłkiem "woli, aby nie przemknąć korytarzem do gościnnego pokoju, prosto w ramiona Richarda.

Pragnęła go bardziej niż kogokolwiek w życiu, wiedziała jednak z doświadczenia, że czasem nie powinno się ulegać zbyt mocnym uczuciom. Zdawała sobie sprawę z faktu, że gdyby to zrobiła, to nic nie sprawiłoby jej większego bólu niż jego powtórne zniknięcie. A była pewna, że zniknie natychmiast po tym, jak tylko skończy się uroczystość ślubna Meredith i Luke'a.

Żadne z nich nie odpoczęło tej nocy. Richard dopalał paczkę papierosów, doprowadzając się do nieznośnego bólu głowy. Susan krążyła niespokojnie po pokoju. Oboje zapadli w sen niemal równocześnie, w porze gdy niebo zaczynało szarzeć, oboje spali niespokojnie, dręczeni szalonymi, erotycznymi snami, oboje zbudzili się zmęczeni i niewyspani parę minut po dziewiątej.

Nie zdarzyło się dotąd, żeby doktor Susan Cade spóźniła się do stajni. Kiedy zobaczyła, która jest godzina, z wysiłkiem usiadła na łóżku, sięgnęła po telefon i wykręciła numer do

Roundhouse. Na szczęście Luke, kiedy już się wyłócił, złagodniał i powiedział, żeby się nie śpieszyła.

Zdecydowała się go posłuchać, napełniła wannę wodą i zanurzyła się w niej po szyję. Zastanowiła się nad całą sytuacją i doszła do wniosku, że szaleństwem jest kochać mężczyznę, który porzuci ją, gdy tylko osiągnie to, czego pragnie. Ubierając się przysięgała sobie, że będzie silna i twarda jak skała.

Richard w tym czasie stał pod gorącym prysznicem i przeklinał. Wciągając spodnie, przyrzekł sobie, że bezwzględnie skończy z papierosami, ale zanim zawiązał sznurowadła, rzucił okiem na popielniczkę, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie znajdzie się w niej jakiś niedopałek, z którego dałoby się wyciągnąć jeszcze choć odrobinę dymu.

Kiedy usłyszeli krzyk, oboje wyskoczyli równocześnie ze swoich sypialni. Spojrzeli na siebie.

Podkrążone oczy Susan sprawiły, że Richard zapragnął objąć dziewczynę i łagodnie ukołysać do snu. Susan chciała go po prostu pocałować.

- Kto to krzyczał? - spytał.

- Pewnie Consuella - odpowiedziała. - Zwykle podnosi krzyk, kiedy tata wchodzi do domu w zabłoconych

butach.

Żadne z nich nie miało pojęcia, które zrobiło pierwszy ruch. Nim przebrzmiały słowa, stali spleceni ramionami i Richard obsypywał Susan namiętnymi pocałunkami. Jej usta miały smak miętowej pasty do zębów i zbawienia, jego - tytoniu i pożądania.

T o drugie sprawiło, że gwałtownie go odepchnęła. - To nie ma sensu ~ szepnęła. - Nie lubimy się.

Nawet się nie znamy. A na pewno nie na tyle, żeby iść do łóżka.

- Myślę, że bardzo dobrze się znamy - odparł bez namysłu.

- I właśnie dlatego zawsze mieliśmy ze sobą tyle problemów.

Jej także przychodziło to czasem do głowy.

- W wieku dwunastu lat -powiedziała - nie miałam nawet pojęcia, co znaczy słowo "seks".

- A ja wtedy miałem piętnaście. I rozumiałem to słowo w kilku językach.

- Uważałeś mnie za wiejską prostytutkę.

- Takie drobiazgi przestają się liczyć, kiedy do głosu dochodzą hormony.

Nie chciał, żeby to tak zabrzmiało. W oczach Susan natychmiast pojawił się ból. Ściągnęła ramiona, zacisnęła

usta, odwróciła się i ruszyła w stronę kuchni.

- Susan, zaczekaj. - Pobiegnął za nią. -

Chwytał ją za rękę, ale go odtrąciła. Dopiero przy samych drzwiach do kuchni udało mu się ją zatrzymać~

•. - Chodziło mi tylko o to ... - zaczął i urwał. Susan gwałtownie otworzyła drzwi i widok, który ujrzeli, sprawił, że Richard zapomniał natychmiast, co właściwie miał zamiar jej powiedzieć.

Przy kuchennym stole stała Meredith i wielkim nożem, zapewne pożyczonym od siedzącego obok Lorena, szarpała coś białego, zwiewnego, pełnego tiulu i koronek. Teraz oboje uprzytomnili sobie, że krzyk, który wyrwał ich z pokojów, był krzykiem Meredith, a zarazem zrozumieli, że jego przyczyną było właśnie to coś białego, co w zapamiętaniu rozszarpała na strzępy.

- Meredith, czy to twój welon? - zaczęła Susan.

- Ten, na który czekałaś od sześciu tygodni?

- Od ośmiu - odparła Meredith, z trzaskiem rozpruwając kolejny kawałek. Strzępy muszliny fruwały dookoła, lądując na jej włosach, jakaś nitka wpadła do kawy Lorena, który ze stoickim spokojem wyłowił ją palcami i pociągnął długi łyk. .

- Dlaczego w takim razie to robisz? - zapytała Susan.

- Dlatego że moja suknia jest w kolorze kości słoniowej, Susano Kości słoniowej. A ten cholerny welon jest biały, śnieżnobiały. Dziewiczo biały, Susan .. Tak jak ty.

Susan aż się wzdrygnęła. Richard stał dostatecznie blisko, aby usłyszeć, jak dziewczyna wstrzymuje oddech, i dostrzec, jak krew odpływa z jej twarzy. Natychmiast zrobiła w tył zwrot i ruszyła w stronę drzwi.

- Przepraszam, Susan - opamiętała się natychmiast Meredith. - Nie chciałam tego powiedzieć. Wiesz, że ja ... ,

- Już i tak jestem spóźniona do pracy - rzuciła Susan od drzwi. - Bawcie się dobrze, robiąc confetti.

I użalając się nad biedną Susan, jeśli to, co powiedziała Meredith, jest prawdą, dodał w myśli Richard . Na samą myśl, że może nią być, poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Kiedyś nie darowałby sobie takiej znakomitej okazji do znęcania się nad Susan i ona na pewno o tym pomyślała. Tylko że całkowicie się myliła.

Drzwi trzasnęły tak, że aż zadźwięczały szklanki w kredensie. Loren i Meredith równocześnie odwrócili się w ślad za Susan.

- Dokąd pędzisz, Richard?

- ~trzymać ją! - krzyknął.

Jednak nie pobiegł tak, jak zamierzał, na skrót, przez trawnik. Stał w miejscu jak wryty. Biegąc w stronę stojących na parkingu samochodów, Susan najwyraźniej ocierała oczy rękawem.

Boże! - pomyślał, niech piorun strzeli w Meredith, we mnie i w te nasze niewyparzone gęby. Słuchając wściekłego ryku silnika i pisku opon, Richard poczuł prawdziwy żal, że nie może ptzekreślić w jakiś magiczny sposób wszystkiego, co powiedział w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Nie wspominając już o poprzednich piętnastu latach.

Ale niezależnie od tego, jak bardzo chciał, nie mógł. Pozostało mu tylko stać i patrzeć, jak srebrzysty blilizer Susan oddala się w kierunku bramy. Potem usłyszał , skrzypnięcie driwi i zauważył przez ramię idącą w jego stronę Meredith.

- Płakała? - spytała siostra.

- Chyba tak. - Richard odwrócił się do Meredith i spytał: - No to jak z nią w końcu jest? - Jak to, jak z nią jest?

- No wiesz, o co mi chodzi. Czy Susan jest...

Przerwał mu wrzask mrozący krew w żyłach. Poranne krzyki Meredith brzmiały przy nim jak słowicze trele.

- O Boże! Consuellal - Siostra odwróciła się na pięcie i pobięła w stronę domu, mijając w drzwiach Lorena, niosącego w ręku kompletnie rozplaszczony kapelusz.

- Ładnie się zaczyna, nie, Richie? - rzucił ojciec Susan, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów. - Już dawno nie słyshałem tyle krzyku przed śniadaniem.

Loren wyciągnął papierosa, zapalił go, a potem podsunął paczkę wraz z zapalniczką Richardowi. Choć Richard, co prawda, wolałby drinka, najlepiej podwójnego, z ulgą sięgnął i po papierosa. Zaciągnął się głę~ boko i pełen wdzięczności oddał zapalniczkę Lorenowi.

- Rzuciłem papierosy cztery lata temu - przyznał.

- Ale wczoraj znowu wypaliłem całą paczkę.

- No cóż, synu - Loren poprawił zdeformowany kapelusz, przyjrzał mu się uważnie i wsadził na głowę. - wiem z własnego doświadczenia, że jak facet sobie nie ulży, to mogą się z nim zacząć dziać naprawdę dziwne rzeczy.

Richard natychmiast zakrztusił się dymem z papierosa. Kaszlał i prychał, aż oczy zaszły mu łzami.

- Niesamowite, co się czasem dzieje - ciągnął spokojnie Loren, podczas gdy Richard rozpaczliwie walczył o życie - Widziałem ogiery, które Qosłownie wario~ały, nie mogąc

dobrać się do klaczy.

- Zartujesz - mruknął Richard, kiedy wreszcie złapał oddech.

- Bynajmniej, synu. Bynajmniej. Zdarzyło mi się już, że musiałem zastrzelić takiego wariata. Omal nie zabił klaczy, jak już ją wreszcie dopadł. Kiedyś chciałem nawet zastrzelić starego Admirala, ale Susie go jakoś uspokoiła.

- Daję ci słowo, Loren - powiedział Richard ochrypłym głosem, walcząc z napływającymi do 'oczu łzami - nie mam zamiaru zwariować.

- Cieszę się, że to słyszę, synu. Bardzo się cieszę. - Loren poklepał Richarda po ramieniu. - Naprawdę byłoby mi szkoda, gdybym musiał cię zastrzelić.

ROZDZIAŁ

10

Meredith słuchając dobiegającej przez okno rozmowy dwóch mężczyzn, nie mogła się powstrzymać, żeby nie zakląć.

Cholera jasna, tego dnia po prostu wszystko szło na opak.

Ona sama zraniła Susan. Wizja ślubu rysowała się w coraz czarniejszych barwach, a w dodatku wszystko wskazywało na to, że rychło można się spodziewać pogrzebu w rodzinie. Trudno byłoby zwalić całą winę na Richarda, ale z drugiej strony trzeba przyznać, że zaczął fatalnie. Najpierw nie poznał Susan, a potem usiłował ją uwieść na podłodze, na środku salonu. Idiota.

Meredith od dawna wiedziała, że po bracie może się / spodziewać dosłownie wszystkiego. Nie przewidziała natomiast tego, że Loren okaże się tak zdecydowanym obrońcą honoru córki. Zawsze wydawało jej się, że ojciec Susan lubił Richarda.

Czy to możliwe, zastanawiała się, że Loren uświadomił sobie to, co ona wiedziała od dawna, że najgorszym wrogiem Richarda jest on sam. że zawsze, kiedy los litował się nad nim i podsuwał coś, co mogło go . wreszcie uratować, on pierwszy rozbijał to coś w drobnymak. Na przykład se(ce Susan.

Jeżeli tak, to czekały ich wszystkich poważne kłopoty.

Przypomniała sobie ulubiony kubek Richarda w Foxglove. Napis na kubku głosił "Miej nadzieję na najlepsze, spodziewaj się najgorszego" . Richard zawsze stosował się do tej maksy, a często wręcz dokładał starań, aby się sprawdziła.

Niech to diabli, dosyć tego! Meredith była zdecydowana, że tym razem nie pozwoli mu tak łatwo przegrać. Przyszła pora, żeby i on wreszcie coś wygrał od życia. Piękną dziewczynę, która kocha go do szaleństwa.

Przez okno widziała Lorena, zmierzającego wolnym krokiem w stronę stajni. Kiedy Richard ruszył w ślad za nim, wychyliła się przez okno i zawołała:

- Richard!

Powoli odwrócił się w jej stronę. Jego włosy lśniły w porannym słońcu.

- Potrzebuję kierowcy - powiedziała Meredith - i kogoś, kto wyciągnie mnie z aresztu.

- Dlaczego? Masz zamiar kogoś zabić?

- Nie wiem jeszcze. Mam zamiar zawieźć ten cholerny welon do krawca, a ponieważ usiłował mi wmówić przez telefon, że zamawiałam biały, to bardzo możliwe, że go uduszę, wpychając mu te strzępy do gardła.

Richard rzucił przez ramię spojrzenie za oddalającym się Lorenem. Meredith natychmiast podjęła decyzję.

- A poza tym chcę wstąpić do Roundhouse, do Luke'a.

- Roundhouse? Czy to tam pracuje Susan?

- Tak - odparła, dziękując Bogu, że brat zapamiętał nazwę.

- Zaraz wezmę marynarkę.

W pięć minut później jechali szosą w kierunku Santa Barbara. Rozparta wygodnie na siedzeniu, Meredith patrzyła na Richarda. Przyjemnie było stwierdzić, że jej brat jest nie tylko przystojny, ale również świetnie prowadzi. Cały czas jednak nie potrafiła się przyzwyczaić do cudownej przemiany jego powierzchowności. Przez wiele lat nie mogła zrozumieć, co Susan w nim widzi. Teraz rozważała, czy to możliwe, aby przyjaciółka dzięki swemu cudownemu darowi potrafiła przewidzieć przemianę niezdarnego chłopca w cudownego, porywająco pięknego mężczyznę.

Recepcjonistka u krawca natychmiast poznała Susan, ale jej oczy otworzyły się naprawdę szeroko dopiero na widok Richarda.

- Dzień dobry pani. Czy to ... to pani narzeczony?

- spytała z wyrazem cielecego zachwyty na twarzy.

Przez moment Meredith chciała potwierdzić, ale zaraz przypomniała sobie, po co tu przyszła, i od razu straciła ochotę do żartów. ./,

- Nie, Roxanne. To mój brat, Richard.

'- Bardzo mi miło. - Roxanne natychmiast zerwała się z krzesła, aby w pełni zademonstrować uroki swego opalonego na brąz ciała. Przerzuciła długie jasne włosy przez ramię i spojrzała na Richarda kuszącym wzrokiem.

- Dzień dobry. - Z twarzy brata ani na moment nie znikł wyraz pełnej napięcia, zamyślanej uwagi, jaki gościł na niej przez całą drogę.

Richard schował do kieszeni słoneczne okulary i podszedł do gabloty, w której znajdowały się wzory welonów. Meredith nie bez zaskoczenia zauważyła, że pozostawał najzupełniej nieczuły nie tylko na wdzięki Roxanne, ale nawet na fakt, że robi na niej tak piorunujące wrażenie.

Postanowiła upewnić się co do tego.

- Ty i Roxanne macie ze sobą wiele wspólnego'

- odezwała się do brata. - Ona skończyła z wyróżnieniem Uniwersytet Stanowy w Kalifornii • a ty Princeton.

Richard spojrzał na nie, co Roxanne natychmiast wykorzystała, aby przesłać mu kolejny czarujący uśmiech.

- Doprawdy - powiedział uprzejmie i znowu odwrócił się tyłem.

- Pracuje tu po to, żeby zarobić na studia. Roxanne studiuje

ar-chi-tek-tu-rę!

T o ostatnie słowo wypowiedziała powoli, wymawiając oddzielnie każdą sylabę. Richard znowu rzucił im tylko przelotne spojrzenie.

- To trudna dziedzina - zauważył krótko. Meredith zrezygnowała z dalszych wysiłków, by zainteresować go Roxanne.

- Chciałabym widzieć się z Phillipem.

- Niestety, pani Parker-Harris, jak pani wiadomo pan Phillip spotyka się tylko z umówionymi klientkami.

- Świetnie - oświadczyła Meredith. Położyła na stole białe pudełko i zdjęła pokrywkę. - W takim razie proszę mu to dać.

Roxanne zajrzała do środka i zapytała niepewnym głosem:

- A co to jest?

- Welon. Phillip zrobił go dla mnie, ale ja go wcale nie zamawiałam. - Meredith sięgnęła do torby i wyjęła kopię zamówienia. - Zamawiałam welon w kolorze kości słoniowej. To jest wyraźnie napisane.

Roxanne rzuciła okiem na kartkę i oddała ją Meredith.

- Rzeczywiście. Proszę moment zaczekać. Roxanne minęła Richarda i, kręcąc tyłeczkiem w minispódniczce, ruszyła korytarzem w stronę pracowni. Meredith obserwowała brata.

Spoglądał na zegarek, powstrzymując ziewnięcie.

- Czy ty masz te swoje szkła? - spytała podejrzliwie.

- Oczywiście. Nie mógłbym bez nich prowadzić wozu.

- Wyglądasz na zmęczonego. Dobrze spałeś?

- Mówiłem ci już, Meredith. Jestem wykończony

robieniem po parę tysięcy kilometrów co drugi dzień. Nie mogę się przyzwyczaić do tutejszego zegara.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł szefpracowni. Wyraźnie zwlekał z wejściem, ale do czasu. Jego wzrok padł na Richarda. W tym samym momencie na twarzy krawca pojawiły się nieomylnie oznaki miłości od pierwszego wejrzenia. .

- Niech pani nic nie mówi - odezwał się, kiedy Richard oderwał wreszcie wzrok od welonów. - T o pani narzeczony.

- Nie. To mój brat. ~

- Cudowny. - Phillip zmierzył Richarda wzrokiem. - Wymarzony družba. Nie można było lepiej wybrać.

Krawiec zdjął już zawieszony na szyi metr, gdy Richard powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie przyszliśmy tu w mojej sprawie. Proszę porozmawiać z moją siostrą.

Phillip bez entuzjazmu odwrócił się do Meredith. - No to

proszę pokazać mi ten kwit, na którym rzekomo jest napisane, że tiul miał być w kolorze kości słoniowej.

- Nie rzekomo, tylko jest napisane - poprawiła go Meredith. Krawiec rzucił okiem na kwit i oddał go właścicielce. - T o najwyraźniej pomyłka.

- Nie - odparła Meredith. - T o jest oczywista pomyłka - dodała, podniosła pudełko ze stołu i wysypała strzępy welonu na różowe tenisówki krawca. - Chociaż może powinnam była powiedzieć: "to była pomyłka". - Bardzo nieładnie, Meredith - powiedział butnie Phillip. - Oczekujesz, jak przypuszczam, że uszyję teraz następny?

- Mało powiedzieć "oczekuję". Żądam.

- Obawiam się, że nie. Zrobiłem ci uprzejmość i kosztem innych zamówień zaprojektowałem ten welon. No ale teraz naprawdę nie widzę powodu, żeby dalej się tak dla ciebie wysilać.

- Jesteś pewny? - zapytała Meredith wojowniczym tonem. - Czy wiesz, co to znaczy IRA?

Phillip zmierzył ją wściekłym spojrzeniem. - Nie ośmielisz się.

- Biorę ślub równo za cztery tygodnie. - Meredith wrzuciła kwit do torebki i zamknęła ją z trzaskiem. - Jeżeli

nie będę miała welonu, to nie masz co marzyć o willi w Acapulco.

Odwróciła się na pięCie i ruszyła w kierunku otwar~ tych przez Richarda drzwi.

- Szantaż! - zawołał za nimi krawiec.

- Nazywaj to, jak chcesz - powiedziała Meredith, odwracając się na moment w progu. - Ale pamiętaj,, albo zrobisz welon, albo ja zrobię z ciebie nędzarza. - Naprawdę zrobiłabyś z niego nędzarza? - spytał Richard, kiedy wsiedli do samochodu.

- Nie, chociaż mam na to najszczerzą ochotę

- odpowiedziała, zapinając pas. - Jak ten idiota mógł pomylić biel z kością słoniową?

- Może jest daltonistą? - odpowiedział, parskając śmiechem.

- Śmiej się na zdrowie. W końcu to nie twój ślub.

_ Przepraszam - odpowiedział - ale, prawdę mówiąc, facetowi, który. nosi różowe tenisówki, nie pozwoliłbym zaprojektować dla siebie nawet worka na brudną bieliznę.

- Ma Jeszcze szkarłatne. I seledynowe.

- I ty powierzasz mu uszycie sukni ślubnej?

_ Może masz rację. Może on rzeczywiście jest

daltonistą.

Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, roześmiali się razem. Dotychczas Richard zawsze śmiał się z niej. I z Susano Dopiero w college'u, podczas zajęć z psychologii, Meredith uświadomiła sobie, dlaczego się tak zachowywał. Starał się ująć im wartości, tak jak sam nieustannie pozbawiany był poczucia własnej wartości przez ojca, matkę i babkę.

Biedny Richard, pomyślała.

_ Biedny Phillip - odezwała się głośno, gdy już ruszyli. - Mam wrażenie, że dla ciebie byłby gotów wyrzec się nawet swoich różowych tenisówek.

_ Dziękuję - odpowiedział uprzejmie. - Nie był w moim typie.

_ A Roxanne? Gdybyś tylko mrugnął, miałbyś na każde zawołanie własną, żywą lalkę Barbie.

_ Też nie w moim typie - odpowiedział i założył okulary.

- A jaki jest twój typ?

_ Jeszcze tydzień temu powiedziałbym, że blon~ dynki błękitnej krwi. Ale teraz już sam nie wiem.

Meredith patrzyła na brata z nadzieją, że dorzuci coś o

długonogich rudzielcach, ale Richard najpierw długo milczał, a potem westchnął ciężko i pokręcił głową: _ Naprawdę, nic już nie wiem - powiedział wreszcie. Przyczesał palcami włosy i dodał: - **I** zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek będę wiedział.

Meredith rozmyślała, czy tajemnica złego samopoczucia brata rzeczywiście kryje się tylko w nagłej zmianie klimatu i strefy czasowej, czy też jest spowodowana niepokojem. Richard od dziecka miewał napady duszności. Początkowo lekarze sądzili, że to astma potem pojawiło się przypuszczenie, że ataki występują na tle nerwowym.

- Jakże, do diabła, masz powody, żeby się denerwować? Co cię ma niepokoić? - krzyczał wtedy Parker-Harns senior, stojąc nad chłopcem z zaczerwienioną od gniewu twarzą.

Zaraz potem było Święto Dziękczynienia, najgorsze, jakie Meredith zapamiętała z dzieciństwa pierwsze, podczas którego w Foxglove była Susan. Na kolacji siedziało dwadzieścia parę osób. Było za dużo jedzenia i udawanej uprzejmości. Richard wstał od stołu i zwymiotował na wełniany, chiński dywan.

Susan wybuchnęła płaczem, podczas gdy sam winowajca stał blady jak chusta, nie roniąc ani jednej łzy.

O dzieŚniętej Wieczorem Susan ciągle wstrząsało lkanie. Meredith rzuciła się na nią i nakryła jej głowę poduszką.

- To nie ja płacę! - wykrztusiła wtedy Susano - T o Richard!

Okazało się to nieprawdą. Meredith poszła prosto do pokoju brata. Leżał w ciemnym pokoju, odwrócony twarzą do ściany, ale wydał jej się spokojny jak głaz.

- Susan pOWiedZiała, że płaczesz.

- Susan to' wariatka - odparował. - Ja nigdy nie płacę.

Następnego dnia, z samego rana, wyjechał do szkoły, choć miał zostać w domu jeszcze przez trzy dni.

ZaCiekawiło Ją, czy od tego czasu nauczył się płakać i czy polubił indyka.

No nie! - jęknęła. - Zdaje się, że zapomniałam wziąć listę zakupów, którą ułożyłam razem z Consuellą. Nie widziałeś jej może? Była spisana po hiszpańsku na odwrocie ...

_ Niebieskiej koperty? - Richard wyciągnął kopertę z kieszeni na drzwiach samochodu.

- Tak to ona. Chwała Bogu.

Richard rzucił spojrzenie na listę i spytał:

- Co to jest *pavo*? . -

_ Indyk - odpowiedziała, chowając kopertę do torebki.

- Byle nie dla mnie. Nienawidzę indyk.a. .

_ Wiem, Richard. Ale jutro mamy SWIĘto DZIĘkczynienia.

ROZDZIAŁ

11

Jutro Święto Dziękczynienia, a za miesiąc Boże Narodzenie i ślub, pomyślał Richard. Co daje mu cztery tygodnie, lub ściślej dwadzieścia dziewięć dni na osiągnięcie celu.

Oczywiście, nikt nie powiedział, że ma zniknąć z rancza razem z papierami, w które opakowane były prezenty gwiazdkowe. Skoro jednak przyjechał na ślub Meredith, Jo było jasne, że wkrótce po nim wyjedzie. Pozostawało palące pytanie - dokąd?

Kiedy siedział w samolocie, ze szklaneczką Krwawej Mary w rękę, jego plan wydawał się dziecinnie prosty: zaciągnie Susan na wyścigi, zatańczy z Meredith na przyjęciu weselnym i zniknie. Zamiast tego już dwukrotnie uraził Susan i wzbudził podejrzliwość jej ojca. Pozostawało mu jeszcze zatańczyć z siostrą.

Wtedy był pewien, że wygrana na wyścigach należy mu się

jako rekompensata za złamany nos i że Susan mu nie odmówi. Teraz był pewien tylko tego, że jeżeli w ciągu kwadransa nie wypije drinka, to rosnący mu w piersi balon pełen złości na pewno wybuchnie. Uśmiechnął się do Meredith i powiedział:

- Chodź, zapraszam cię na obiad.

W dziesięć minut później siedzieli przy stole w meksykańskiej knajpce nie opodal plaży. Richard zamówił *tequilę*, wypił ją dwoma łykami i poprosił o następną. Kiedy opróżnił szklaneczkę, zamówił kolejną. Meredith odłożyła sztucce i przyjrzała mu się uważnie.

- Pijesz tę *tequilę*, zupełnie jak twoja babka pije swoje drinki.

- Babcia rzeczywiście sporo pije - odparł beztrąsko - ale wydaje mi się, że jej to zupełnie nie szkodzi. - Ona jest nałogową alkoholiczką, Richard.

- No, może - przyznał niechętnie. - Ale znakomitą w swojej klasie.

Tequila zrobiła swoje, napięcie w piersi zelzało.

Richard znów poczuł się odprężony i w świetnej formie. No i co z tego, pomyślał, że jest kapitanem okrętu bez steru? Jeszcze ciągle ma parę groszy, kupi sobie nową łajbę.

- Chciałabym już stąd wyjść - oznajmiła Meredith, wstając od stołu.

Richard przełknął ostatni łyk, położył pieniądze na stole i ruszył za siostrą. Świeży powiew wiatru od morza i widok kołyszących się palm - wprowadził go w błogostan. Co za cudowne miejsce. W Santa Barbara czuł się bezpieczny. Tak jakby wszystkie życiowe sztormy miały pozostać równie dalekie o.d niego, jak rzeczywiste sztormy pozostawały. dalekie od tej plaży, dzięki łańcuchowi c~roniących ją wysp.

Nie było to może bardzo oryginalne porównanie, pomyślał, ale i tak był z niego zadowolony. Z bło~ uśmiechem wyjął z kieszeni kluczyki, które Meredith niemal wyrwała mu z ręki.

- Ja poprowadzę - oświadczyła sucho.

- Jak chcesz - odpowiedział, nadal 'się uśmiechając. - Ale zapewniam cię, że jestem w świetnej formie. Spójrz tylko. '

Zamknął oczy, wyprostował rękę, a potem bezbłędnie tram palcem w czubek nosa.

- Widzisz? >

- Świetnie ci idzie - odpowiedziała ironicznym tonem. -

Długo już ćwiczysz? "

Roześmiał się, wsiadł do samochodu i zapiał pas .

Meredith siadła za kierownicą i zatrzasnęła drzwi z takim rozmachem, że samochód aż się zakołysał.

- Świetne jedzenie mieli w tej knajpie - odezwał się po chwili.

- Skąd możesz wiedzieć? Przecież prawie nic nie zjadłeś.

- Nie miałem apetytu, ale uważam, że było pyszne. '

- Nawet wujek Loren nigdy nie prowadził po alkoholu - powiedziała Meredith, rezygnując z dalszej rozmowy o jedzeniu.

- Dajmy już temu spokój. Ten facet nigdy nie trzeźwiał.

- Wytrzeźwiał i od pięciu lat nie wypił . kropli alkoholu.

- Tym gorzej dla niego.

- Podczas pobytu w klinice wiele się o sobie dowiedział.

Przede wszystkim zrozumiał, dlaczego w ogóle zaczął pić. -

Meredith spojrzała na brata. - Kowboje nie płaczą, oni piją.

Nie mówią o swoich uczuciach, choćby mieli za to zapłacić kompletnym kalectwem psychicznym.

- Prawdziwi kowboje są tylko w Oplahomie - odpowiedział Richard i wybuchnął śmiechem. Kiedy Meredith zsunęła z nosa okulary słoneczne i spojrzała zdziwiona, dodał:

- T o taki stary żart.

- Ale nie śmieszny. Nigdy nie był śmieszny. Powiedz mi

lepiej, kiedy sobie ostatnio tak . szczerze
popłakałeś? .

Meredith, tak jak Bea i słońce, nigdy niczego nie zapomniała.
Bea zawsze pamiętała o urodzinach Richarda zawsze
przysyłała mu kart~ świąteczne. Była też świadkiem jego
najbardziej bolesnych upokorzeń, ale w przeciwieństwie do
córkę, uznał. Richard, miała dość taktu, aby mu o tym nie
przypominać.

- Nie dalej jak dziś rano - oświadczył. - Kiedy się zaciałem
przy goleniu.

- Kłamiesz - odparła krótko. - Nigdy w życiu nie uroniłeś
łzy, nawet wtedy gdy Susan złamała ci nos.

Miał wówczas wielką ochotę się rozplakać. Boże, jak
straszenie musiał ze sobą walczyć. Nie pamiętał już dziś bólu,
ale ciągle miał przed oczami pełną dezaprobaty twarz ojca,
ściągającego go z konia Meredith.

- Przepraszam - odezwała się nieoczekiwanie siostra. - Mam
dzisiaj cholerny dzień i wyzywam się na tobie.

- Całkiem słusznie - skwitował. - Od tego w końcu ma się
rodzinę.

W chwilę później, kiedy już wyjechali z miasta na szosę,
pograżył się w drzemce. Przyśniła mu się Susan, piękna,

kuszająca, w swojej szmaragdowej sukni. Szła powoli w jego stronę przez pełną siana stajnię. Nagle uniosła widły i uderzyła go w podbrzusze. Natychmiast się obudził. BMW wykonywało właśnie ostry skręt i zjeżdżało z szosy na wysypaną żwirem drogę, prowadzącą do kamiennej bramy. Napis na bramie . głosił: Stajnie Roundhouse.

Za bramą rozciągały się, jak okiem sięgnąć, starannie ogrodzone łąki, których barwa przypominała kolor sukni Susano Jechali powoli, mijając stajnię za stajnią. Na padokach pasły się piękne konie.

- Mój Boże - odezwał się Richard. - Foxglove wygląda przy tym jak jakiś podupadły folwarczek.

- T'ak, wiem, że to miejsce robi na ludziach wielkie wrażenie. Dlatego zresztą wjechałam przez boczną bramę.

Przez boczną bramę? Dobry Boże! Richard aż uniół rękę do ust.

- **I** ty wychodzisz za to wszystko za męż?

- Nie, wychodzę za męż za mężczyznę, którego kocham - odpowiedziała oschłym tonem.

Na jedno wychodzi, pomyślał Richard, ale już nic nie dodał. Zamiast tego wyjrzał przez okno, zastanawiając się, ile też Stajnie Roundhouse mogą być warte:

- A co będzie z twoim ranczem, kiedy już wyjdiesz za
mąż?

- Nic nie będzie. Ranczo należy do Susano Rok temu
spłaciła mój udział.

Rok temu Richard kupił dla Alfredy Serenę. I szalenie
kosztowny, złoty szwajcarski zegarek. A Susan kupiła
ranczo. Z domem, w którym będzie mogła mieszkać do
końca życia.

- Domyślam się, że Susan ma tu kupę roboty, ale , chyba musi
też nieźle zarabiać - powiedział, starając się, aby jego głos
zabrział tak swobodnie, jak sobie tego życzył.

- Wyszukałam jej także bardzo dobre inwestycje.

- Meredith nie odpowiedziała wprost na jego ukryte
pytanie. Potem odwróciła głowę i spojrzała Richardowi w
oczy. - A przy okazji, jak tam twoje interesy?

Richard omal nie wybuchnął śmiechem, choć gdyby tylko
'potrafił, pewnie by się raczej rozplakał.

- Świetnie - skłamał i potrząsnął głową. - Bardzo
jestem ciekaw twoich prezentów ślubnych.

- Wiem, co chciałabym dostać. Pokazać ci?

- Proszę bardzo.

Meredith wjechała na parking i postawiła samochód obok

wozu Susan. Richard z trudem wygramolił się z BMW. Czuł się jak starzec. Świadomość własnej nędzy, a jeśli nawet nie nędzy, to w każdym razie marności własnego położenia, kompletnie go przybiła. Przez cały dzień zastanawiał się, co powie Susan, gdy ją zobaczy. Teraz wątpił, czy w ogóle ma jej coś do powiedzenia.

- Susan zawsze tu parkuje - odezwała się Meredith. - Ale to wcale nie znaczy, że będzie w tej stajni.

Przygnębienie sprawiło, że dwuskrzydłowe drzwi do stajni zrobiły na Richardzie wrażenie zbyt wielkich i ciężkich, by móc je otworzyć. Ku jego lekkiemu zaskoczeniu nie sprawiło mu to najmniejszej trudności.

Wszedł za Meredith do środka. Ze wszystkich boksów wychylały się w ich kierunku rasowe końskie łby. Wpadające przez świetliki w dachu słońce nadawało starannie wyszczotkowanym końskim bokom piękny połysk.

W ciepłym powietrzu prawie nie czuło się charakterystycznego końskiego zapachu, którego tak nie cierpiał, zdominowała go słodka woń siana. Richard schował do kieszeni okulary słoneczne i ruszył za siostrą wzdłuż stajni.,

- To tutaj - powiedziała Meredith. - Na imię ma Lady. ~

Richard rzu,cll okiem i. .. wstrzymał oddech. Widział w życiu wiele koni pełnej krwi, więcej niżby sobie tego życzył, ale musiał przyznać, że nigdy nie spotkał wśród nich stworzenia równie pięknego, jak Lady.

. Kasztanka nie była zbyt rosła, ale miała idealną sylwetkę, niespokojnie poruszała szlachetnymi nozdrzami, a kiedy Meredith wyciągnęła do niej rękę, przez jej ciało przebiegło krótkie drzenie.

- Jest największą dumą Luke'a. Najpiękniejszym koniem, jaki kiedykolwiek urodził się w Roundhouse.

Prawda, że jest cudowna? .

- Pokliż no się - mruknął Richard, starając się nie okaiywać zachwyty.

Na dźwięk jego głosu klacz oqwróciła łeb. Mógł teraz docenić w pełni jej urodę. Miała na czole maleńką gwiazdkę i piękne, wielkie oczy.

Kiedy. klacz położyła po sobie uszy, Meredith odciągnęła brata o krok do tyłu. - Jest bardzo płochliwa i nieśmiała~ I w ogóle cię nie zna.

Po raz pierwszy w życiu Richard pożałował, że nie ma w kieszeni marchewki. Albo raczej jabłka, pomyślał. Lady wyglądała mu na amatorkę jabłek.

Powoli zbliżyli się na powrót do ogrodzenia. Meredith była pewna, że Lady wyciągnie głowę w jej stropę, kierując się znajomym zapachem. Tymczasem klacz schyliła głowę ku Richardowi i obwąchała jego sweter, a potem delikatnie skubnęła go wargami.

Oboje byli zdumieni. Richard przede wszystkim faktem, że zamiast znajomego uczucia obrzydzenia i niechęci, jakiego zwykle doznawał wobec koni, poczuł prawdziwą przyjemność. Wyciągnął dłoń i leciutko pogłaskał klacz.

Dotyk jej delikatnych, aksamitnych nozdrzy nieoczekiwanie skojarzył mu się z matką Meredith. Bea zawsze zaglądała do jego pokoju, idąc spać. Niekiedy, sądząc, że śpi, przez moment kładła na jego twarzy swoją ciepłą dłoń. Było to coś, co nie zdarzyło mu się nigdy w życiu ani wcześniej, ani później .

- Nie mogę wprost w to uwierzyć - szepnęła Meredith. - Ona cię lubi.

- Wiem, że cię to dziwi - odpowiedział cicho.

- Ale takie rzeczy się zdarzają.

Lady potarła nosem jego pierś.

- Dlaczego ci właściwie tak na niej zależy? - spytał.

- Przecież kiedy będziecie małżeństwem, to Lady

będzie należała do ciebie w równej mierze jak do twojego
męża ..

- Tak, ale mam wobec niej specjalne zamiary.
- Jakie zamiary?
- Przyrzekasz, że nikomu nie powiesz?
- Słowo honoru.
- Mam zamiar dać ją na gwiazdkę Susan.

Richard był kompletnie zaskoczony. Nic nie zdumiałoby go bardziej, nawet gdyby siostra powiedziała mu, że zamierza sprzedać klacz prosto do jatki. Najwyraźniej Meredith zwariowała.

- Zwariowałaś? - spytał dla pewności.

- Nie - odpowiedziała i dodała z uśmiechem: - Ale

Luke pewnie by tak pomyślał i dlatego wolę, żeby o tym nie wiedział.

- Nie przyszło ci do głowy, że mimo milczenia sam zauważy pusty boks?

- Oczywiście~ że w końcu mu powiem. W czasie przyjęcia. Mam nadzieję, że me zabije mnie na oczach matki i ojca, i trzystu gości.

No tak, pomyślał, miał rację. Jego siostra zwariowała.

- T o bardzo szlachetnie z twojej strony, Meredith.

- Nie, to nie szlachetność, tylko egoizm. Lady

będzie miała świetne źrebaki. Kiedy już przestanie startować na wyścigach, będzie idealną klaczą rozplodową. Taką, jakiej potrzebuje stajnia Susan. - Meredith odwróciła się w stronę brata i spojrzała mu w oCZY', - Jest kilka rzeczy, o których Susan marzy,

, i bardzo bym chciała, żeby jej marzenia się spełniły.

Ale, niestety, tylko w tym jednym wypadku mogę jej jakoś pomóc.

Klacz cicho zarżała i potrząsnęła łbem. Richard poczuł dreszcz. Zdał sobie sprawę, że jest spocony jak mysz. Zrobiło mu się nieswojo. W tej stajni jest jak dla mnie stanowczo za gorąco, pomyślał. Co gorsza, miał wrażenie, że z każdą chwilą temperaturą rośnie i wcale mu to nie poprawiało samopoczucia.

Chciał już wyjść ze stajni, znaleźć się na świeżym powietrzu, nad morzem, z dala od siostry. Zaczął podejrzewać, że jednak trochę przesadził, pijąc *tequilę* na pusty żołądek.

- Wierzysz w sny? - spytała Meredith. - Bo ja tak.

' - Sam nie wiem. Nigdy ...

Nigdy mi się nic nie śni, chciał powiedzieć, kiedy Lady obróciła głowę i spojrzała na niego swoim okiem pełnym przepastnej czerni. Wydało mu się, że patrzy w bardzo głęboką, zupełnie ciemną studnię. Tylko na samym dnie widział małą isierkę światła, mQgącą być - choć tego wcale nie był pewny - odbiciem nieba. Nagle zapomniał, co chciał powiedzieć. W jego głowie eksplodowały nieoczekiwane pulsujące kolory: czerwień, "zieleń, błękit. Kolory zaczynały się układać w jakieś nie jasne kształty, których nie potrafił rozpoznać.

Jakby skądś z daleka usłyszał, że otwierają się drzwi do stajni. Lady poderwała głowę i zarżała donośnie.

Richard poczuł nagły ból w tyle głowy i niewiele brakowało, a upadłby jak marionetka, której ktoś poprzecinał wszystkie sznurki. W ostatnim momencie chwycił się rękami barierek. Całe szczęście, że Meredith się nie zorientowała. W tej samej bowiem chwili ruszyła w stronę wejścia.

- Luke, kochanie! Posłuchaj tylko! Phillip sknocił welon i nie ma czasu, żeby uszyć nowy! Nie zostało nam nic innego, jak uciec bez ślubu.

- Nie ma mowy, lalczko. Przyjeżdża ciocia Phyllis z San Francisco. Jest pewna, że będzie porządny ślub. Jeżeli jej

sprawimy zawód, będę miał taką łaźnię, że zapamiętam do końca życia.

Laleczko! No ładnie, pomyślał Richard. Nic dziwnego, że nie mógł sobie przypomnieć tego faceta. Teraz za to pamiętał go aż za dobrze. Nienawidzili się bez żadnego szczególnego powodu. Luke zawsze mówił do Meredith laleczko, Richard natomiast nigdy nie nazywał Luke'a: inaczej niż Baryła albo Parobas. To ostatnie było o tyle dziwne, że ojciec chłopaka był dostatecznie bogaty, żeby bez trudu wykupić całe Foxglove. Luke znosił te wyzwiska ze spokojem urodzonego fleg matyka do czasu, gdy wreszcie kiedyś miał tego dość, a wtedy po prostu przewrócił Richarda na ziemię, usiadł mu na piersi i przytrzymał go tak do chwili, gdy . ten zaczął sinieć na twarzy. .

- Kogo ja widzę! Stary kumpel, Czwooro oki - odezwał się Baryła Hardin. - Co słychać?

Richard zacisnął ,ręce na poręczy. Nienawidził swoJ jego przezwiska w równej mierze, jak Luke nie cierpiał określenia Baryła. Odetchnął głęboko i odwrócił się, żeby stawić czoło staremu wrogowi.

Na widok narzeczonego siostry omal nie chwycił się na

powrót poręczy. Bea zawsze mówiła mu, że Luke wyrośnie ze swojej niezgrabnej baryłowatości. Rzeczywiście, wyrósł. Musiał mieć teraz metr dziewięćdziesiąt lub nawet dziewięćdziesiąt pięć. Przytulona do niego Meredith istotnie wyglądała jak laleczka.

Dopiero w tej chwili zobaczył Susan, która stała w drzwiach ze starym kućem, najobrzydliwszym, jakiego Richard w życiu widział. Nie patrzyła na nich, miała opuszczoną głowę i wzrok wbity w ziemię.

Luke Hardin zatrzymał się tuż przed Richardem, . który musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. - Świetnie, Baryło - odpowiedział. - A co u ciebie?

. W tym momencie Susan uniosła głowę. '

- N o proszę - powiedziała ze złym błyskiem w oku - nareszcie ktoś, kogo pamiętasz.

ROZDZIAŁ

Jakże by inaczej, musiała z tym wyskoczyć przy Hardinie. Wiedziała, że Richard długo jej to będzie pamiętał. Że też musiałam go tak zranić, pomyślała Susan ze złością.

- Co takiego, Suz? - Luke spoglądał na nią z radosnym błyskiem w oku. - Czwooro oki nie mógł cię poznać? Pewnie zapomniał wziąć dodatkowej pary oczu.

- Coś w tym rodzaju - burknęła w odpowiedzi, zaciskając dłoń na lejcach Szatana, który poruszył się niespokojnie.

- Biedactwo. To musiało cię trafić w samo ... O, cholera! - zaklął Luke, któremu kuc właśnie nastąpił na prawą nogę.

- Dzięki - mruknęła Susan do ucha zwierzęcia
- ale sama bym to załatwiła.

Szatan zastrzygł uchem.

Opierając się na Meredith, Luke kuśtykał na lewej nodze, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Susan z trudem powstrzymała śmiech. Kto jak kto, ale Luke Hardin powinien uważać na to, co do niej mówi, zwłaszcza stojąc o krok od Szatana. Susan była jedyną osobą na świecie, której udało się zaskarbić prawdziwą sympatię starego złośnika.

Richard natomiast nie ukrywał zadowolenia. Stał teraz trochę pewniej, nie kryjąc złośliwego uśmiechu. Susan odwróciła wzrok. Otworzyła bramkę i wprowadziła Szatana

do boksu, który kuc dzielił z Lady.

Klacz opuściła głowę i powitała swego towarzysza, trącając go nosem w kark. Susan ścisnęło się serce. W całej tej scenie było coś, co znów przyciągnęło jej uwagę do Richarda.

Poczuła nagły skurcz i odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Stał za nią, pocierając kark, skrzywiony, jakby cierpiał na okropny ból głowy.

To było całkiem możliwe, jeśli nie potrafił we właściwy sposób przyjąć sygnałów nadawanych przez Lady. Raz czy dwa w dzieciństwie, zanim poznała istotę i funkcjonowanie posiadanego daru, Susan sama miała potworną migrenę. Richard, z czego najprawdopodobniej w ogóle nie zdawał sobie sprawy, był znakomitym medium. Ich spojrzenia spotkały się na moment i Susan, wytrącona swoimi myślami z równowagi, nie potrafiła się powstrzymać przed odebraniem jego sygnału. Przekaz Richarda, wyrażał czyste pragnienie fizyczne. Była to ta sama potrzeba, którą zawsze w nim wyczuwała, choć nigdy nie odbierała jej tak świadomie.

Odwróciła się i podeszła do drzwi. To był najprostszy i zarazem najpewniejszy sposób na zerwanie kontaktu. Gdy tylko wyszła, róż, kolor aury Lady, zaczął powoli blednąć w

głowie Susano

- T en kuc to najbrzydsze stworzenie, jakie w życiu widziałem
- odezwał się Richard, który wraz z resztą to'-warzystwa udał się jej śladem. - I najgrubsze. Istna beka. - Uważaj, co mówisz, Czworooki - ostrzegł, kuśtykający za nimi Luke.

- Sam uWażaj, Baryło - odparował wojowniczo Richard, zaciskając pięści.

- Może powinieneś przetrzeć swoje szkiełka ze starej flaszki po coli - zaśmiał się Luke. - Łatwiej ci wtedy będzie poznawać ludzi, którym zatrueś pół życia.

- Noszę teraz szkła kontaktowe.

- Pokłóćcie się innym razem - wtrąciła się Meredith. - T eraz ogłaszam zawieszenie broni. Mam rację, Susan?

- Myślę, że już czas jechać do do~IU - odpowiedziała zagadnięta, spoglądając na zegarek.

Było wpół do trzeciej, pora, o której zwykle kończyła pracę. Ten dzień był jednym z najkrótszych, ale zarazem najcięższych w jej życiu dni roboczych.

- Zastanowię się nad dietą dla Szatana, Luke
- powiedziała. - Jeżeli nie znajdziesz żadnego stajen- nego, który miałby odwagę trochę go przegonić, to daj mi znać. Przyślę ci Rufusa.

- Sam to zrobię, jak będzie trzeba - odparł Luke.
- Strasznie mi głupio. Pojęcia nie miałem, że jest taki otłuszczony.
- Kto wam zrobił taką niespodziankę? - zapytał tonem fałszywej troski Richard. - Ta baletnica w oślej skórze? *I*
- Sama to przeoczyłam - oznajmiła Susan, nie zwracając uwagi na Richarda. - Nic się nie martw. Doprowadzimy go jeszcze do formy. Do zobaczenia.

Szybko ruszyła przodem. W domu czekały ją jeszcze ze trzy godziny papierkowej roboty i drugie tyle pracy przy własnych koniach. W dodatku nie brakowało jej osobistych tematów do rozmyślań. Nie zdawała sobie sprawy, że Richard idzie za nią; dopóki nie chwycił jej za ramię.

- Możemy pogadać? - spytał.

Susan oblala falą gorąca. Albo woda kolońska Richarda

*ładała ~ię z czystego spirytusu, albo pił. - Jasne - odparła. -

Jak będziesz trzeźwy. Wiedziała, że idzie za nią krok w krok, nie miała natomiast pojęcia o złości, jaką zobaczyła na jego twarzy, kiedy powtórnie spojrzała na niego. Policzki Richarda nabiegły krwią, a oczy się zwęziły.

- Wypiłem kilka drinków do obiadu i wcale nie jestem pijany.

- Nie powiedziałam, że jesteś pijany. PowiedziabuD., że piłeś.
Richard stracił nieco na pewności. Susan natychmiast postanowiła wykorzystać moment przewagi.

- Jak na trzeźwego faceta, jesteś strasznie napastliwy - stwierdziła, uwalniając ramię z jego uścisku. - Powinieneś się chyba zastanowić, dlaczego tak jest.

A potem odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w stronę parkingu, chcąc stworzyć między nimi jak największy dystans. Jednak fala bijącej od niego ~łości i bólu była tak dotkliwa, że ~musiała podjąć naprawdę wielki wysiłek, żeby nie ulec chęci odwrócenia się do niego. Zwłaszcza że nigdy jeszcze nie wyczuła w nim tak ogromnego poczucia osamotnienia, jak w'tej chwili.

Dopiero teraz różne elementy jego zachowania zaczęły składać się w jedną całość, jego nienawiść do koni, jego piCie, maska, za jaką usiłował się ukryć przed całym światem. Zaciśnęła dłoń na klamce wozu i czekała, aż fala minie.

Kiedy to nasfapiło, wyjęła z kieszeni kluczyki, siadła za kierownicą i trzęsącYmi się rękami zapaliła silnik. Cofnęła samochód i ruszyła przed siebie.

Przez teren Roundhouse przejechała powoli, lecz gdy tylko znalazła się na szosie, nacisnęła gaz do deski.

Była rozdygotana, ale bała się zwolnić, bo istniała możliwość, że zawróciłaby do Richarda. Wiedziała jednak, że to nic by nie pomogło. Jeszcze nie teraz, a może w ogóle nigdy. _

Powinna była wiedzieć, powinna była się ~orientować jeszcze wtedy, przed laty, dlaczego tak dobrze potrafi wyczuwać jego emocje. Był taki sam jak ona. Najprawdopodobniej posiadał równie silną zdolność empatii, a może nawet telepatii.

Może gdyby nie była w nim taka zakochana, to już wtedy zdałaby sobie sprawę z jego możliwo~i? A może przeciwnie, może właśnie dlatego go kochała, że podświadomie je wyczuwała? Bóg jeden wie. Ona na pewno nie.

Wiedziała natomiast, że dzisiejszego ranka coś się w nim przełamało. Jakiś gwałtowny kryzys sprawił, że jego zdolności obronne nagle zawiodły. T o było normalne w przypadku ludzi obdarzonych zdolnościami parapsychicznymi. Wiedziała również, że konie mają zdolności telepatyczne. Nigdy natomiast nie spotkała się z przypadkiem ludzkiej zdolności odczuwania emocji zwierząt. Z tego, co wyszukała w do., stępnych źródłach, jej przypadek był zgoła wyjątkowy.

Przypomniała sobie dźwięki pianina, od których wszystko się zaczęło. Zapewne w przypadku Richarda katalizatorem było zerwanie z lady Alfredą. Możliwe były zresztą różne wyjaśnienia, ale nie miała ochoty ich

■ teraz rozważać. W tej chwili problem polegał przede wszystkim na tym, co Richard zrobi ze swoim nowym darem i na ile jest go w ogóle świadomy. A sądząc z tego, czego była świadkiem w stajni, nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje.

Z najwyższym wysiłkiem broniła się przed pragnieniem zawrócenia do Roundhouse. Chciała WYPXTac

Richarda dokładnie o wszystko, a jeśliby przyznał się do bólu głOWY, wytłumaczyć mu przyczyny. Ale czuła, że nie ma do tego prawa. Każde wtrącanie się byłoby w tej chwili niedopuszczalną manipulacją, choć bardzo pragnęła wykorzystać łączącą ich nić empatii, aby przywiązać go do siebie. To byłoby takie łatwe. I takie nikczemne.

Ilećć człowiekowi zdaje się, że życie nie może' już być bardziej pogmatwane, tylećć dzieje się coś, co dowodzi mu, że się mylił. Susan przyłożyła palce do skroni i starała się powstrzymać napływające do oczu łzy.

Nagle poczuła przyływ radości. Cudownie, pomyślała,

jutro jest Święto Dziękczynienia.

ROZDZIAŁ

13

Cudownie ... Jutro jest Święto Dziękczynienia ...

- Mówiłaś coś? -:- spytał siedzącej za kierownicą Meredith.

- Nie, ale cieszę się, że nie śpisz. - Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi. - Zachowałeś się jak ostatni cham.

- Tak jak twój Baryła. - Richard ziewnął i pomasował zeszywniały od przenikliwego bólu kark. Cholera, że też musiał zasnąć, pomyślał. Był pewien, że ułożenie głowy w czasie drzemki wywołało ból. - A w dodatku to on zaczął.

- Tonie jest żadne usprawiedliwienie. To najwyżej kretyńska wymówka. Myślę, że można wymagać od nas czegoś więcej.,

- Może od ciebie.

- Sądzę, że powinieneś przeprosić Luke'a.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli to zrobię.

- On z pewnością nie przeprosi ciebie pierwszy.

- Anijajego. - Spojrzał na nią podejrzliwie. - Do

czego zmierzasz?

- Do jutrzejszego obiadu.

- Nie ma problemu. Nie będę z wami jadł. Nienawidzę indyka. Pamiętasz?

- Nigdy w życiu o nic cię nie prosiłam, Richard.

- I chcesz to teraz nadrobić?

- Jeżeli to pozwoli nam spokojnie dotrzeć do ślubu, to tak. Jestem już naprawdę u kresu wytrzymałości nerwowej. Wszystko, co tylko mogło pójść źle, poszło źle.

- W takim razie może powinniście żyć bez ślubu?

- Nie kuś mnie i nie zmieniaj tematu.

- Nie będę przeproszał za kłótnię, której nie wywołałem.

- Czy tak wiele będzie cię kosztowało podanie ręki Luke'owi?

- Czy więcej by to kosztowało Baryłę?

- Luke'a - poprawiła go zirytowana Meredith.

- Faceta, który naprawdę potrafi dogadać się z każdym, kogo spotka. Z każdym oprócz ciebie.

- Daj spokój, Meredith. Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz.

- To jest prawda. I to nie dotyczy tylko Luke'a.

Susan też jest na ciebie wściekła, a dziś rano - nie wiem, może już o tym zapomniałaś - wujek Loren również nie był tobą zachwycony.

- Podśluchiwałaś!

- Oczywiście, że podśluchiwałam.

- T o ty mnie tutaj zaprosiłaś; Meredith. A teraz wykorzystujesz to ,przeciwko mnie.

- Chętnie bym to zrobiła. .

- Świetnie! W takim razie wyjeżdżam.

- A dokąd, jeśli wolno spytać?

To był celny cios. Richard sam zadawał sobie to pytanie.

- Może na Tahiti. Jeszcze tam nie byłem.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

- T o czego w takim razie chcesz?

-- Chcę, żebyś przeprosił Luke'a.

, - Nie prędeż, niż ten kuc Baryły wygra wyścigi w Kentucky. - Naprawdę nie potrafisz podać mu ręki? Zachowujesz się jak dzie<rko.

- Czyżby? - Uniósł' brwi z ironiczną miną. - A robienie confetti z welonu to nie jest dziecinne zajęcie?

Meredith zaczerwieniła się i przez chwilę nic nie

mówiła.

- T o zupełnie co innego.

- No tak, oczywiście.

- Nie rozumiem, że możesz się wściekać o taki drobiazg.

Richard sam tego nie potrafił zrozumieć. Nie mógł uwierzyć, że dał się sprowokować Baryle, że dwukrotnie od rana pokłócił się z Susan, że wszyscy dookoła byli na niego wściekli. T o musi być sprawa gwiazd, uznał.

- Uwierz mi, Meredith. Nie mam zamiaru go przeprosić.

:- Dobrze - powiedziała. - W takim razie go nie przepraszaaj.

- Nie przeproszę. - Odwrócił głowę i patrzył przez okno.

W miarę, jak zbliżali się do miasta, na szosie był coraz większy ruch. Kiedy przejeżdżali obok ogromnej lśniącej ciężarówki, nagły odblask poraził oczy Richarda. Pomimo okularów słonecznych poczuł przeszywający ból. Boże jedyny, co mu się stało? Był wściekły. Spojrzał na siostrę i zobaczył, że Meredith ociera wierzchem dłoni spływającą jej po policzku łzę.

7" Natychmiast się zatrzymaj - odezwał się najbardziej szorstkim głosem, na jaki mógł się zdobyć. - Rykiem niczego ze mną nie załatwisz - powiedział, nie mając pojęcia, jak

bardzo jego ton przypomina w tym momencie ton Parkera-Harrisa seniora.

- ;Przestań cytować tatusia - krzyknęła, kompletnie wyprowadzona z równowagi. - Na szczęście nie ma go tu, więc nie muszę być dzielnym małym żołnierzem. Ty zresztą też, kretynie. Jestem dorosłą kobietą i mogę płakać, ile tylko mi się podoba!

Szloch siostry przestraszył Richarda. Meredith zwolniła i wytarła nos w chusteczkę. Nie umiał oprzeć się wzruszeniu wywołanemu jej rozpaczliwą, nie skrywaną: bezradnością:.

- Dobra, już dobra. Przepraszę Baryłę.

- Luke'a - poprawiła go, pociągając nosem.

- Dobra, dobra, Luke'a. Tylko już przestań beczeć.

- Obiecujesz? - Meredith zjechała na parking przed supermarketem-i spojrzała na brata załzawionymi oczami.

- Tak! - krzyknął. - Tylko już przestań ryczeć! Zrobiła, jak powiedział. Jeszcze przez chwilę oddychała głęboko, starając się uspokoić. Richard poczuł, że przeszkoda w gardle ustąpiła. Przełknął ślinę i zamknął oczy. Boże, żeby jeszcze przestała go boleć głowa. Otworzył drzwi, wysiadł i głęboko zaczerpnął tchu.

Co się z .nim; do diabła, dzieje? Dlaczego coś go zatyka? ■
dlaczego tak łatwo przechodzi?

- Wszystko w porządku? - zapytała, wychylając się za nim z samochodu. - Jesteś strasznie blady.

- Boli mnie głowa. - Richard oparł się łokciem o dach samochodu i zamknął oczy.

- Może to cię nauczy nie pić przed obiadem.

- Cholera jasna! Meredith! - Trzasnął drzwiami z taką siłą, że aż uruchomił alarm.

Skurczył się cały, oczekując, że wycie syreny natychmiast przyprawi go o nowy atak bólu, ale, o dziwo, nic takiego nie nastąpiło. Migrena przeszła. Meredith wyłączyła alarm i wysiadła z samochodu.

- Nie rozmawiajmy już o tym, dobrze? - odezwał się pojednawczym tonem Richard i ruszył w stronę sklepu. Przed chłodnią z drobiem Richard poczuł nowy przypływ bólu. Kiedy wkładał do bagażnika torby z zakupami, miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa ..

Gdy przyjechali na ranczo, pomógł siostrze zanieść zakupy do kuchni, a potem poszedł prosto do swoje~o pokoju. Wyjął szkła kontaktowe, zaciągnął franki, rozebrał się, położył do łóżka i bardzo ostrożnie nakrył głowę poduszką. W nocy

miał niejasne wrażenie, że ktoś mu się przygląda, jakby w mroku pok~ju stała jakaś postać. Kojarzyła mu się z Beą, ale to Ilfe, ~ogła być ona. Pewnie Meredith, pomyślał w półsme.

. ,Obudził się rano. Poczł zapach szałwi, cynamonu i pleczonego mięsa. Zerwał się na równe nogi. Wyposzczony żołądek dosłownie skręcał mu się z głodu. Ból głowy zniknął bez śladu, ale przygnębiecie pozostało. , Trudno się zresztą temu dziwić, w końcu to było

Święto Dziękczynienia. ,

Sięgnął po papierosy kupione poprzedniego dnia i zapalił. Wszyscy myśleli, że nie znosił Świąta Dziękczynie~ia, dlatego że nie cierpiał indyka, ale nie o to chodZiło. Ono zwiastowało nadejście świąt Bożego Narodzenia. A tych ostatnich nienawidził niemal tak samo jak koni.

.. ~ierwsze, p~ ronyodzie rodziców, spędził z matką i Jej nowym mężem. Zadne z nich nie zwracało na niego najmniejszej uwagi. Byli w świetnych humorach, a on nie mógł zrozumieć, co się właściwie dzieje. Świąta z babką były zawsze nudne. Babka i ciotka Agie spędzały długie godziny w kościele, a potem wracały do domu i drzemały, pijane, w fotelach, podczas gdy on snuł się pośród zawałających dom przy Gramercy Park staroci, nie potraftąc znaleźć sobie

miejsca. Najbardziej gorzkie były święta w Foxglove. Nie umiał zapomnieć ciepła we wzroku ojca, patrzącego na dziewczynki piszczące radośnie nad nowym siodłem czy strzemionami, i lodowatego spojrzenia, jakim Parker-Harris senior obrzucił go w chwili, gdy spośród papierów wyłonił się wymarzony prezent Richarda - szachownica.

Kiedy szedł do kuchni, jego wzrok padł na stojącą w kącie salonu choinkę. Właściwie była to taka sama choinka, jaką pamiętał z dzieciństwa. Jeżeli nawet wisały na niej inne bombki i inne lampki, to z daleka nie było widać żadnej różnicy. Kuchenne zapachy i odgłosy krzątania też były identyczne. Richard zacisnął zęby i powtórzył w myśli: To Kalifornia, nie Wirginia. To Santa Barbara, nie Foxglove.

Kiedy wszedł do kuchni, zastał w niej tylko Consuellę.

- Panny Meredith nie ma - odezwała się, rzucając mu spojrzenie znad zlewu, przy którym obierała marchewki. - Spóźnił się pan na śniadanie. Do obiadu nie ma „jedzenia.”

„Richard poczuł nagły skurcz żołądka.”

- Gdzie jest Meredith? - spytał, choć tak naprawdę nic go to nie obchodziło. „

Consuella machnęła ręką w stronę okna i z wyraźną

niechęcią odwróciła się do niego plecami.

- Dziękuję uprzejmie - powiedział i wyszedł na patio.

BWM' stało na parkingu, obok blazera Susan, co oznaczało, że obie muszą być gdzieś na ranczu. Miał tylko nadzieję, że każda z nich jest gdzie indziej. Chciał porozmawiać z Susan, a nie miał najmniejszej ochoty zaczynać tej rozmowy przy siostrze. Ruszył przez trawnik w stronę stajni. **I**

Consuella przypomniała mu o Devlinie. Richard ,przed wyjazdem wymógł na starym obietnicę, że ,nie powie babce, dokąd pojechał. W pierwszej chwili wydawało mu się to bardzo dobrym rozwiązaniem,ale teraz nieoczekiwanie zaczął się martwić. A co będzie, jeżeli stara jędza, wściekła na służącego, wyrzuci go z pracy? Co prawda, babce zdarzało się to niemal codziennie, ale kiedy trzeiwiiała, o niczym nie pamiętała. Ale teraz, buntowana przez matkę Richarda, może go naprawdę zwolnić. Richard nie miał pojęcia, czy Devlin posiada jakiegokolwiek oszczędności i czy w ogóle miałby dokąd pójść, gdyby musiał opuścić dom przy Gramercy Park, w którym minęło jego życie.

Pograżony w tych rozmyślaniach dotarł do stajni.

, Wrota były szeroko otwarte, co pozwalało przypuszczać, że ktoś jest w środku. Najlepiej, pomyślał Richard, żeby był to ktoś z długimi nogami, rudymi włosami i jak naj gorszą opinią na jego temat.

Ruszył wzdłuż stajni, mijając kolejne boksy. Konie pochylały ku niemu głowy i węszyły, ale żaden nie zarżał, ani nawet nie parsknął. Richard poczuł lekki ucisk gdzieś u nasady czaszki i usłyszał jakieś głosy, ale żeby zrozumieć, o czym jest mowa; musiał zrobić jeszcze parę kroków.

:- Mówię ci, powiedz mu. - To była Meredith. . - Nigdy w życiu.

- Przynajmniej będziesz wiedziała.

- Już i tak wiem dosyć.

- Nic nie wiesz, To tylko takie zgadywanie.

- A właśnie że wiem.

- Susan, musisz to zrobić. Teraz albo nigdy.

- To samo mi mówiłaś, kiedy jechałyśmy do Londynu, pamiętasz?

Richard stanął, starając się nie uronić ani słowa.

Przypomniał sobie, że Meredith wspominała mu, że razem z Susan i Luke'em byli przed rokiem w Anglii. - Myliłam się,

zgoda. Ale teraz nie mam już żadnych wątpliwości, Susano T o jest naprawdę ostatnia szansa.

- Trudno.

- Susan!

- Nie chcę wykorzystywać jego słabości.

W tym momencie powinien był się odwrócić i wybiec. Wiedział, że powinien. Czuł to. Ale jednocześnie nie mógł się na to zdobyć. Wszystko, do czego był zdolny, to przemienić się w słuch i stać najciszej, jak potrafi.

- Nie bądź ghipia, Susano Kochasz go od dwunastego roku życia,

- Zapominasz o jednej bardzo ważnej rzeczy, Meredith.

. - O czym?

- Richard mnie nie kocha.

Nagle doznał olśnienia, wszystko stało się jasne.

Serce obrysowane wokół jego inicjałów. Fakt, że Susan, niby niechcący, zasłoniła je, gdy tylko zbliżył się do biurka. Ta iskra, która pojawiła się w jej oczach na jego widok i zgasła, gdy tylko spytał, czy nie wie, gdzie jest doktor Cade. To, jak łatwo poddała się wtedy w salonie, koło choinki.

No oczywiście, kochała go. Tylko ślepy mógłby tego nie

dostrzec. Nawet on sam widział to teraz jak na dłoni.

- Przecież potrafisz czytać jego myśli - odezwała się Meredith. - Czy naprawdę nie potrafisz sprawić, żeby się w tobie zakochał? .

Tego było już za wiele. Richard pomyślał, że zwariował albo śni.

- Nie umiem czytać jego myśli. Ue razy mam ci powtarzać, że wszystko, co mogę, to odbierać jego niektóre emocje. I to też nie zawsze.

Richard odzyskał władzę nad swoim ciałem. Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Balon położony gdzieś między jego płucami i gardłem urósł do takich rozmiarów, że nie mógł zaczerpnąć tchu. Kiedy znalazł się na dworze, zaczął biec. Uciekał w panice, nie zastanawiając się nawet, dokąd biegnie.

Przeskakiwał jakieś płoty, potykał się i przewracał, aż do momentu, gdy skrajnie wyczerpany stanął na padoku, na którym znajdowało się kilka jednoroczniaków.

Konie uniosły łby i wpatrywały się w niego. Ból u podstawy czaszki narastał w tempie spadającej z hukiem lawiny. W gardle miał ciężką kulę. Jak urzeczony rozglądał się dookoła. Patrzył na szmaragdowe łąki, na bladobłękitne niebo, na lśniące w słońcu grzbiety koni.

To nie było jego miejsce na ziemi. Jeśli w ogóle było jakieś miejsce, które mógłby nazwać swoim.

Ruszył na oślep przed siebie. Wdrapał się na wyjątkowo wysoki płot i omal nie spadł z drugiej strony. Wybieg był pusty. Richard zaczął iść w kierunku otwartych drzwi do stajni, zastanawiając się, kto i po co postawił wokół tego jedyne go wybiegu taki ogromny płot.

Nagle zeszywniał z wrażenia, gdy przypomniał sobie, że Admirał, postrach koni i ludzi, miał własną stajnię i padok.

W tym momencie ze stajni wyszedł Admirał, opuścił łeb i wbił w Richarda wzrok.

ROZDZIAŁ

14

Admirał nie wyglądał na potwora. Był pięknym ogierem. Może nie miał już szans na pierwsze nagrody, ale z pewnością nieźle by sobie jeszcze poradził na wyścigach. Miał wspaniałą sylwetkę. Stojąc naprzeciw niego, Richard poczuł, że ma przed sobą sześćset kilo siły, szybkości i

wcielonego - wedle powszechnej opinii - diabelstwa.

Koń, co prawda, nigdy nikogo nie zabił ~ okaleczył dżokeja i stajennego - ale nie zabił jeszcze nikogo.

Mięśnie karku Richarda napięte były do granic wytrzymałości, ale nie miał odwagi sięgnąć do nich ręką i rozetrzeć. W duchu dziękował Bogu, że wiatr nie niesie jego zapachu w stronę konia, którego z pewnością rozdrażniłby paniczny lęk człowieka.

Nie odrywając oczu od zwierzęcia, Richard powoli zaczął się cofać w kierunku płotu. Kiedy przemierzył mniej więcej połowę odległości dzielącej go od ocalenia, wiatr nagle zmienił kierunek. Admirał porużył chrapami i zarżał.

Richard nie miał pojęcia, że ważące przeszło pół tony stworzenie może w ułamku sekundy ruszyć z miejsca fakim pędem. W pierwszej chwili chciał biec, chociaż wiedział, że nie ma szans, ale nagle zmienił zdanie. Przez całe swoje życie nieustannie uciekał i, na miłość boską, miał już tego dosyć.

- Chcesz ninie? No to mnie masz! - krzyknął, odwracając się w stronę szarżującego ogiera i rozkładając szeroko ramiona~

Zaskoczony tym gwahownym ruchem, Admirał stanął jak wryty, mierząc Richarda wzrokiem. W głowie Richarda

nastąpiła gwałtowna eksplozja bieli, połączona z bólem tak wielkim, że na moment stracił wzrok. Kiedy odzyskał świadomość i znowu ujrzał konia, przedłużająca się udręka doprowadziła go do prawdziwej wściekłości.

- No chodź tu! - wrzasnął. - Chodź tu, jeśli chcesz mnie dostać!

Ogier cofnął się, wyrzucając gwałtownie tylne nogi i wzbijając kopytami kłęby kurzu. Potem nagle zawrócił i pogalopował z zadartym ogonem. Przebiegł kilka metrów, stanął, odwrócił głowę i zarżał. Richard roześmiał się. Był to histeryczny śmiech, z jednej strony jeszcze ciągle przepełniony lękiem, z drugiej zawierający w sobie ładunek niespodziewanej ulgi. Admirał stchórzył! Niech to cholera! Więc ojciec miał r'ację. Wystarczyło pokazać, kto tu jest panem, i koń, najdzikszy, najgroźniejszy koń, jakiego w życiu spotkał, okazywał się zwykłym tchórzem!

Koń zarżał powtórnie i pogrzebał w ziemi kopytem.

Na Richardzie nie zrobiło to już większego wrażenia. Był upojony słodkim smakiem zwycięstwa.

W dziecinnym odruchu zagrał ogierowi na nosie i krzyknął:

- Uważaj, bo cię pogonię, ty stary niedołęgo!

- On nie jest żadnym niedołęgą -. odezwała się Susan za jego

plecami. - T o ty jesteś niedołągą!

Richard obejrzał się za siebie. Susan wspięła się na ogrodzenie i spoglądała na niego bez cienia entuzjazmu.

- Co to ma znaczyć? - To znaczy, że Admirał nie jest niedołągą ani tchórzem. Ty natomiast jesteś kompletnym idiotą, myśląc o nim w ten sposób. On po prostu zupełnie nie wie, co z tobą zrobić.

- Nie wie? Myślę, że bardzo dobrze wie. Befszyk siekany.

- To dlaczego jeszcze nie leżysz na środku wybiegu z czaszką roztrzaskaną kopytem?

- No, bo ... - Richardowi ciarki przebiegły po krzyżu. Przypomniał sobie Lady, zaskoczenie Meredith, kiedy okazało się, że klacz tak przyjaźnie się do niego odnosi, kolory, które wybuchły w jego głowie, gdy spojrział Lady w oczy. I ból głowy. Potworny, straszliwy ból u podstawy czaszki. Nie miał pojęcia, co się wokół niego dzieje, i nie chciał tego wiedzieć. - Bo widocznie zmienił zamiary - dokończył.

Susan uśmiechnęła się. Admirał zarżał krótko.

Richard odwrócił ku niemu głowę, uchwycił jego "spojrzenie i znowu wstrząsnął nim dreszcz. Głowę pr~epełniła mu nieprzyjemna oranżowa żółć. Z~knął oczy, ale to nic nie

pomogło. Głowę dalej miał pełną jadowitej żółci. Nie tylko widział kolor, ale czuł także . obecne w nim emocje i wiedział, że pochodzą one od Admirala. W dodatku nie ulegało dla niego najmniejszej wątpliwości, że i Susan świetnie o tym wszystkim wie.

- Wyciągnij mnie stąd, Susan!

- Nie mogę. - Gdy chciał się odwrócić, powstrzymała go ruchem ręki. - Nie odwracaj się do niego tyłem!

Złowrogie rzenie osadziło Richarda na miejscu.

Koń był teraz bliżej i niespokojnie przebierał nogami. Jednak kiedy ich spojrzenia się spotkały, ogier znów się cofnął.

- Sam w"to wlałeś - odezwała się Susan. - Sam się teraz musisz z tego jakoś wygrzebać.

- Gdybym tylko wiedział jak - odpowiedział, cofając się o krok - to z przyjemnością bym to zrobił. - Chętnie bym ci pomogła, ale naprawdę nie mogę.

To byłoby ... nieetyczne.

- Nie czas na skrupuły, Susan. - Richard znów cofnął się o krok.

Uznawszy , że zdąży, odwrócił się na pięcie i puścił pędem

w stronę ogrodzenia, słysząc za sobą łomot kopyt. Sześćset kilo furii ruszyło jego śladem w momencie, gdy tylko odwrócił się tyłem.

Pokonując ostatnie metry, Richard czuł, jak drży pod nim ziemia. Wskoczył w powietrze, prosto w ramiona Susan. Czuł, jak końskie zęby zaciskają się najego lewej łydce. Dziewczyna pociągnęła go za sobą. Rozległ się trzask rozdzieranej nogawki.

W powietrzu zdołał obrócić się w taki sposób, że pierwszy upadł na ziemię, Susan zaś wylądowała na nim. W uszach dudnił mu jeszcze tętent Admirala, a upadek sprawił, że przez moment nie mógł zaczerpnąć tchu.

Dziewczyna przytuliła się do niego. Co za idiota powiedział, przyszło na myśl Richardowi, że rudowłosi nie powinni ubierać się na czerwono? Czerwona flanelowa koszula sprawiała, że usta i włosy Susan zdawały się płonąć niezwykłym blaskiem. Poczuł gwałtowny przypływ pożądania.

~ W porządku? - spytał, gdy tylko odzyskał oddech. - Tak.

A ty?

- Powiem ci zaraz. Jak będę mógł oddychać - wysapał, a potem ujął jej twarz w dłonie i przyciągnął usta

dziewczyny do swoich.

W tej chwili nic go nie obchodziły ani uczucia Susan, ani strzelba jej ojca. Dziewczyna nie tylko nie stawiała najmniejszego oporu, ale jeszcze sama rozchyliła usta pod naporem jego rozgorączkowanego języka.

Był w niebie. Susan pachniała lawendą, smakowała kawą i pożądaniem. Wiedział, że to, co robi, jest nikczemne. Nikczemne, bo Susan go kocha, a on jej nie. Boże, co za fatalny moment na wyrzuty sumienia! Wiedział, że będzie tego żałował do końca życia, ale stanowczym ruchem odsunął ją nieco od siebie.

- Bardzo żałuję, ale nie jestem dostatecznie samolubny, żeby powiedzieć ci, że też cię kocham i pójść z tobą do łóżka. Niestety, nie potrafię tego zrobić.

- Kto ci powiedział ... - Oczy Susan rozszerzyły się i dziewczyna gwałtownie go odepchnęła. - Myślałam, że wtykanie nosa w cudze sprawy to specjalność twojej siostry! - krzyknęła, zrywając się na równe nogi.

Richard chwycił ją za kostkę. Miał rację. Mimo że była w skórzanych butach do konnej jazdy i tak bez trudu objął jej nogę.

- Nie chciałem podsłuchiwać. Po prostu przechodziłem obok

i...

'- Nieprawda! - krzyknęła Susan, wyrywając nogę z jego uścisku. - Meredith też zawsze tak móWi!

A potem rzuciła się do ucieczki. Richard poderwał się na nogi i próbował ją gonić, ale gdy stanął na lewej nodze, od razu upadł na ziemię. Ból rozchodził się od ścięgna Achillesa do podstawy czaszki.

Podciągnął nogawkę, ściągnął skarpetkę i tuż nad kostką zobaczył ślady zębów Admirala. Nie był skaleczony, ale pod skórą szybko rósł brzydki siniak.

Za ogrodzeniem słyhać było łomot końskich kopyt i rzenie ogiera. Richard z powrotem stanął na nogi i pakuśtykał parę kroków.

- Jeszcze zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni - rzucił Richard w stronę Admirala i kulejąc, ruszył śladem Susan.

ROZDZIAŁ

15

Choć przeszukał wszystkie stajnie, nigdzie jej nie znalazł.

N a pewno się przed nim chowa. Nie wiedział gdzie, ale, snując się od stajni do stajni, miał chwilami wrażenie, że niemal widzi jej skuloną z lęku sylwetkę. A przynajmniej bardzo wyraźnie czuł jej strach.

Wreszcie łydka zmusiła go do kapitulacji.

- Susan! Susan! - krzyknął na cały głos, licząc, że jakimś cudem skłoni ją w ten sposób, by się pokazała. - Nie drzyj się tak, Richie - odezwał się niespodziewanie Loren Cade. - Płoszysz konie.

Richard odwrócił się i zobaczył ojca Susan, który szedł w jego stronę z metalowym wiadrem w jednej i widłami w drugiej ręce. Natychmiast przypomniał mu się 'sen, który miał poprzedniego dnia w samochodzie.

- Czuję, że może ci się przydać twoja czterdziestka piątka, Loren.

- Co takiego, synu?

- Nie jestem pewny, ale zdaje się, że kompletnie zbzikowałem.

Rzeczywiście miał takie wrażenie. To było jedyne logiczne wyjaśnienie. Normalnym ludziom nie wybuchają w głowie dzikie kolory, nie czują cudzych emocji. Zwłaszcza emocji koni.

- Faktycznie - odpowiedział Loren, odstawiając wiadro i mocniej ujmując widły. - Wyglądasz mi na trochę przetrąconego.

- Zjechałego - poprawił go Richard. - ■ byłbym ci szczerze wdzięczny, gdybyś uwolnił mnie od zbędnych cierpień.

■ przy okazji swoją córkę, dodał w myśli, ;Ue tego wolał już nie mówić na głos. ,

- Z kim walczyłeś? - Loren obrzucił uważnym spojrzeniem zabłocony sweter Richarda i jego rozerwaną nogawkę. - Z kimś, kogo znam?

- Z Admiralem.

- Czy mogę zaryzykować i odgadnąć imię zwycięzcy?

- Nie widziałeś Susan? - odpowiedział Richard pytaniem.

- Nie - odparł Loren i jego spojrzenie ześlizgnęło się z twarzy Richarda.

- A Meredith?

- Meredith jest chyba w kuchni z Consuellą; - Loren znowu spojrzał rzuwając w oczy. - Może Susan

jest z nimi?

- Może. - Wzrok Lorena z powrotem błędził po okolicy.

Kłamiesz, chciał powiedzieć Richard, ale postanowił trzymać język za zębami. Kłótnia z facetem, który trzyma w ręku widły, nie jest najlepszym pomysłem. Zwłaszcza biorąc pod uwagę jego wcześniejszą groibę.

- Jak zobaczysz Susan, to powiesz, że jej szukam?

- zapytał. - Ona i tak o tym wie, ale powtórz jej, dobrze?

- Jasna sprawa.

Richard, kulejąc, ruszył w stronę domu. Miał wrażenie, choć wolałby nikomu o tym nie mówić, że Loren jawi mu się w brązowej chmurze ... Nie, na miłość boską, opanuj się człowieku, powiedział sobie. A jednak tak to właśnie czuł, a raczej tak to widział. Loren stał otoczony brązową chmurą zakłopotania.

Meredith rzeczywiście była w kuchni i przyprawiała indyka. Consuella płukała sałatę. Okna były zaparowane, gorące powietrze pachniało przyprawami.

Coś ścisnęło Richarda za gardło. Rzeczywiście kompletnie zwariował, sądząc, że znajdzie sobie tutaj miejsce. Musiał stracić rozum, by przypuścić, że będzie w stanie przeżyć miesiąc na łonie rodziny.

Meredith spojrzała na niego znad indyka, twarz miała

zaczerwienioną od gorąca.

- Co się stało?

- Miałem spotkanie z Admiralem - odpowiedział krótko. - Ale wcześniej słyszałem waszą rozmowę w stajni.

Meredith zbladła i opuściła ręce. Consuella otarła dłonie o fartuch i wyszła z kuchni.

- Nie miałeś prawa podsłuchiwać naszej rozmowy.

- Ty nigdy nie masz takich skrupułów. Zresztą wszystko jedno czy mam prawo, czynie. Chodzi G to, że wszystko słyszałem.

- Pozwól, że zgadnę. Postanowiłeś wyjechać.

- Nie tym razem. Zostaję.

Meredith zrobiła zaskoczoną minę. - Czy Admirał kopnął cię w czoło?

- Nie, ugryzł mnie w łydkę. Zostaję, bo potrzebuję Susano '

Na twarzy Meredith pojawił się błogi uśmiech. - Kochasz ją - oznajmiła z wyraźną ulgą. '

- Nie.

- Ale przecież Il!ówiłeś ...

- Nie, Meredith, to twoje słowa. Pragnę Susan, to prawda.

Pragnę jej do szaleństwa. Marzę o tym, żeby zaciągnąć ją do

łóżka. Ale jej nie Kocham i przed chwilą jej to właśnie powiedziałem.

Meredith spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

- Jak mogłeś! To obrzydliwe!

- Wiem. Przy moim szczęściu Susan mme już
pewnie śmiertelnie nienawidzi.

- Boję się, że nie. Ale powiem ci, że to największe
świństwo, jakie w życiu zrobiłeś!

- Nie największe - zaprzeczył. Dlaczego właściwie miałby
dłużej coś jeszcze ukrywać? Pomyślał, że najlepiej będzie,
jeśli po prostu wszystko powie. - Po pierwsze, straciłem przez
Alfredę wszystkie pieniądze z funduszu powierniczego i
wylądowałem z powrotem u babki jako kompletny golec. Po
drugie, jadąc tutaj, liczyłem, i' nadal na to liczę, że dzięki
telepatycznym zdolnościom: Susan odbije sobie straty na
wyścigach.

- Ty draniu.

- Dobrze powiedziane.

- Nie możesz jej darować, tak? Ciągłe jejnienawi-
dzisz za złamany nos.

- Nie, Meredith. Gdybym nienawidził Susan, poszedłbym z
nią do łóżka i zaciągnął ją na wyścigi, a potem kopnąłbym w
tyłek.

Odwrócił się, żeby pójść do swego pokoju. Kątem oka
dostrzegł w drzwiach wejściowych coś czerwonego. Odwrócił

się i zobaczył Susano Miała szeroko otwarte oczy i była blada jak trup.

Nie wiedział, jak długo tam stała, ale to nie miało większego znaczenia. Znowu ją zranił. Po raz kolejny zadał jej cios w samo serce. .

- Susan. - Wyciągnął do niej rękę i zrobił krok w jej stronę. - Słuchaj, ja ...

- Ty cholerny draniu - odpowiedziała i z całej siły uderzyła go w nos. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Potem jego pole widzenia powoli zaczęło wypełniać się czerwienią. W uszach mu dzwoniło, ale nie słyszał nic z tego, co działo się poza jego głową.

Susan odwróciła się i wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- No, teraz to już cię nienawidzi - odezwała się Meredith. - Nareszcie nie mam co do tego wątpliwości.

- Nie więcej niż ja sam. - Richard mrugał bezradnie oczami, zastanawiając się, dlaczego nagle przestał widzieć otaczające go szczegóły. - Cholera, zgubiłem szkła kontaktowe.

- Co gorsza, straciłeś rozum. •

- Daj spokój, dobrze? I pomóż mi znaleźć te szkła.

Richard osunął się na kolana i zaczął bezradnie macać

rękami dookoła. Kiedy Meredith ukucnęła przy nim, dorzucił:

- Skoro już tu jesteś, to pomóż mi wymyślić, jak mam to załatwić z Susan. .

- Radziłabym ci samobiczowanie. Albo przynajmniej kastrację.

- To ty mnie w to wszystko wpakowałaś. - Objęła ramieniem. - Musisz mi pomóc z tego wybrnąć.

- Niech mnie diabli, jeżeli ci pomogę. - Próbowała się wyrwać, ale jej nie puszczał.

- Wciągnęłaś mnie w to, Meredith. Tak jak w zeszłym roku wyciągnęłaś Susan do Anglii. Nietrudno było się tego domyślić.

- I co z tego? Czemu miałabym ci pomagać?

- Bo w przeciwnym razie Baryła dowie się o twoich planach wobec Lady.

- Luke - poprawiła go. - A poza tym, to jest ohydny szantaż.

- Wiem. I nic mnie to nie obchodzi.

- Jesteś naprawdę obrzydliwym, cynicznym łajdakiem.

- To skutek mojego wychowania - powiedział z szyderczym uśmiechem. - A teraz do roboty, Meredith. Snuj dalej swoje intrygi. Jeżeli o mnie chodzi, to wolałbym nie mieć na

sumieniu złamanego serca Susan Cade.

ROZDZIAŁ

16

Serce Susan Cade nie była jeszcze złamane. W końcu ad lat żyła ze świadomością, że Richard jej nie kocha. Jeśli więc chodzi o złamanie, *ta* tak naprawdę nie była pewna jedynie swoich kłopotów.

Balała ją nabiegłe krwią palce, balała ją właściwie całe ciało, ale *ta* wszystko mogły być konsekwencje upadku. Mogła mieć pretensje tylko do siebie. Niepotrzebnie pomagała Richardowi. Niepotrzebnie zawracała sobie nim głowę. -

Prawdziwa przyczyna nieszczęścia leżała gdzie indziej. Niezależnie od tego jak bardzo cierpiała, niezależnie od tego jak bardzo była na niego wściekła, Susan cały czas kochała Richarda. Upokarzając ją *ta* i doprowadzając do szału. Była kompletną idiotką, głupią gęsią. Spojrzała na zegarek. *Na* tak, pomyśl, jeżeli natychmiast nie weźmie prysznic i nie

zmieni ubrania, spóźni się na .obiad.

Wiedziała, że Meredith i Cal)suella usprawiedliwiłyby jej nieobecność, ale potrzebowała obecności ludzi z rancza. Potrzebowała towarzystwa ludzi, których kochała i którzy ją kochali. Paza tym, ca stwierdziła ze zdziwieniem, była gładna.

Gdy w pół godziny później weszła do salanu ubrana w jasną długą suknię z perłowymi guziczkami pod

samą szyję i z perłowymi kalczykami w uszach, zastała już wszystkich na miejscu. Ojciec w ciemnym garniturze siedział sztywny, jakby kij pałknął. Miejsca .obok niego zajmowali Rufus i Luke, przez .otwarte drzwi zabaczyła Richarda, który krał indyka na kuchennym stole. Był ubrany w ciemny, dwurzędowy

garnitur. Na nosie miał grube .okulary. ' .

Musiał wyczuć jej obecność, ba natychmiast podniósł głowę i spojrzał na nią. Widak jego spuchniętego nosa natychmiast poprawił jej humor. ,

- WSzYstkiego najlepszego z .okazji Świętego Indyka, Susan.

. Bez słowa przeszła do jadalni, gdzie Meredith ubrana w niebieską wełnianą suknię zapalała ustawiane na stole świece.

- Co .on tu rabi? - spytałaSusan ściszanym głę-

sem.

- *Kta* co tu rabi?

- Richard - adpawiedziała przez zaciśnięte zęby.

Meredith zdmuchnęła zapalną i spajrzała jej w oczy. -

Zaprosiłam ją na ślub, nie pamiętasz?

- Ale sądziłam - urwała. Dzisiejsze zachowanie

Richarda zupełnie do niego nie pasowała. - Już nic.

Nic dziwnego, że natychmiast straciła cały apetyt.

Miała ochotę uciec, wrócić do pakaju, alba, jeszcze lepiej, pójść do stajni. Kiedy szła na obiad, była pewna, że Richard alba zostanie u siebie, alba wręcz natychmiast wyjedzie. Jak ma spokojnie siedzieć przy stole abak niego po tym wszystkim, co usłyszał, pa pacalunkach, które wymienili przy padoku Admirala, po tym, jak trzasnęła go w nos?

- Proszę przepuścić ptaka! - usłyszała za plecami głos

Richarda. —

Usunęła się na bok i paczuła, że rabi jej się słaba.

Chwyciła się oparcia krzesła i odwróciła w stronę kuchennych drzwi. Richard szedł w kierunku stału,

unosząc Wysoko pohnisek z pokrojonym na kawałki indykiem. Przesłał jej promienny uśmiech. Lekko kulał, ale pomimo to miał najwyraźniej świetny humor.

Przez moment pozazdrościła mu opanowania, a potem ogarnęła ją złość. Nadęty, wiecznie zadowolony z siebie buc! Co ona właściwie w nim widzi?

Nieco wcześniej, robiąc sobie kompresy z lodu i szykując się do stołu, to samo pytanie zadawał sobie Richard. Zastanawiał się, czy Susan wreszcie go znienawidziła? Teraz miał wróżenie, że zna odpowiedź. Nie dopływały do niego żadne emocje Susan, ale wystarczał mu wyraz jej twarzy.

Była śmiertelnie blada. Sam był zaskoczony wrażeniem, jakie to na nim wywarło, i postanowił zrobić coś, co przywróciłoby jej policzkom rumieńce. Oczywiście to zupełnie idiotyczny pomysł, był teraz ostatnią osobą, która miała na to choćby minimalne szanse. Przez cały obiad siedząca naprzeciw niego dziewczyna nie odpowiedziała najmniejszym gestem na jego uśmiechy i ciepłe spojrzenia.

Kiedy uniosła kieliszek z winem, serce podeszło mu, do gardła. Kostki Susan miały sinożółtą barwę.

Luke również natychmiast to dostrzegł.

- Hej, Suz, czy twoje barwne kostki łączy jakaś tajemna więź z wielkim nosem Czworookiego, czy to tylko sprawa mojej nadmiernie rozbudzonej wy-

obraźni? **i**

- Owszem, Luke. Mieliśmy zware z Admiralem.

- Ty miałaś zware z Admiralem? Przecie ten stary diabeł je ci z ręki.

~ Był nie w humorze - odpowiedziała, wzruszając ramionami. - Nie lubi obcych na wybiegu. Ratowałam Richarda i obojgu nam się oberwało.

Richard, choć miał na ten temat odmienne zdanie, wolał jednak zachować milczenie. Trudno mu było zrozumieć, dlaczego Susan kłamie, dlaczego po prostu nie powie wszystkim prawdy o jego obrzydliwym, egoistycznym zachowaniu.

- Nie nadzwyczajny z ciebie jeździec, co? - powiedział z przekąsem Luke. /'

- Nigdy nie mówiłem, że jestem nadzwyczajnym jeźdźcem - odparł;

- Niech zgadnę, jak do tego doszło. Hmm, widać nie miałaś swoich kontaktów i wzięłaś Admirała za kogoś innego, tak?

- Luke - odezwała się Meredith tonem ostrzeżenia.

- Przecie wszyscy wiemy, że Richard ma trudności z poznawaniem starych znajomych - usprawiedliwił się Luke.

- Nawet bez okularów, Luke, bez trudu poznaję osła.

- To ci się udało, Richie! - Loren wybuchnął śmiechem i uderzył dłonią w stół. - Jeden zero dla ciebie!

Richard uśmiechnął się. Luke poczerwieniał. W tym momencie w kuchni rozległ się dzwonek. Consuella natychmiast wstała, ale Meredith zatrzymała ją gestem. ,- To rodzice Luke'a. Chodź, kochanie - powiedziała wstając.

Luke posłusznie udał się za nią do kuchni.

- To dobry chłopak, Richie, ale czasem poprostu nie wie, kiedy przestać - odezwał się Loren, podając Richardowi półmisek z ziemniakami.

- Nigdy nie wiedział - zgodził się Richard i spojrzał na Susano

Uśmiechała się leciutko, ale nie do niego. Gotowa była skłahać, ale nie miała zamiaru na niego patrzeć. Sięgnął po szklankę i wypił łyk wody. Dopóki nie ma w pobliżu Luke'a, dopóty potrafi zachować zimną krew.

Kiedy skończyli obiad, wszyscy zaczęli się rozchodzić. Consuella poszła do kuchni, żeby pozmywać.

Rufus jak zwykle zajadał się ciastem. Loren, Baryła i Susan z talerzami w rękach poszli do salonu, aby obejrzeć sprawozdanie z meczu. Richard odsunął talerz i wstał, aby

udać się ich śladem.

- Psst!

Spojrzał przez ramię i zobaczył Meredith, która przywoływała go do siebie. Kiedy do niej podszedł, pociągnęła go do kuchni.

- Nie masz nawet o co prosić. Ani mi się śni znowu przepraszać Baryłę.

~ Luke'a - poprawiła go łagodnie. - Nie o to chodzi. Dzwoniła twoja babka. Pytała, czy tu jesteś. Zaprzeczyłam i powiedziałam, że przysłałeś mi kartkę z Cancun. Potem zadzwoniłam do mamy. To ona dała twojej babce nasz numer, ale też oświadczyła, że nic nie wie na twój temat. Okazało się, że wrócili do domu wczoraj w nocy i pani Clark nic im jeszcze nie zdążyła powiedzieć, więc zrobiłam to za nią.

Richard poczuł, że coś znowu zaczyna go ścisnąć za gardło.

- A co to za pomysł z Cancun? - spytał.

- Babka wyglądała na szczerze zmartwioną, a Cancun to po prostu pierwsze miejsce, jakie mi przyszło do głowy.

Zmartwioną, niech ją diabli. Richard rozluźnił węzeł krawata w nadziei, że coś mu to pomoże. Hałas przyciągnął go do drzwi salonu. Susan siedziała razem z innymi przed

telewizorem. Rozpięła dwa górne -guziki w sukni i trzymała rękę przy gardle. Tak samo jak on, zdał sobie sprawę Richard. Odwrócił się z powrotem do Meredith.

- Wspominała o mojej matce?
- Nie. - Meredith zastanowiła się przez moment.
- Wspomniała natomiast o Devlinie.

Richard obawiał się, że potwierdzą się jego przypuszczenia.

Co mówiła o Devlinie?

- Powiedziała: "ten stary dureń okłamał mnie os!atni raz".
- A potem odłożyła słuchawkę. Nie powiedZiała nawet "do widzenia". - Meredith potrząsnęła głową. - Zał mi go.

Richard doskonale pamiętał, że przed kilku godzinami sam myślał z troską o Devlinie. Czy to kolejny przykład telepatii? - zadał sobie pytanie. Czy zbieg okolicznOSC! Zresztą należało pewnie żałować obojga w równeJ mierze. Lokaj opiekował się babką od czterdziestu lat i trudno byłoby przypuścić, że znajdzie ona kogoś, kto będzie umiał go zastąpić.

.W.tym momencie. do kuchni weszła Susan z tacą, na ktorej stały talerzyki i filiżanki. Poczul, że dziewczyna na niego patrzy ~ odwrócił się w jej stronę. Natychmiast spuściła wzrok i męła go bez słowa. Richard natomiast z

prawdziwym przerażeniem dostrzegł otaczającą ją tęczową aureę.

. No nie, tylko nie to, pomyślał. Zdjął okulary i przetarł oczy w rozpaczliwej nadziei że to co widzi okaże się tylko przelotnym złudzeniem. Susan rzuciła mu spojrzenie przez ramię, ale napotkawszy jego wzrok, . bez słowa odwróciła się do . zlewu i zaczęła zmywać. Tęczowa aura zniknęła, a równocześnie wyszła z kuchni Meredith.

. Z ciężkim westchnieniem Richard usiadł za stołem i podparł twarz rękami. Susan stała pochylona nad zlewem, rude włosy opadały, zasłaniając jej twarz. Miał chęć podejść do niej, objąć ją i pocałować w odsłoniętą szyję. W tym momencie przypomniał sobie, co mówiła jego siostrze w stajni. Z wysiłkiem oderwał się od myśli o jej delikatnym karku.

- Naprawdę nie chciałem, żebyś usłyszała to co tutaj mówiłem Meredith. '

- Jasne - odpowiedziała, stawiając talerze na suszarce.

- Przepraszam, Susan. Jest mi przykro jak. jeszcze nigdy w życiu.

- Nie musiałeś kłamać. - Odwróciła się do niego i Richard ujrzał w jej oczach łzy. - Ani próbować mnie uwieść. I tak

poszłabym z tobą na wyścigi, Richard. Wystarczyło tylko poprosić mnie o to.

- Wiesz, czemu cię nie poprosiłem. I wiesz, że jest to w równej mierze twoja wina jak moja.

- Naprawdę? A to dlaczego? .

- Byłaś na mnie zła od samego początku, bo me poznałem cię wtedy w stajni - odparł, c~jąc, j~ ogarnia go złość. - Ale jak., do diabła, miałem Cię poznać? Nie widziałem cię na oczy przez osiem lat .

. Masz zupełnie inne włosy i...

- W porządku - przerwała mu. - Rozumiem.

- Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, to wiedz, że pragnienie, aby zaciągnąć cię do łóżka, nie miało nic wspólnego z pomysłem, by wykorzystać twoje zdolności na wyścigach. .

- Wątpię - powiedziała i ruszyła w stronę drzwi. W chwili gdy go mijała, Richard chwycił ją za rękę. - Naprawdę, Susano Pomyślałem o tym, kiedy pierwszy raz cię tutaj zobaczyłem. I od tej pory nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

- Przestań już - rzuciła z nie skrywanym obrzydzeniem w głosie, próbując się uwolnić.

- Wiesz przecież, że tak jest, Susan. Tak samo jak. wiesz, co się stało na wybiegu Admirala.

- Puść mnie - zażądała. Jej głos aż drżał od gniewu i pożądania, które nagle przykuło ich do siebie. .

- Nie puszczę cię, dopóki minie powiesz, co Się stało. Sama mówiłaś, że wystarczy, abym cię poprosił.

- Ale nie o to. Tu nic ci nie mogę pomóc.

- Raczej nie chcesz. Ale dlaczego? Koniecznie musisz wyrównać wszystkie rachunki?

- Gdybym chciała wyrównać rachunki złamałabym ci znowu nos. - Z płonącymi gniewnie oczyma, Susan wyrwała wreszcie rękę z uścisku Richarda. - I jeśli nie będziesz się trzymał ode mnie z daleka, to następnym razem na pewno tak zrobię!

ROZDZIAŁ

17

Richard potraktował słowa Susan poważnie, ona sama też -

na jakieś pięć sekund. Tyle trzeba było, żeby wyjść z kuchni i zerwać naładowany napięciem, pełen sprzeczności związek, jaki się między nimi wytworzył. Gdy tylko znalazła się w salonie, zrozumiała, że zachowała się jak dziecko.

Przecież nie od dziś wiedziała, że on jej nie kocha. Dlaczego więc tak postępuje? Dlaczego jest do niego tak przywiązana?

Przez moment spodziewała się, a może raczej miała nadzieję, że za nią pójdzie. Nie zrobił tego. Został w kuchni, żeby pomóc siostrze i Consuelli w sprzątaniu.

Czekała, aż wyjedzie, sądząc, że to uwolni ją od napięcia. Kiedy jednak w piątek zobaczyła, jak wynajęty ford tempo mijają bramę ranczo i oddala się w stronę szosy, jej serce zmieniło się w bryłę lodu. Odstąpiło dopiero: gdy Loren powiedział jej, że Richard miał oddać samochód i wrócić na ranczo z Meredith, która załatwiała coś w mieście.

Ale kiedy opadła pierwsza fala radości, poczuła się jeszcze gorzej.

Niezależnie od tego, czy Richard zdawał sobie sprawę ze swego daru, czy nie, i tak nieświadomie go wykorzystywał. Dowodziła tego żółta róża i fakt, że kiedy całowali się koło choinki, potrafił odczytać jej pragnienia.

Musi się mieć na baczności. Wiedziała, że jeśli Richard skupi się na jej myślach, jeśli nawiąże z nią kontakt, wówczas nie będzie umiała mu się oprzeć i da mu wszystko, czego zażąda.

Z rozmyślań wyrwał ją tętent konia. To nadjeżdżał Parnie na Bannerze, dwuletnim źrebaku, spłodzonym przez Admirala. W chwili gdy ją mijał, Susan nacisnęła stoper. Spojrzała na wskazówki. Niesamowite, Banner był prawdziwą rewelacją, nie spotkała jeszcze dwuletkę, który osiągnąłby taki wynik na ich torze. Prawdziwy demon szybkości. Lady będzie się musiała nieźle wyteńczyć, żeby dać mu radę.

Wyobraziła sobie ten wielki moment. Zwycięzcy wyścigów w Churchill Downs: Banner z wieńcem z czerwonych róż, uformowanym w kształcie podkowy, na szyi. Na grzbiecie konia Angel Cordero albo Chris McClaren, po jednej stronie roześmiany od ucha do ucha trener, Loren Cade, po drugiej ona sama, jako właścicielka Bannera, uśmiecha się do ...

Kiedy uświadomiła sobie, o czym właściwie myśli, wzdrygnęła się. W jej marzeniach nieustannie pojawiał się Richard. Właściwie nie tyle pojawiał się, co raczej nieodmiennie był ich ośrodkiem. Podobnie zresztą jak snów. Teraz 'powrót do rzeczywistości był tym bardziej bolesny,

że nie miała już najmniejszych złudzeń co do tego, by kiedykolwiek te sny mogły się spełnić.

Opuściło ją całe podniecenie wywołane makomitym wynikiem Bannera. Poczowała, że ktoś za nią stoi. Schowała stoper do kieszeni i obejrzała się za siebie. Za plecami miała Luke'a, który najwyraźniej starał się zerknąć na wskazówki. .

- Od samego rana zajmujemy się szpiegowaniem konkurencji?

- Kto? Ja? - Luke zrobił minę obrażonej niewinności. - Jakiej konkurencji?

- Dobra, dobra, Hardin. Nie byłoby cię tutaj z samego rana, gdybyś nie trząśł portkami.

- Zwariowałaś? Przyszedłem, bo Consuella zaprosiła mnie na śniadanie. Obiecała mi swoje słynne naleśniki.

Susan spojrzała na zegarek.

- Nie nabierzesz mnie, Hardin. Za wcześnie na śniadanie.

- Specjalnie przyszedłem wcześniej, bo na widok.

Czworookiego tracę cały apetyt.

- Richarda - poprawiła go z naciskiem. Odwróciła się i spojrzała na wracającego kłusem Bannera. Był idealną wręcz kopią Admirala, a le był od niego dużo łagodniejszy.

Usposobienie zawdzięczał najwyraźniej swej matce, Peggity, wspaniałej klaczy, która urodziła już kilka pięknych źrebiąt.

- No i jak, szefowo? Nieźle, co? - Paulie szczyrzył zęby od ucha do ucha. .

- Ujdzie w tłoku. - Luke robił, co mógł, żeby popsuć im humor. - No, muszę już iść - powiedział, ale nie ruszył się z miejsca.

Paulie ściągnął siodło z konia i okrył go derką. Susan przyglądała mu się uważnie. Chłopak i koń mieli bardzo \ zbliżoną aurę. Pasowali do siebie.

- Bądź ostrożny, Paulie - powiedziała. - Ty też sobie nieźle radzisz. zastan~wiam się, czy nie mógłbyś na nim pojechać na wyścigach.

- Naprawdę chcesz go posadzić na Bannerze? - spytał Luke. Zdjął siodło z ogrodzenia i ruszył za Susan w stronę stajni. - Jasne.

- T o znowu jakaś twoja chimera, chłopak jest jeszcze zielony.

Susan roześmiała się.

- Nic się nie bój, Luke. Da sobie radę.

- Czasem zazdroszczę ci tego twojego daru, a czasem nie. Na przykład wtedy gdy zjawia się tu jakiś zasrany

cwaniaczek i próbuje cię wykorzystać.

- Udużę twoją narzeczoną, Luke - mruknęła przez zaciśnięte zęby i odwróciła głowę tak, żeby nie dostrzegł rumieńca pokrywającego jej twarz.

- Z chęcią dokończę ten jego gruby. nos, Suz.

Powiedz mi tylko słówko.

- Naprawdę ją udużę, Luke. Już dawno powinnam to była zrobić.

. - Myślę, że się niepotrzebnie denerwujesz. Powinnaś raczej mieć pretensje do Czworookiego.

- Richarda! Posłuchaj, Luke, rzeczywiście jestem na niego wściekła. Dałam mu w nos, tak?

- Za słabo. Czuję, że chcesz to' zrobić. Chcesz pojechać z nim jutro do Los Angeles, podać mu trafienia na Santa Anita i z powrotem napchać kieszenie forszą.

Susan aż się potknęła.

- Myszkowała u mnie w biurku, tak?

- Nie. Nie Meredith, Consuella. Znalazła program i pytała Meredith o twoje plany. Nietrudno się było domyślić, o co chodzi.

- zajmij się lepiej swoim własnym nosem, Hardin.

- Susan zacisnęła pięści. - I Meredith też poradź, żeby

uważała, bo tego już za wiele.

- Słuchaj - powiedział nagle zupełnie innym, łagowniejszym tonem. - Zrozum, to ci nic nie pomoże. Richard nie zacznie cię z tego powodu kochać.

- Wiem. - Zacisnęła zęby i starała się powstrzymać napływające do oczu łzy. - Nie robię tego, żeby mnie zaczął kochać. Robię to po to, żeby wreszcie pojechał stąd do diabła.

- Chwała Bogu, Suz. Bo już byłem gotów pomyśleć, że ciągle kochasz tego kretyna.

Gdy byli koło domu, usłyszeli przeraźliwy wrzask. - Cholera!

- krzyknęła, Susan i oboje ruszyli biegiem. - Co znowu? -

Po kuchni fruwały serwetki. Papierowe serwetki w kolorze kości słoniowej, ze złożonymi brzegami. Meredith ciskała je garściami w powietrze, Richard nadaremnie usiłował ją powstrzymać, Consuella stała przy zlewie, zasłaniając twarz rękami.

Luke chwycił jedną z przelatujących serwetek i podał ją Susan.

Złote litery w rogu serwetki głosiły "Lake i Meredith".

- O nie! - jęknęła Susan, zasłaniając usta dłonią.

- Nie waż mi się śmiać - wrzasnęła Meredith.

- No wiesz - odezwała się Susan. - I tak dobrze, że są w kolorze kości słoniowej.

- Zamknij się, złotko - uciszył ją Luke, a potem położył rękę na ramionach Meredith i powiedział: :- Każemy wydrukować nowe.

- Co to znaczy my! - krzyknęła. - Do tej pory palcem nie kiwnąłeś, żeby mi pomóc! .

- Mam masę roboty, kochanie.

- A ja co mam? Masę zabawy? - zawołała Meredith, uderzając go pięścią w klatkę piersiową. - Nie jestem w stanie walczyć sama z tymi wszystkimi kretynami!

. - A od czego jest Czworo oki? - odezwał się Luke, masując sobie zębra. - Nie ma żadnej roboty, ma kupę czasu. Co prawda nie ma też forsy. Z tego, co słyszę, wynika, że przyjechał tu, aby trochę podskubać rodzinę.

- Przestań, Luke! - Meredith znowu uniosła pięść i Luke w ostatniej chwili złapał ją za rękę.

Susan zobaczyła, że Richard z zaciśniętymi pięściami rusza w ich kierunku.

- Przestań się go wreszcie czepiać, Luke! Jesteś chory z za~rości!

Słowa Meredith wprowadziły Susan w zdumienie. Zresztą

dokładnie tak samo było z Richardem. Uniósł brwi i patrzył zaskoczony, jak twarz Luke'a pokrywa ciemny rumieniec. /

- Ja? Zazdrosny o Czworookiego? Żartujesz chyba!

- Oczywiście, że ty! Zawsze byłeś o niego zazdrosny! - Meredith wyrwała ręce z uścisku Luke'a. - Przyznaj się wreszcie do tego i przestań się go czepiać przy każdej okazji!

- No dobrze ... - zaczęła Susan.

- Dostyc już tego - dokończył za nią Richard.

Spojrzeli na siebie zaskoczeni. 'O, - T o wszystko twoja wina, Czworooki.

- Uważaj, Richie!

Susan sama nie potrafiłaby powiedzieć, skąd wiedziała, że Luke będzie chciał trzasnąć Richarda w twarz.

Richard również nie umiałby powiedzieć, czemu odchylił głowę. Pięść Luke'a chybiła o włos. Odepchnął Meredith i chwycił Luke'a za koszulę na piersi.

Nagle w kuchni rozległ się szcęk odbezpieczanej broni.

Wszyscy zamarli w bezruchu.

- No dobra, chłopaki - odezwał się z drzwi Loren.

- Pora wreszcie uregulować wszystkie rachunki.

ROZDZIAŁ

18

Ojciec Susan trzymał w ręku dubeltówkę. Długa, lśniąca lufa skierowana była w stronę szarpiących się za ubrania mężczyzn. Jeden strzał mógłby położyć ich obu trupem na miejscu.

Za Lorenem stał Rufus Page z czterdziestką piątką, pięknym coltem, którego rękojeść była wyłożona macicą perłową. Za pasek miał zatknęty drugi, identyczny rewolwer. Richard, syn namiętnego kolekcjonera broni strzeleckiej, wiedział świetnie, ile warta jest taka broń.

Choć wiadomo było, że ani Loren, ani Rufus nie będą do nikogo strzelać, to jednak Richard i Luke odstąpili od siebie'.

- Tato - odezwała się Susano - To nie ma sensu.

- Nie wtrącaj się, Susie. \ Naprawdę już pora, żeby

Richard i Luke raz na zawsze załatwili swoje sprawy.

Rufus podszedł do Richarda i podał mu rewolwer.

Drugi wręczył Luke'owi. Richard sprawdził, czy broń jest zabezpieczona, potem dyskretnie rzucił okiem na zawartość magazynka i odetchnął z ulgą.

Baryła na mc nie patrzył, po prostu zbladł. Równie blada Meredith spojrzała na Lorena.

- Na miłość boską, to nie Oklahoma, wujku. A poza tym, nic wielkiego się tu nie działo.

- T o dlaczego wasze wrzaski słycać aż na pastwisku? Człowiek nie może spokojnie naprawić płotu. Dosyć tego.

Loren cofnął się o krok i wskazał lufą strzelby na drzwi wyjściowe.

- N o chłopaki, chodźcie.

- To jakiś absurd. - Luke odłożył rewolwer na stół. - Nigdzie nie idę.

- Tak sądzisz? - Loren odbezpieczył dubeltówkę.

- Strzelba nie jest naładowana, idioto - syknął Richard do Luke'a. - Rewolwery też nie. Bierz swój i chodź.

Luke przesłał mu zabójcze spojrzenie, ale nic nie powiedział. Sięgnął po rewolwer i ruszył za Richardem w kierunku drzwi.

- Uważaj na kobiety - odezwał się Loren do Rufusa i wyszedł za nimi.

Meredith natychmiast chciała biec ich śladem, ale Susan złapała ją za rękaw.

- Spokojnie. Sami' to załatwią:

- Przecież oni się pozabijają!

- Nic się nie bój. Ojciec nie dałby żadnemu z tych

pęteków nabitej broni do ręki.

- Ach, więc to tak. - Na twarzy Meredith pojawił się wyraz ulgi. - Rozumiem.

Loren odprowadził Luke'a i Richarda do domku, w którym mieszkał z Rufusem.

- Starczy - powiedział i odstawił strzelbę pod płot.

- No to jak, chłopaki chcecie rękawice?

- Wybieraj, co wolisz - odezwał się Richard. - Albo możemy rzucić monetą.

- W życiu nie będę z tobą rzucał monetą - odparł Baryła. - Rękawice.

- Proszę bardzo. - Loren podał im leżące na ganku rękawice i zabrał rewolwery.

Podczas gdy sznurował rękawice Luke'a, Richard rozebrał się, zdjął okulary i z zamkniętymi oczami

urządził sobie niewielką rozgrzewkę. Kiedy otworzył oczy, Baryła podskakiwał przed nim, potrząsając głową.

- A to co takiego? Karate czy co?

- *Tae kwon do* - odpowiedział Richard i wyciągnął ręce do Lorena. - Karate koreańskie.

Baryła znieruchomiał. Przez chwilę wyglądał na zakłopotanego, ale zaraz wyszczerzył zęby w uśmie: chu.

- Bez okularów i tak jesteś ślepy jak kret.

- Nie muszę cię widzieć. - Richard przyłożył prawą dłoń do skroni. - Widzę cię oczami duszy, jak powiedział Hamlet, rozumiesz?

I co więcej, była to święta prawda. Od kilku dni, od kiedy pierwszy raz zajrzał w oczy Lady, rzeczywiście widział dużo więcej, niż mógłby spostrzec, mając nawet najlepszy wzrok.

. - Jakie reguły? - spytał Richard. - Markiza Queensbury?

- Nie. Zasady z Oplahomy - odpowiedział Loren z kamienną twarzą i ironicznym błyskiem w oku. - Zabij i nie daj się zabić.

- T o mi się podoba - strzelił Luke.

- No dobra, chłopaki, do dzieła - rozkazał L()ren.

- Ale one wyszły z domu - zaprotestował Baryła.

- O to chodzi, synu. Kobiety mogą się z tego wiele nauczyć.

Hardin odwrócił się nieoczekiwanie ze złowrogim uśmiechem i wymierzył pierwszy chybiony sierpowy. Zaraz potem nastąpiły dwa niecelne proste. Richard cały czas cofał się, unikając uderzeń Baryły.

- Znowu tchórzysz, co?

- Chodzi o to, żeby nie oberwać.

- Nie. Chodzi o to, żeby cię wreszcie strzelić w pysk. -

Baryła zadał kolejny niecelny cios. - Pożyczyć ci okulary?

- Pożyczyć ci parę centów?

Co Meredith widzi w tym błaznie, zastanawiał się Richard, ładując krótki prawy prosty w szczękę Baryły. Nic wielkiego, tyle żeby go trochę przyhamować.

Dziwne, Luke potrząsnął głową i Richard natychmiast zobaczył wokół jego głowy rudy obłok. Obłok był jasnej, intensywnej barwy. Luke wymierzył dwa szybkie ciosy, ale oba chybiły.

- Stań spokojnie, niech cię szlag!

- Może siadź? - Richard przewrócił się na plecy i rozłożył ręce. - Może na mnie siadziesz, Baryło?

. - Cwaniaczku - wychrypiał Luke i rzucił się na mego.

Richard natychmiast przekręcił się na bok i stanął na równe nogi. Cała sytuacja zaczynała go coraz bardziej śmieszyć. Cokolwiek tkwiło w Baryle - a Richard ani przez moment nie przypuszczał, żeby naprawdę chodziło tylko o zazdrość - przyszedł czas, żeby to jakoś rozładować.

Dysząc ciężko, Baryła dźwignął się na kolana. - Gdzie się tego nauczyłeś?

- W szkole wojskowej, do której posłał mnie tatuś

zdegustowany synkiem mazgajem.

- Twój stary to świr. Mój był taki sam. Dlatego tak do siebie pasowali.

T o miało sens. Dużo więcej sensu niż zazdrość o Meredith. Richard przypomniał sobie kluchowatego, niezgrabnego Baryłę i przez moment zrobiło mu się żal przeciwnika, który spróbował się unieść i z powrotem opadł na kolana.

- Daj grabę, dobra?

Richard wyciągnął prawą rękę. Baryła chwycił ją lewą dłonią, podniósł się na nogi i wymierzył przeciwnikowi potężny sierpowy prosto w szczękę. Richard zatoczył się, oszołomiony.

- T o żebyś nie był taki cholemie cwany - usłyszał przez dzwonięcie w uszach głos Baryły.

Richard potrząsnął głową. Nie mógł uwierzyć, że dał się tak głupio podejść.

- No ładnie - odezwał się Loren. - Coś się zaczyna klarować.

- Jasne - powiedział Richard. - Od razu czułem, że to kawał

...

- Zważaj na słowa, synu. Panie słuchają. Wprawdzie mało było prawdopodobne, żeby panie słyszały ich rozmowę, ale faktem było, że biegły w ich stronę. Odwracając głowę w

kierunku Luke'a, w ostatniej chwili dostrzegł jego pięść.

Szarpnął głową i pięść minęła go o włos.

- Szybki jesteś. Za to też ci przyłożę.

- Spokojnie, chłopie. Nie podniecaj się tak - ostrzegł go Richard. Czuł, że zaczyna -w nim rosnać .gniew, i musiał się z całych sił powstrzymać, żeby wreszcie nie zacząć walczyć naprawdę. - Przecież nie mogę cię sprać na oczach Meredith.

- Świetnie. Tym łatwiej ci dołożę.

Luke zasypał Richarda gradem ciosów. Jeden musnął jego podbródek, inny trącił go w ramię. Richard uskoczył w bok i rzucił Lorenowi wściekłe spojrzenie. - Zrób z tym coś, zanim go dopadnę.

- Uwierz mi, synu, jemu właśnie tego trzeba.

- Gównu mnie obchodzi, czego mu trzeba. Wyciągnij mnie jakoś z tego - powiedział, uświadamiając sobie z zaskoczeniem, że mówi to samo, co poprzedniego dnia powiedział do Susan na wybiegu

Admirała.

- Nie mogę, synu. To twoja walka.

- Ty to zacząłeś, Loren.

- Wszystko jedno. Ty to musisz dokończyć.

Rzeczywiście powinien był to już dawno zrobić, uświadomił sobie Richard, robiąc kolejne uniki. Powinien dokończyć jeszcze kilka innych spraw. Rzucił okiem na stojącą obok Meredith Susan. To przede wszystkim, pomyślał.

Przestał robić uniki. Rozstawił szerzej nogi, opuścił głowę i spojrzał Hardinowi w oczy, dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia spojrzał w oczy Admirałowi.. /

- No dobra, Baryło. Nie będę więcej uciekał.

Chcesz, to chodź do mnie.

Na twarzy Hardina pojawił się drapieżny uśmiech.

Rzucił się do przodu, biorąc potężny zamach lewą ręką. Wszystko, co pozostało Richardowi do zrobienia, to wymierzyć cios w odsłoniętą szczękę przeciwnika.

Miał wrażenie, że wyrwał rękę ze stawu. Poleciał za ciosem, przeskakując nad rozciągniętym na ziemi Baryłą. Zrobił parę kroków i uklęknął. Przed oczami latały mu czarne płatki. Kątem oka zauważył blednącą w stronę Luke'a Meredith i usłyszał jej krzyk.

tuż przed nim wyłoniła się twarz Susano Jej dłonie delikatnie przesuwały się po jego policzkach. Ich spojrzenia

się spotkały. Richard poczuł dreszcz taki sam jak wtedy w stajni, gdy spojrział w oczy Lady.

Powoli odzyskiwał równowagę. Serce przestało mu walić. Słyszał teraz jęki Baryły i przejęty głos Rufusa. Ziemia przestała pod nim wirować.

- Ależ z ciebie pistolet. - Susan uśmiechnęła się wstając i podeszła do ciągle leżącego nieruchomo Baryły.

Co ona z nim właściwie zrobiła? Jeszcze przed chwilą miał wrażenie, że zaraz straci przytomność. Pistolet. Powiedziała o nim "pistolet". Richard miał ochotę zerwać się na równe nogi i zabębnić pięściami w piersi jak Tarzan. Susan uniosła powiekę Luke'a i ujęła go za rękę.

- Nic mu nie będzie - powiedziała. - Jest po prostu oszołomiony. .

- Chłopak dostał w szczękę jak złoto - odezwał się Loren z uznaniem, rozsznurowując rękawice Richarda.

Po chwili podniósł się również Luke. Kiedy Rufus pomógł mu zdjąć rękawice, Baryła podszedł do Richarda i wyciągnął rękę.

- Masz smoking?

- Mam, ale nie będzie na ciebie pasował.

- Nie szkodzi. To nie ja mam go założyć, tylko ty.

Jako mój druhba.

Richard uściskał wyciągniętą dłoń Luke'li Hardina i pomyślał, że właściwie może szkoda, że nie przylał Baryle już wtedy, przed laty. Możliwe, że oszczędziłoby to im obu wielu zbędnych nerwów.

- Będę zaszczycony - odpowiedział szczerze.

- No to teraz wszystko zostanie w rodzinie - odezwała się Meredith. - Susan obiecała zostać moją druhną.

ROZDZIAŁ

19

T ej nocy Richardowi śniło się, że Susan jest panną młodą, a on panem młodym. Susan ubrana była w piękną szmaragdową suknię i śnieżnobiały welon, ten sam, który Meredith pocięła na strzepy. Ojciec prowadził ją do oharza, niosąc z drugiej strony wetkniętą pod pachę dubeltówkę.

Były też: jego matka, babka i Alfreda oraz ojciec i Bea. Kiedy ruszyli z powrotem wzdłuż nawy, wszyscy rzucili się na niego. Matka, babka i Alfreda ciągnęły go w jedną, a ojciec

i Bea w drugą stronę.

W końcu rozerwali go na dwie części. Susan wybiegła z kościoła krzycząc:

- Nie mogę ci pomóc! Nie mogę ci pomóc! Połowa Richarda biegła za nią.

Przed kościołem stała osiodłana Lady. Obok Devlin z puszką w rękę i tabliczką zawieszoną na szyi. Napis na tabliczce głosił: "Ubogi niewidomy prosi o datki". Połowa Richarda dosiadła klaczy i ruszyła w pogoń za Susan, mając na karku Lorena na Admirale z odbezpieczoną dubeltówką, krzyczącego:

- To twoja walka, synu! Musisz jej dokończyć!

Dokończyć!...

Kiedy się obudził, ciągle jeszcze słyszał głos Lorena.

Był zlany potem, w głowie, u podstawy czaszki dudnił głuchy ból. Zegarek wskazywał ósmą. Richard usiadł na krawędzi łóżka. Wciąż jeszcze bolała go ręka. Zamknął oczy, usiłując uwolnić się od dręczącego snu, ale osiągnął tylko tyle, że jeszcze bardziej rozboleła go głowa.

Poddał się i z powrotem zanurzył się w wilgotnej pościeli. Oparł głowę na postawionej na sztorc poduszce i sięgnął po książkę, którą znalazł poprzedniego dnia wieczorem w biurku

Susan. Tytuł brzmiał "Jesteś medium".

Richard uważnie przestudiował wszystkie miejsca podkreślone różowym flamastrem, te same, które w nocy wzbudziły w nim poczucie śmiertelnej trwogi. Rano wydały mu się mniej straszne, ale i tak chwilami włosy jeżyły mu się na głowie.

Szczególnie starannie przeczytał rozdział na temat snów. Potem odłożył książkę i stwierdził, że próbując uwolnić się od wspomnienia swojego snu, znowu czuje ból u podstawy czaszki. Tym razem jego myśli skupiły się wokół Devlina. Kiedy próbował przestać myśleć o starym służącym, ból stał się nie do zniesienia. Richard sięgnął po słuchawkę.

- Tu Richard - powiedzi~, kiedy lokaj podniósł słuchawkę. - Jak się masz?

- Dziękuję, proszę pana. Bardzo dobrze. A pan?

- Nie mów do mnie pan, tylko Richard. Gdzie jest babka?

- Pani jest w Cancun, w Meksyku. Pojechała cię odszukać i doprowadzić do opamiętania, zanim będzie za późno.

Już jest za późno, pomyślał Richard. - Sama tam pojechała?

- Razem z twoją matką i narzeczoną.
- Nie mam już narzeczonej, Devlin. - Raczej, jeszcze nie mam, poprawił się w duchu. - Czy ty masz jakieś pieniądze?
- Chciałbyś pożyczyć? Z przyjemnością ...
- Nie, ale dziękuję ci za propozycję. Chodzi mi o to, czy masz dość pieniędzy na samolot.
- Dokąd mam przylecieć?
- Do Santa Barbara. Koło pierwszej odlatuje samolot z La Guardia. Zdasz?
- Sądzę, że tak.
- Świetnie. Wyjadę po ciebie. Aha i jeszcze jedno, Devlin.

- Tak?

- Zostaw babce wiadomość, że rezygnujesz z pracy u niej.

Richard odłożył słuchawkę i zamknął oczy. Ból u podstawy czaszki przycichł nieco, jakby czekając na jego dalsze kroki. Nie miał pojęcia, co powinien robić, więc postanowił zdać się na swoją głowę. Wstał z łóżka, wziął prysznic, ubrał się i wyszedł z pokoju.

W kuchni zastał Meredith i świeżo zaparzoną kawę. Siostra czytała jakiś folder.

- Gdzie jest Susan? - spytał, nalewając sobie kawę.
- Pojechała z Luke'em do Los Angeles. Mają tam obejrzeć jakieś konie.
- Czy będzie miała COŚ. przeciwko temu, żebym tu kogoś jeszcze zaprosił?
- To zależy kogo. Mężczyznę czy kobietę?
- Devlina. Mógłby mieszkać ze mną w pokoju gościnnym. Mam parę groszy, żeby za niego płacić, a ty mogłabyś mieć z niego' trochę pożytku przed ślubem i w trakcie uroczystości.
- Prawdę mówiąc, sama właśnie o tym myślałam.
- W jaki sposób ... - Richard urwał, czekając na przyływ bólu, ale nic się nie stało. - Nie powiesz mi, że ty też czytasz w moich myślach.
- Nie, ale czytam w twojej twarzy. Kiedy powtórzyłam ci słowa babki, zbladłeś jak ściana. Jeżeli sprowadzisz tu Devlina, babka cię znajdzie. Wiesz o tym?
 - Wiem. ■ wiem, że razem z nią przyjedzie moja matka i Alfreda. Devlin powiedział mi, że na razie usiłują znaleźć mnie w Cancun i doprowadzić do opamiętania. - Cholera, że też nie powiedziałam, że wyjechałaś na wyspy Fidzi. A swoją drogą, opamiętałaś się już? - Wydaje mi się, że tak -

powiedział z uśmiechem.

Wiedział, że naprawdę będzie mógł odpowiedzieć dopiero, gdy spotka się z Susan.

- Myślę, że dobrze by było, gdybyś nabrał pewności, zanim one cię wytropią i nim przyjadą rodzice. . Ojciec i Bea będą tu w czwartek.

Richard nie widział ojca od ośmiu lat. Na myśl o spotkaniu z nim zabrakło mu tchu i nabrał chęci na drinka.

- Czy będę mógł pojechać twoim wozem po Devlina?

- Jasne. Przejrzyj to, a ja pójdę po kluczyki. - Meredith wręczyła mu prospekty.

Kiedy wróciła, Richard popatrzył na nią zakłopotany i spytał:

- O co tu chodzi? Nie mam zielonego pojęcia na temat wydobycia i eksportu miedzi.

- Chodzi o to, że w ciągu najbliższego kwartału zamierzam potroić twoje pieniądze.

- Dlaczego chcesz to zrobić?

-' - Dlatego, że będą ci potrzebne. ■ dlatego, że jesteś moim bratem. Jedynym na szczęście, bo dwóch takich chybabym nie przeżyła.

Richard nie wiedział, co odpowiedzieć, więc objął ją i

pocałował.

W drodze do Santa Barbara zastanawiał się, co stało się z jego drugą połówką ze snu i co to w ogóle miało oznaczać.

Z rozważań wyrwał go dopiero widok Devlina, którego głowę otaczała czarna aura. Richard poczuł, że krew mu krzepnie w żyłach z przerażenia. Zamknął oczy, a kiedy je otworzył z powrotem, po aurze nie było śladu. Otrząsnął się, uznał, że to, co widział, było tylko złudzeniem i podszedł do służącego.

. Devlin poznał go dopiero, gdy Richard stanął przed nim. Jego wyblakłe oczy rozjaśniła radość.

- Pan Richard!

- Devlin! - Richard stłumił w sobie chęć, aby przycisnąć służącego do piersi i tylko mocno uścisnął mu rękę. - Wstyd przyznać, ale znam cię całe życie i nie wiem, jak właściwie masz na imię?

- Na imię mam właśnie Devlin. A na nazwisko O'Roarke .

- Dobrze. Słuchaj, Devlinie O'Roarke. Mam zamiar się tobą zaopiekować.

Służący uśmiechnął się łagodnie.

- Byłem pewien, że to ja mam się tu panem zaopiekować.

- Świetnie sobie daję radę. - Richard podniósł

walizkę. - To wszystko, co masz ze sobą? - Tak.

- Dobrze. W. takim razie jedziemy do domu.

Nie szli długo, a jednak służący dotarł do BMW okropnie zasapany. Kiedy usiadł w samochodzie, rozpiął kołnierzyk i zamknął oczy. Richard z przerażeniem patrzył na szkarłatne rumieńce na jego bladych jak kreda policzkach.

W drodze na ranczo opowiedział Devlinowi z grubsza o wszystkim, co zdarzyło się, od czasu gdy przyjechał do Santa Barbara. Kilka spraw pominął, nie wspominał o swoich niezwykłych zdolnościach ani o tym, że zakochał się w Susan dlatego, iż nazwał go pistoletem.

To ostatnie było tak zdumiewające, że sam nie potrafił tego zrozumieć, nie miał więc najmniejszego zamiaru mówić o tym komukolwiek. Wiedział tylko, że cała sprawa nie była taka prosta. Słowa Susan nie spowodowały niczego nowego, raczej odsłoniły przed nim coś, co cały czas pozostawało dla niego zakryte. Uświadomił sobie, że tym, czego się przez całe życie najbardziej bał, były uczucia. Zawsze przed nimi uciekał i właśnie dlatego nie miał pojęcia, co to jest miłość. Dotarło do niego wreszcie, że jedynymi ludźmi, którzy ukazali mu, czym ona może być, byli Bea i Devlin.

- Wielki Boże - szepnął Devlin, kiedy samochód

zatrzymał się na parkingu przed domem.

- Wiem, że to coś zupełnie innego niż Gramercy Park, ale za to powietrze jest tu takie czyste, że człowiek w ogóle nie czuje, że oddycha. W drzwiach nie ma sześciu zamków, bo ich tu nie potrzeba. W nocy widać prawdziwe gwiazdy i ...

- Nie musi pan nic więcej mówić. Już jestem ,kupiony.

/ _ Ale jeszcze nie widziałeś domu - zaprotestował

Richard. - Ani kuchni. Poczekaj tylko ...

- Nie muszę oglądać kuchni. Wystarczy, że pan tu jest, bym się czuł dobrze.

Dlaczego nie powiedziałeś mi tego dwadzieścia lat temu, pomyślał Richard i w tej samej chwili zrozumiał, że Devlin mówił mu to tysiąc razy, choć nigdy wprost. Mówił mu to, ucząc go wiązać sznurowadła, jeździć na rowerze, rozwiązywać równania z dwiema niewiadomymi.

- Cieszę się - powiedział i pożałował, że nie uściskał służącego na lotnisku.

Obszedł samochód, żeby nadrobić to zaniedbanie.

Spojrzał na nadchodzącą od strony domu Meredith, nacisnął klamkę i natychmiast musiał złapać na ręce Devlina, który wypadł nieprzytomny przez uchylone drzwi.

ROZDZIAŁ

- Więc jedenaście tysięcy dolców nie ma dla ciebie większego znaczenia? - Luke pokręcił głową. - Ciekawe.

- Nie mówmy o tym. - Susan skręciła z autostrady na dwupasmową szosę, prowadzącą na ranczo. - Jestem zmęczona.

Rzeczywiście, czuła się wyjątkowo źle. W pewnym momencie zdjęła nogę z gazu i chwyciła się za szyję, aby powstrzymać wzbierający jej w krtani krzyk.

- O Jezu! - wrzasnął Luke i złapał kierownicę, kiedy samochód zjechał niespodziewanie na środek jezdni. - Co się dzieje, Suz?

- Nie mam pojęcia. - Ścisnęła oburącz kierownicę, zmagając się z uczuciem nieznośnego drżenia. - Zadzwoń do Meredith.

Luke sięgnął po telefon komórkowy, Susan oddychała głęboko, starając się zapanować nad panicznym lękiem, o którym sądziła, że jest lękiem Richarda. Dodała gazu.

- Dobra, lalczko. W porządku. - Luke nakrył słuchawkę ręką. - Meredith histeryzuje. Mówi, że jakiś Devlin wypadł nieprzytomny z samochodu.

- Nie histeryzuje. - Więc o to chodziło Richar~dowi,

pomyślała. - ,Zadzwoń po pogotowie?

-Tak

- Powiedz jej, że będziemy za dziesięć minut.

- Suz, do rancza jest dobrych piętnaście minut.

- Powtórz, co mówię, i koniec.

Dojechali na miejsce w osiem minut. Susan wyskoczyła z samochodu i na miękkich nogach ruszyła w stronę domu.

W drzwiach spotkała Lorena. Miał poważną, skupioną twarz.

- T o nie wygląda dobrze, Susie. Chyba atak serca.

- Co z pogotowiem?

- Fatalnie. Pół godziny temu była gigantyczna kraksa na wyjeździe z miasta. Wszystkie helikoptery są zajęte i nie wiadomo, kiedy któryś będzie mógł przylecieć.

- Gdzie on jest? -

- W pokoju Richarda. Richie też nie wygląda dobrze. Nie chce nikogo dopuścić do tego starego.

Cały czas trzyma go za rękę i czeka na ciebie. *It*

Jej sensacje w samochodzie stały się zupełnie zrozumiałe. Susan przeszła przez kuchnię, w której płakała przytulona do Luke'a Meredith, i pobiegła w stronę pokoju Richarda.

Przed drzwiami zatrzymała się na moment, żeby zaczerpnąć

powietrza, a potem weszła do środka.

- Nie puszczaj go, Richie. Już jestem.

Richard klęczał przy łóżku, trzymając w swojej lewej ręce prawą rękę Devlina. To było w porządku, ręka odbierająca w nadającej. Wszystko inne też było w porządku: rozpiął choremu płaszcz i marynarkę, rozluźnił kołnierzyk i zdjął buty - zrobił wszystko, co mogło jeszcze pomóc osłabionemu sercu Devlina.

Richard podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Był blad y jak trup. Na twarzy miał wyraz panicznego lęku. - Pomóż' mu jakoś - powiedział.- On strasznie cierpi.

Nie miała wątpliwości, że większość bólu Richard i tak bierze na siebie.

- O Jezu - westchnął Loren.

- Tato, przynieś moją torbę - poprosiła, podchodząc do łóżka. .

- Jest tutaj, Susie. - Ojciec sięgnął na komodę i podał jej torbę z narzędziami.

Były to wprawdzie narzędzia dla zwierząt, ale w końcu nic nie' przeszkadzało posłużyć się nimi dla zbadania człowieka. Przyłożyła stetoskop do piersi Devlina i ujęła je~o rękę, żeby zbadać puls. Był słaby i nierówny . Zrenice były rozszerzone,

oddech płytki.

Spojrzała na Richarda. Oddychał z trudem, miał sine wargi.

Na miłość Boską, pomyślała, on się dusi. - Migotanie przedsionków. To oznacza pęknięcie mięśnia sercowego, ale nie mam pojęcia jak rozległe. - Pomóż mu jakoś - wycharczał Richard przez zaciśnięte zęby. - Zrób dla niego to samo, co zrobiłaś dla mnie.

- Zaraz to zrobię, ale najpierw ...

- Susie! - krzyknął Loren.

- Tato, wiem, co robię. Zadzwoń jeszcze raz na pogotowie i powiedz, że musimy tu mieć helikopter.

Loren zawahał się przez moment.

- W porządku, Susie. - Westchnął ciężko i wyszedł.

Ona natomiast naprawdę nie miała pojęcia, co zrobić. Ujęła lewą ręką prawą dłoń Devlina, prawą ręką zaś jego lewą dłoń i usiłowała się skupić. To, co zrobiła dla Richarda, było łatwe, bo znała go od lat. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna, leżał przed nią człowiek, którego pierwszy raz w życiu widziała na oczy.

- Zabierz rękę - odezwała się do Richarda. - Już dosyć się przy nim wycierpiałeś.

Czuła, jak jej samej natychmiast zaciska się gardło, a w

piersiach rośnie bolesna bryła. Richard nie puścił ręki Devlina. Z zaciśniętymi zębami wpatrywał się w jego twarz. .

W tym momencie Richard nagle coś zrozumiał.

- Zabierz ręce - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu, a kiedy go posłuchała, chwycił ręce Devlina w przegubach.

Wiedział, niech to diabli, po prostu wiedział, po myślała Susano Nie miała wątpliwości, że Richard jest najbardziej uzdolnionym medium, jakie w życiu spotkała.

- Daj, pomogę ci. - Próbowała zdjąć jego ręce z przegubów Devlina, ale bez rezultatu.

- Nie - Richard opuścił głowę, zamknął oczy i podjął rozpaczliwą walkę o każdy oddech. Susan czuła tak potworny ból, że nie mogła zrozumieć, jak on to może w ogóle znieść.

- Sam nie dasz sobie rady.

- Odejdź, dam sobie radę.

- Sam nie dasz rady! Pozwól, żebym ci pomogła.

- Mam ci pozwolić, żebyś ryzykowała własnym życiem? Nie ma mowy! - Na moment uniósł głowę i Susan zobaczyła, że miejsce bólu zajął w jego oczach lęk, lęk o nią.

- Mosisz mi pozwolić - powiedziała spokojniejszym tonem.

- Przyjmujesz jego ból, ale sam nie potrafisz się go pozbyć. Nie wiesz, jak to zrobić.

- Więc mi powiedz.
- Tego się nie da powiedzieć. Muszę ci to pokazać.
- Ryzykując życiem? Nie.
- Sam ryzykujesz życiem.
- Tak, ale ja wiem, dlaczego to robię.
- Posłuchaj mnie, Richard. - Miała ochotę krzy:'

czeć, ale opanowała się i mówiła jak najspokojniejszym tonem. - Może się zdarzyć, że po pierwszym ataku przyjdzie drugi. Jeśli nie dasz ujścia bólowi, to nic mu już wtedy nie będziesz mógł pomóc. ■ może się zdarzyć, że odejdziesz razem z nim.

- Moje ryzyko - odpowiedział, tym razem nawet nie odwracając ku niej złanej zimnym potem twarzy. - Moja walka, Susano Nie twoja.

- Jeśli pozwolisz, żebym ci pomogła, uwolnię go od bólu i pomogę wam obu. A jeśli nie pozwolisz i dojdzie do ostateczności, to będę mogła pomóc tylko jednemu z was. ■ wtedy będę musiała wybierać.

Wiedziała, że to, co mówi, będzie dla Richarda bolesne, ale nie sądziła, że jego trupio blada twarz może stać się jeszcze bledsza. Podniósł na nią oczy pełne łez.

- Nie mogę! - powiedział szlochając.. Zamknął oczy, ale łzy

i tak nie przestały spływać mu po policzkach. - Nie mogę pozwolić, żeby umarł, ale nie mogę ryzykować twoim życiem! Niech to diabli, Susan! Niech to d,iabli!

Szlochał nieprzytomnie jak dziecko, dając wreszcie jakieś ujście przepelniającemu go bólowi. Udało się, pomyślała z ulgą, sprowokować go, żeby uwolnił choć część cierpienia, od którego ratował Devlina. Zamknęła oczy i przyłożyła stetoskop. Uderzenia serca stały się odrobinę pewniejsze. Widziała ból emanujący z ciała leżącego mężczyzny w postaci jadownicie żóhych fal.

W tym momencie zadrżały szyby w oknach. Przed domem lądował helikopter. Richard odwrócił głowę i spojrzał jej w Oczy. Twarz miał zalaną łzami. Przesłał Susan niepewny, drżący uśmiech, przerywany przez kolejne nieopanowane szlochy. Devlin po raz pierwszy odkąd weszła do pokoju, odetchnął głębiej.

Richard nie przestał płakać, kiedy sanitariusze wbiegli do pokoju, i cały czas trzymał starszego pana za rękę. Kiedy lekarz założył Devlinowi maskę tleno wną, a sanitariusze przełożyli go na nosze, wstał z najwyższym trudem i słaniając się, szedł obok nich.

Kiedy nosze zniknęły we wnętrzu helikoptera, spojrzał na

Susan i wskazał gestem, że również ma zamiar lecieć. Wiedziała, że to nie ma sensu, ale nic nie powiedziała. W chwilę później Richard uniósł dłonie do skroni, zachwiał się i gdyby razem z Lorenem nie chwycili go w ramiona, byłby upadł.

ROZDZIAŁ

21

Richard zbudził się rozciągnięty na łóżku Susano Zapach lawendy sprawił, że wiedział to, zanim jeszcze otworzył oczy.

przez moment podejrzewał, że jest w niebie. Potem przeraziła go myśl, że stracił pamięć lub w jakiś tajemniczy sposób przespał najcudowniejsze chwile swego życia.

Zaraz jednak przypomniał sobie Devlina, przewrócił się na plecy i otworzył oczy. Pierwszą osobą, jaką zobaczył, był siedzący na fotelu Loren Cade. Przynajmniej jedno stało się jasne, niczego nadzwyczajnego nie przespał, ani nie zapomniał.

- Co z Devlinem?

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Loren i odłożył na stolik zniszczony egzemplarz pisma "Koń i jeździec" .

Richard ziewnął i odwrócił głowę w stronę okna. Ciemne niebo przecinały ostatnie smugi głębokiej purpury. .

- No, dzisiaj to sobie zasłużyłeś na drzemkę. - Loren wyciągnął z kieszeni papierosy i zapalił.

- Możesz mnie poczęstować papierosem?

- Nie wiem, czy facet, który właśnie przychodzi do siebie po ataku serca, powinien palić. - Loren ze smakiem wypuścił dym przez nos.

- ! lepiej się nad tym nie zastanawiaj, tylko daj mi fajkę.

- Cieszę się, że' nie tracisz humoru, chłopcze. - Loren rzucił na łóżko papierosy i zapalniczkę.

Wyciągając rękę po papierosy, Richard zorientował się, że nie ma na sobie koszuli. Ani spodni, stwierdził skupiwszy się na moment. Zaciągnął się dymem, zamknął oczy i czekał, aż nikotyna zrobi swoje.

Devlin z tego wyjdzie. Chwała Bogu! Zaciągnął się jeszcze raz, odrzucił kołdrę i powiedział:

- No, pora wstać.

Spróbował to zrobić, ale po prostu upadł z powrotem na łóżko.

- Kto mi ukradł kolana? Co się stało?

- Nic się nie bój, synu. Jutro dostaniesz je z powrotem - odezwał się Loren łagodnym głosem. - Nie zamartwiaj się o Devlina. Dzisiaj pojechała do niego Meredith, nie będzie tam sam.

Richard opadł na poduszkę i spojrzał uważnie na Lorena. Ani słowem nie wspomniał o Devlinie~

- Niech to szlag trafi - powiedział w końcu. - T o rodzinne.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni. - Loren założył nogę na nogę. - Ja czytam myśli, Susie odbiera emocje, tak to jest.

. - Niech to szlag - powtórzył Richard.

- Tylko uważaj, żebyś sam nie dostał ataku serca.

- Loren z uśmiechem zaciągnął się dymem. - Na ogół nikomu o tym nie mówię. Ludzie czują się nieswojo, jak o tym słyszą.

- Więc ty po prostu wszystko wiesz? - Richard patrzył na Lorena i po raz pierwszy w życiu zaczął rozumieć, co przez te wszystkie lata kryło się za kamienną twarzą kowboja.

- Nie ty pierwszy się na mnie naciąłeś, synu - roześmiał się Loren, a potem spojrzał na Richarda poważniejszym

wzrokiem. - Chocirz mam nadzieję, że będziesz ostatni, bo już siedzisz w łóżku Susan, a coś mi się widzi, że ani ona nie ma ochoty cię stąd wyganiać, ani ty nie masz siły wyjść.

Richard z trudem powstrzymał uśmiech. Dopiero mina Lorena uświadomiła mu, że spokojnie mógł się roześmiać

- No właśnie, w tym kłopot, synu. Czasem człowiekowi się coś pomiesza i pomyśli sobie to, czego nie powlruen.

- Pomiesza - powtórzył Richard. - Wszystko, co ci mogę powiedzieć, to tyle, że chociaż moje myśli nie są, jak to się mówi, najczystsze, to zamiary tak. Jeśli tylko Susan będzie mnie chciała.

- O to się nie musisz martwić, chłopcze. - Loren zgasił papierosa w popielniczce i sięgnął po leżący w nogach łóżka szlafrok Richarda. - No, chodźmy, pora na kąpiel. Susie powiedziała, że dopóki nie poczujesz się lepiej, nie możesz brać prysznic.

- Czy ty wiesz, Loren, co Susan ze mną właściwie zrobiła?

.- Wiem, że sobie wyobrażasz Bóg wie co. Ale to są normalne sprawy, synu. Wszystkie kobiety potrafią takie rzeczy, zapewniam cię.

Powie Susan, co myślał, kiedy ją pierwszy raz zobaczył w stajni, postanowił Richard, zanurzając się w wannie. ■

opowie jej o swoim śnie. ■ powie jej, że ją kocha. Ciągłe nie rozumiał, jak do tego doszło, ale wiedział, że tak po prostu jest. A wtedy Susan znowu złamie mu nos ..

Udało mu się wyjść z wanny o własnych siłach, ale bez pomocy Lorena nie dotarłby do łóżka. Było mu zimno, więc położył się nie zdejmując szlafroka i nakrył kołdrą. Loren sięgnął po dzbanek i nalał mu kubek gorącego kakao. Richard spojrział zaskoczony, dałby głowę, że gdy szedł do wanny, na stoliku nie było żadnego dzbanka.

- Susie to przyniosła - wyjaśnił Loren, podając mu kubek. - Teraz szykuje kolację.

- Dlaczego ja się tak czuję, Loren? Wiesz coś o tym?

- Jesteś wyczerpany. Rozładowałeś się, zupełnie, zasilając Devlina.

- To takie proste?

- Rzeczywiście, niema w tym nic skomplikowanego, synu. Dlatego t3.k mało ludzi potrafi to zrozumieć. Za proste.

- Ja sam nie mogę zrozumieć, co właściwie zrobi-łem. - Richard dokończył kakao i zapalił następnego papierosa. - Zrobiłem, co było do zrobienia, i tyle.

Ręce jeszcze mu drżały, ale po wypiciu kakao zrobiło mu

się cieplej. Loren z uśmiechem poklepał go po ramieniu.

- Nie bój się, synu. Nic złego się z tobą nie dzieje.

Po prostu masz ten dar i to wszystko. - Mrugnął

i wyszedł z pokoju. .

. Richard zamknął oczy. Przypomniawszy sobie, że płakał.

Pierwszy raz w życiu płakał. Przy Susan i Lorenie, . i

Meredith, i lekarzami. I w dodatku wcale się nie wstydził.

Pamiętał uczucie ulgi, jaką przyniósł mu płacz. Boże, jakie to było cudowne:

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła . Susano Miała na sobie zieloną suknię, w rękach trzymała tacę. - GłodQ.Y? - spytała.

- Tak. - Richard podniósł się na łóżku i popatrzył głodnym wzrokiem. Nie na tacę jednak, ale na dziewczynę. Nie mógł oderwać od niej oczu, pochłaniając

ogromny befsztyk, frytki, sałatę i fasolkę. Kiedy skończył, Susan odniosła tacę do kuchni, wróciła i siadła na brzegu łóżka.

- Jest już Meredith. Lekarz powiedział jej, że zawał Devlina był stosunkowo lekki. Przyczyny są jeszcze nie znane. Mogło to być nadciśnienie, ale mógł też być po prostu stres.

- T o moja wina. - Richard miał zmartwioną minę.

Sięgnął po papierosa, zapalił i zaciągnął się dymem.

- Nie całkiem. Meredith rozmawiała z nim przez chwilę. Twoja babka' wyrzuciła go z pracy. Jutro miał się właśnie wyprowadzić z domu.

- Wstrętna, stara suka.

- T o twoja babka, Richard!

- No i co z tego? Nie mówmy o tym dłużej, bo robi mi się niedobrze. Chciałbym cię spytać raczej o c9ś mnego.

- Tak? - Susan opuściła głowę, unikając jego spojrzenia.

- Devlin będzie gdzieś m usiał wrócić ze szpitala, a na razie jedyne miejsce, jakie mamy, to twoje ranczo. Gdy tylko znajdę pracę, zaraz się stąd wyniesiemy. Starczy mi chyba także na szpital, zostało mi jeszcze parę dolców. - Richard snuł na głos swoje myśli, nie spodziewając się odpowiedzi ze strony Susan i dlatego w pierwszej chwili nie zrozumiał, co do niego powiedziała.

- Maszjedenaście tysięcy trzysta sześćdziesiąt dolarów.

- Co takiego?

- Byłam dziś z Luke'em na wyścigach w Santa Anita.

- Ale kto za mnie stawiał?

- Ja. Wygrałam dla ciebie tę forszę, którą chciałeś.

-- Ale dlaczego? Przecież cię o to nie prosiłem.

- Wiem, ale pomyślałam, że właściwie to ci się to ode mnie należy. A teraz naprawdę ci się te pieniądze przydadzą. Oczywiście, możecie tu zostać z Devlinem tak długo, jak długo się wam podoba, ale równie dobrze możecie w każdej chwili ruszyć dalej.

Susan zamilkła i wstrzymała oddech. Wyobrażała sobie, że Richard wyda okrzyk radości, odzyska siły, zerwie się z łóżka i z pieniędzmi w garści czym prędzej opuści ranczo, znikając na zawsze z jej życia.

Richardowi serce waliło tak głośno, że nie mógł się nadziwić, jakim cudem Susan tego nie słyszy.

- Chcesz, żebym jak najszybciej wyjechał? Podniosła głowę, jej oczy lśniły jak dwa ametysty. - Nie.

Richard wyciągnął rękę i splótł palce z palcami Susano. Były chłodne i drżące. Spojrzał jej w twarz i zrozumiał tajemnicę niezwykłego blasku jej oczu. Lśniły w nich łzy.

- Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, w stajni, wydało mi się, że widzę albo czuję bijący od ciebie blask. Wydałaś mi się aniołem.

- To była moja aura. Pewnie mógłbyś ją dostrzec wcześniej, gdybyś tylko ...

- Nie wiem, czy to była aura, czy po prostu blask słońca. Ale wydałaś mi się Wtedy najpiękniejszym stworzeniem na ziemi. Pamiętam, przyszło mi do głowy, że gdybyś mnie dotknęła, przestałbym wreszcie czuć tę okropną pustkę i lęk.

- Och, Richard. - Susano odetchnęła głęboko. Otarła oczy wierzchem dłoni. Richard wy~iągnął ręce i ujął twarz Susano

- Właśnie wtedy się w tobie zakochałem. Od pierwszego wejrzenia. Gdybym pozwolił, żeby rządziła mną wyłącznie moja głowa, to już dawno bym o tym wiedział i nie ...

- Nie musisz mi tego mówić. Wiem.

Susan ujęła jego dłoń w swoje drobne ręce i przytuliła do ust. Richard poczuł, jak. przez całe ciało zaczynają przepływać mu ciarki. .

- No tak. Ty to pewnie wiesz' lepiej ode mnie.

- Pewnie tak. - odpowiedziała z uśmiechem.

- Kocham cię, Susano. Możliwe, że nie powinienem tego mówić, ale nie potrafię się powstrzymać. Głowę mam jeszcze ciągle pełną śmiecia i ja ...

- Nie musisz mi tego mówić, Richard. - Susan znów przyłożyła usta do jego dłoni i przez ciało Richarda po raz kolejny przebiegły iskry.

- Nie muszę? Loren powiedział, że muszę. Susan

wybuchnęła śmiechem.

- Stary wariat. Nie przejmuj się nim.

- Nie jest żadnym wariatem, Susano Dobrze o tym Wiesz.

Spojrzała na niego zaskoczona. - Powiedział ci?

- Tak, i teraz rozumiem, dlaczego tak go nosiło na mój widok. Świetnie wiedział, co mam w głowie. - Dlatego kiedyś pił.

- Też to zrozumiałem. Być może zresztą ja piłem z tego samego powodu. - Richard zgasił papierosa w popielniczce.

Piłem, powtórzyła wmyśli Susan, uderzona użytym przez niego czasem przeszłym.

Richard oparł się na poduszkach i spojrzał na nią. Nic nie mówił, ani jej nie dotykał. Pieścił ją wzrokiem. . Przesuwał spojrzeniem po jej twarzy, szyi i ciele, aby po chwili znowu wrócić do twarzy.

- N o więc, co się ze mną dzieje? T o parapsychiczne czy psychiczne?

- Oczywiście, parapsychiczne. Przypuszczalnie telepatia, ale trudno to powiedzieć na pewno, bo te rzeczy są płynne, raz możesz być nastawiony bardziej

telepatycznie, raz empatycznie.

- Loren jest telepatą, tak? A ty?

- Jedno i drugie, tak jak ty. Posiadam silne zdolności empatyczne, zwłaszcza wobec koni. Zawsze miałam. Telepatyczne tylko w stosunku do ciebie. Zwykle docierają do mnie raczej emocje niż m~. ~

- A teraz? - spytał Richard z szatańskim uśmiechem. - Wiesz, co teraz czuję? ' .

- Tak. - żeby uspokoić wzburzoną przez jego pragnienia krew, musiała wziąć głęboki oddech. .

- Myślisz, że zawsze byłem w stanie dostrzegać aury?

- Tak, tylko że nie miałeś nikogo, kto pomógłby ci połączyć się w tym wszystkim. Pewnie wspomniałeś o tym komuś jako dziecko, usłyszałeś, że jesteś głupi, i stłumiłeś swoje zdolności.

- A ty miałaś Lorena, który powiedział ci, że właściwie wszystko jest w porządku?

- Tak.

Kochany stary ojciec, który zawsze mówił jej to, co trzeba. Kiedy odniosła do kuchni tacę i wracała do Richarda, wyciągnął rękę i złapał ją za ramię.

- Susie - zapytał - jesteś pewna, że to ty tego chcesz, a nie Richard?

- Tak - odpowiedziała zdecydowanym tonem.

- Jestem pewna.

- Dobra. - Loren wstał od stołu i założył kapelusz.

- Jesteś już dorosła. Idę do domu oglądać telewizję.

Może pogram z Rufusem w karty. W każdym razie będę się trzymał z dala od tego, co się tutaj będzie działo.

- Kocham cię, tato.

- Ja też cię kocham, Susie.

Już miał wyjść, kiedy odezwała się niepewnym głosem:

- Tato. Czy Richard coś ci mówił albo ...

Loren położył palec na ustach, a potem uśmiechnął się do niej i dodał:

- Najlepiej będzie, jak sam ci to powie.

I teraz wreszcie jej to mówił.' Zresztą, nawet gdyby tego nie zrobił, i tak by wiedziała. Nie było do tego trzeba żadnych szczególnych zdolności. Miłość była w jego oczach i w palcach, które delikatnie splatał z jej palcami.'

- Dlaczego leżę w twoim łóżku, Susan?

- Jest większe i wygodniejsze, i...

- Wiem - przerwał jej łagodnie. - Ale dlaczego leżę w nim

sam?

ROZDZIAŁ

22

- No ... bo ... - Susan starała się nadać swemu głosowi opanowane brzmienie. - No bo jeszcze mnie do , niego nie zaprosiłeś.

Richard natychmiast uchylił kołdry. - Czy można panią prosić?

Czarny szlafrok w złote pasy rozchylił się, ukazując jego mocną, męską pierś. Światło lampy nadawało włosom Richarda połysk i podkreślało blask jego oczu. .

Kiedy tak leżał półnagi w jej pościeli, wydawał się Susan tak piękny, że aż trudno jej było uwierzyć w realność tego, co widzi. Oto miały się spełnić jej wszystkie sny. Tak nieoczekiwanie, że nie wiedziała, c~ począć. Zasłoniła twarz rękami i powtarzała sobie: to nie sen, to nie sen, to nie sen.'

Idioto, wrzasnął na siebie w duchu Richard, zapomniałeś

już, że masz do czynienia z dziewicą?

- Przepraszam, Susano - Delikatnie odsłonił jej twarz. - Nie chciałem cię nastraszyć.

- Wcale się nie boję. Ja ... - Spojrzenie Susan ześlizgnęło się po twarzy Richarda na jego pierś. Była gładka, bez zarostu, z pięknie rzeźbionymi mięśniami. Miała wielką ochotę go dotknąć, ale zmusiła się do tego, żeby podnieść wzrok i spojrzeć mu w oczy. - Ja się tak czuję, jakbym była księżniczką z bajki, do której w końcu przyszedł jej książę. Kiedy już zupełnie przestała w to wierzyć.

Richard przysunął się do Susan i przytulił usta do jej ucha.

-, Jesteś najprawd~wszą w świecie księżniczką.

Ale to ja nie mogę się cioczekać, kiedy przyjdiesz do mnie.

Susan roześmiała się, a jej śmiech przemienił się w rozkoszne westchnienie, w chwili gdy Richard delikatnie przesunął czubkiem języka wzdłuż płynnych krzywizn j~j ucha. Pochyliła się nad nim i wsunęła ręce pod szlafrok. Napięta na twardych mięśniach skóra Richarda była jedwabście miękka i delikatna.

- Świece - szepnął jej do ucha. - Potrzeba nam mnóstwa świec.

o- Po co nam świece?

- Widziałem już twoje oczy i włosy w blasku świec.

Teraz chcę się z tobą kochać przy ich świetle.

Susan poczuła, jak przepływa przez nią fala podniecenia. Richard zaczął ją całować, powoli, głęboko. Kiedy oderwał wargi od jej ust, nie miała siły się ruszyć. Uśmiechnął się do niej.

- Ile? - spytała słabym głosem.

- Tuzin powinien wystarczyć.

- Zaraz je przyniosę.

- Ja przyniosę. Powiedz mi tylko, gdzie są.

- Na kominku, w jadalni, w łazience ...

- Nie ruszaj się.

Tak jakbym mogła się ruszać, pomyślała Susan, osuwając się na łóżko. Chciał się z nią kochać przy blasku świec. Uszczypnęła się. Ni'e, to nie był sen.

Richard wrócił z naręczem świec, poustawiał je na nocnym stoliku i pozapalał. Potem zgasił światło.

Susan oparła się na łokciu i patrzyła, jak Richard zrzuca szlafrok. Kiedy uklęknął przed łóżkiem, światło świec pokryło jego ciało miękkimi cieniami. Zsunął jej z nóg buty i pieścił jej kostki, potem objął ją wpół i przytulił twarz do jej piersi.

Susan objęła go ramionami. Pachniał lawendą i mydłem. Kiedy chwycił jej sutki wargami, wzięła głęboki oddech, a gdy z nieopisaną delikatnością ścisnął je zębami, wydała głośnie westchnienie.

Richard uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Wiedział, że płomyki migocące w oczach Susan nie są odbiciem płomieni świec, że to on rozpałił je swymi pieściami. Gdy patrząc jej cały czas w oczy, łagodnie ujął jej piersi w dłonie, rzęsy Susan zatrzepotały, a jej usta się rozchyliły. Pieścąc piersi dziewczyny; czuł bicie jej serca. Uniósł głowę i ich usta spotkały się w pocałunku.

Pocałunek Susan był pełen pożądania, jej język wdarł się do ust Richarda, palce wplotły się w jego włosy. Pozwolił jej przygryzać i ssać swoje wargi do momentu, gdy poczuł, że zaraz wybuchnie. Wtedy: uniósł jej spódnice. Zadrżała i odrzuciła głowę, rozchylając nogi, które okrywał pocałunkami.

- Susan - wyszeptał, całując wewnętrzną stronę jej kolana. - Potarł je nosem i Susan jęknęła. - Musimy trochę zwolnić tempo. Słyszysz, Susan? Powiedziałem, że musimy trochę zwolnić tempo.

Sięgnął do paska i stwierdził, że jest już rozpięty.

Uniósł wzrok na Susan, która patrzyła na niego przymglonym wzrokiem.

- Pomyślałam, że lepiej go rozepnę - odezwała się rozmarzonym głosem - dopóki jeszcze w ogóle mogę się ruszać:

Richard roześmiał się cicho i usiadł obok niej na łóżku. Wyciągnął jej ramiona nad głowę i gdy rozchylił rozpięte poły jej sukni, piersi Susan same się wychyliły z koronkowych miseczek czegoś, co przy dużej dozie dobrej woli można by nazwać stanikiem.

- Ależ, doktor Cade - odezwał się Richard zaszokowany - czy pani pacjenci mają pojęcie, jaką pani nosi bieliznę?

- Moi pacjenci nie mają o tym pojęcia - odparła ze śmiechem, który sprawił, że jej łagodne okrągłości delikatnie zadrżały - ale nie sądzę, żeby robiło im to jakąkolwiek różnicę.

Richard oparł się na łokciu, pocałował ją i szepnął: ~ Chcę cię całą zobaczyć, Susano

Całował ją, ściągając jej suknię z ramion, zdejmując majteczki i rozpinając jednym pewnym ruchem umieszczoną z przodu zapinkę stanika. Dopiero gdy zsunął ramiączka stanika z ramion Susan, spojrzał na nią i ... - Mój Boże, Susano -

Zamknął oczy, oparł czoło na jej czole i z wysiłkiem przełknął ślinę. - Jesteś jeszcze piękniejsza, niż przypuszczałem. —

- Patrzcie, kto to mówi - szepnęła, głaszcząc go jednym palcem po policzku.

Chwycił ją za rękę i pocałował, wkładając w ten pocałunek cały zachwyty, jaki w nim budziła. Zachwyty wobec jej piękna, jej hojności i szczodroblewości, jej poczucia humoru... Uniósł głowę i wtedy poczuł wewnątrz własnej dłoni cudowne łaskotanie. Wiedział, że w pocałunku Susan zawarta jest jej odpowiedź, jej wyznanie mówiące, że dla niej był zawsze -,- odkąd tylko go pierwszy raz zobaczyła - najwspanialszym mężczyzną na świecie. I jeszcze to, jak bardzo jej się podobał, jaki budził w niej podziw, jak bardzo pragnęła, żeby ją ...

- Susan! - Richard był naprawdę zaszokowany.

Nie tyle jej zmysłowymi pragnieniami, co raczej faktem, że w jakiś tajemniczy sposób potrafiła mu to wszystko przekazać.

Zrobił w każdym razie to, czego pragnęła. Pochylił się nad jej lewą pierś i okrążył językiem sutkę. Jęknęła i jej ciało wygięło się w łuk w nieprzytomnym pragnieniu oddania mu

się aż do końca. Richard ssał, całował i pieścił jej piersi, w zdumiewający, niewiarygodny sposób czując wszystko to, co ona czuła.

- O Boże, Susan! - Znów oparł się czołem o jej czoło. - Jak to się dzieje, że wiem o wszystkim, co ty czujesz?

- Bo ja tego chcę.

Uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Co to znaczy? W jaki sposób?

-Mmm.

Serce Richarda zaczęło mocniej bić.

- Czy to znaczy, że też mogę sprawić, żebyś wiedziała, co ja czuję?

- Zawsze to mogłeś.

Uśmiechnął się znacząco. Oczy Susan gwałtownie się rozszerzyły. Myśl o tym była szalenie pociągająca, ale ...

- Może lepiej jutro - zdecydował. - Dzisiejsza noc jest tylko dla ciebie.

- A czemu nie dla nas?

- Ponieważ to jest twój pierwszy raz i chcę, żeby to było coś szczególnego. .

- To już jest coś szczególnego. Jestem z tobą.

- Nie mów mi, że cały czas czekałaś na mnie.

- A co ty myślisz? - odpowiedziała z uśmiechem.
- Myślę, że jestem mimo wszystko urodzonym
szczęściarzem. - Uśmiechnął się, słysząc jej śmiech, a potem
pocałował ją w nos. - Nigdy jeszcze nie byłem z dziewczyną.

- Co za zbieg okoliczności.
- Nie muszę ci tłumaczyć szczegółów technicznych?
- Nie. Jestem w końcu weterynarzem.

Roześmiała się i Richard też mimowolnie się uśmiechnął.

- Staram się być poważny. Nie chciałem, żeby cię bolało.
- Posłuchaj, Richard. Nigdy tego nie chciałeś, ale przez
ostatnie piętnaście lat nieustannie mnie raniłeś. Teraz masz
okazję, żeby to wszystko zmazać, ale . musisz wreszcie
przestać gadać i spełnić wreszcie wszystkie moje marzenia.
- No cóż, w takim razie ...

ROZDZIAŁ

23

- Richard, obudź się. Potrzebuję cię. Szybko!

- Znowu? - mruknął sennym głosem.

I to mówi księżę z bajki!

- Nie w tym rzecz. Peggity rodzi. Boję się komplikacji.

Mogę potrzebować twojej pomocy.

Jegospecjalnej pomocy, tego nie powiedziała, ale też nie musiała.

- Jak pani sobie życzy - odpowiedział, zrywając się z łóżka.

Uśmiechnęła się do niego i wybiegła.

W pośpiechu wciągnął džinsy, sweter i z torbą Susan ~ ręką pobiegł w stronę stajni. Na miejscu zastał -Lorena. Następne dwie godziny spędzili we trójkę. Pomimo kłopotów z pęciną Peggity udało się im odebrać poród. Na świat przyszła klaczka, pierwsza córka Admirala, Sirocco. Kiedy wracali do domu, na niebie pojawiły się pierwsze zapowiedzi świtu.

Byli tak zmęczeni, że gdy znaleźli się w sypialni, Susan dosłownie zwała się na łóżko. Richard ściągnął jej tylko buty z nóg, zdjął swoje adidas i położył się obok niej.

Susan przysunęła się do niego i przyłożyła ucho do jego piersi'. Zasnęła, słuchając, jak bije jego serce. Tej nocy, po raz pierwszy od dawna spała bez snów.

Obudził ją ciepły blask _słońca na twarzy. Przewróciła się na plecy i otworzyła szeroko oczy. Spojrzała na zegarek: dwadzieśda po dziewiątej.

- Nie musisz się śpieszyć - usłyszała głos Richarda. - Dzwoniłem już do Luke'a. Powiedziałem mu, że musisz dziś dłużej spać, bo przez pół nocy ... - zawiesił głos.

- Nie! Nie powiesz mi; że ... - krzyknęła i poderwała się na łóżku. Richard stał w drzwiach do łazienki, w luźno związanym szlafroku. -

- Przez'pół nocy odbieraliśmy poród - dokończył z uśmiechem.

Cisnęła w niego poduszką. Uchylił się zrećznie.

Kiedy cisnęła drugą, Richard złapał poduszkę i pogroził jej palcem.

- Rób tak dalej, to nie będę się z tobą kochał w wan01e.

- Nie można się kochać w wannie.

- Moja droga Susan, ja mogę wszędzie. Nawet w autobusie jadącym po Piątej Alei. To jest wyłącznie sprawa nastroju. - Oparł się ramieniem o futrynę. - Prawdę mówiąc, chyba to już nawet kiedyś robiłem.

Susan wybuchnęła śmiechem. Richard wyciągnął do niej rękę. Odrzuciła kołdrę i zerwała się z łóżka.

- Zajmie nam to dosłownie pięć minut. - Pocałował ją w nos i pociągnął za sobą do łazienki. Zamknął drzwi i z tajemniczą miną odkręcił kran. - Zaraz ci pokażę, co można zrobić w wannie.

Susan podeszła do umywalki i sięgnęła po szczoteczkę do zębów. Spojrzała w lustro i zamarła ze szczoteczką uniesioną w pół drogi, do ust. Wielki Boże! Ależ ona wygląda! Rozczochrana, z zapuchniętymi od snu oczami. Nie miała już wprawdzie żadnych wątpliwości, że Richard naprawdę ją kocha, ale i tak postanowiła doprowadzić się do porządku.

Pozwoliła mu wyregulować temperaturę wody, po czym wypchnęła go z łazienki. Umyła zęby, uczesała się i wzięła prysznic, owinęła się ręcznikiem, dopiero wtedy uchyliła drzwi do pokoju. Richard poderwał się z łóżka, gdy tylko skinęła na niego palcem.

W biegu zrzucił szlafrok: Susan poczuła na twarzy płomień zrodzony w równej mierze ze wstydu i pożądania. Kiedy znalazł się już przed nią, ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

- Nie wstydz się -szepnął ochryłym z podniecenia głosem. - Ja kocham ciebie, a ty kochasz mnie, Susano Nie ma nic bardziej naturalnego niż to, że na mnie patrzysz. Tym lepiej, jeśli sprawia ci to

przyjemność. ..

- Och, tak - westchnęła.

Richard dolał do wody olejku i zamieszał. Kiedy wszedł do wanny i wyciągnął do niej rękę, zrzuciła ręcznik i podeszła do niego. Miała poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek będzie umiała zachować się w równie naturalny sposób jak on, ale zachwyty widoczny w jego oczach stanowił najlepszą zachętę, żeby spróbować.

Woda była jedwabście miękka i pachnąca. Susan usiadła tyłem do Richarda i oparła się o niego plecami. Dotknął jej ud, przez moment gładził biodra, a potem przesunął ręce wzdłuż brzucha i ujął jej piersi. Przez ciało Susan przebiegały dreszcze. Pochylił się i delikatnie chwycił zębami za jej ucho.

Sama nie wiedziała, kiedy odwróciła się do niego przodem. Teraz to ona objęła go nogami. Richard pochylił głowę i całował jej piersi. Dotyk jego języka sprawiał, że przez ciało Susan przebiegały "coraz gwałtowniejsze fale podniecenia. Nagle dłonie Richarda ujęły ją za biodra, unosząc nieco do góry. Przyciągnął ją do siebie i w sekundę później poczuła, jak spajają się w jedno. - Och - jęknęła, zdumiona faktem, że można to zrobić w wannie.

- Jestem cały twój - Richard odchylił się do tyłu, nie wypuszczając jej bioder. - Możesz ze mną zrobić wszystko, co chcesz.

! Susan robiła wszystko, na co tylko miała ochotę: zanurzona w jedwabście miękkiej wodzie. Kiedy Richard zaczął się poruszać, woda rozlewała się wokół wanny, ale żadne z nich nie zwróciło na to najmniejszej uwagi.

ROZDZIAŁ

24

Kiedy wyszli z wanny, Susan pojechała do Roundhouse, a Richard udał się do Admirala. W kieszeni miał marchewkę, w zębach cygaro od Rufusa.

Śmiało zasiadł na ogrodzeniu. Zanim diabelskie, stworzenie wyczuło jego obecność, upłynęła dłuższa chwila. Gdy to jednak nastąpiło, Admirał pogalopował prosto na niego, z położonymi po sobie uszami.

- Myślę, że zanim wdepcesz ;|l nie w ziemię - odezwał się Richard spokojnym tonem, patrząc zwię-: rzęciu prosto w oczy - powinieneś się dowiedzieć, że dziś w nocy pomogłem

przyjść na świat twojej córce. I'''

Ogier zatrzymał się jak wryty. Zastrzygł jednym uchem.

Pokręcił łbem i zarżał cicho.

- Tak, tak, córce. - Richard wsunął cygaro do ust, zapalił, zaciągnął się i wypuścił dym w kierunku konia. Zwierzę wydało dźwięk przypominający do złudzenia kasznięcie i rzuciło łbem. - Wiem, śmierdzi, ale taka jest kowbojska tradycja.

Admirał Znów potrząsnął łbem i spojrzał uważnie na Richarda. /

- Nie 'masz chęci? Trudno. A co powiesz na to?

- Wyciągnął z kieszeni marchew, przełamał ją na pół, położył jedną część na otwartej dłoni i wyciągnął w stronę zwierzęcia.

- Dla mnie cygaro. Dla ciebie marchewka.

Ogier wyraźnie zaczął się wahać. Richard wiedział od Susan, że Admirał przepada za marchewką. Trwało to dobrych kilka minut, zanim koń zrobił pierwszy, niezdecydowany krok w stronę ogrodzenia. Po dalszych paru minutach zbliżył się na tyle, że sięgnął do marchewki. Miał zaskakująco miękkie wargi. Porwał swoją zdobycz, odbiegł kilka kroków i zmiażdżył marchew jednym kłapnięciem. Z drugą połówką poradził sobie bez porównania szybciej.

- No świetnie, stary. Moje gratulacje. A przy okazji, gdyby zdarzyło mi się jeszcze kiedyś trafić na twój padok, czego - słowo daję - będę starannie unikał, to mam nadzieję, że zapamiętasz marchew i dobre wieści, jakie ci przyniosłem.

Admirał odpowiedział krótkim, ostrzegawczym rzeniem.

- Miło się rozmawiało. - Richard przerzucił nogi i zeskoczył z ogrodzenia, wpadając prosto w ramiona bladego jak ściana Lorena.

. - Na miłość boską, synu, pozwól, że ci powiem parę słów. - Loren położył ciężką dłoń na ramieniu Richarda. - Po pierwsze, jesteś śmiertelny. Po drugie, ten ogier to najprawdziwszy w świecie szatan. Po prostu uwielbia takich naiwniaków z marchewką, jak ty, zwłaszcza jak już są na tyle śmiali, żeby podłożyć mu się pod kopyto. Po trzecie, Susie cię kocha, a prawdę powiedziawszy, nawet ja zaczynam odkrywać w tobie jaśniejsze strony. Zresztą mniejsza z tym. Nie chciałbym, żeby moja córka została wdową, zanim będzie mężatką.

- Wydał mi się taki samotny. - Richard odwrócił się i spojrzał na konia pocierającego łbem o szczyt ogrodzenia. - Jest coś, co sprawia, że go rozumiem.

- Tu muszę się z tobą zgodzić. Z końmi jak z ludźmi. Nie

rodzą się złe, psuje je brak serca. - Loren objął Richarda ramieniem. - A wracając do tego, o czym mówiliśmy wcześniej. Jak myślisz, co będzie dalej z tobą i Susie?

Richard nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

Wieczorem tego dnia, kiedy już siedzieli z Susan wygodnie na poduszkach, wyciągnął do niej rękę z niebieskim, aksamitnym pudełeczkiem.

- Kupiłem to dzisiaj, po wizycie u Devlina, kiedy czekałem na nowe szkła. To nie brylant. - Chwycił ją za rękę, nie pozwalając podnieść wieczka. - Meredith ma takiego pecha z przygotowaniami do ślubu, że nie chciałbym teraz jeszcze wyskoczyć z czymś nowym. To by ją mogło zwalić z nóg.

Susan otworzyła pudełeczko i aż wstrzymała oddech. Z ciemnoniebieskiego, aksamitnego gniazdka zerkał na nią otoczony maleńkimi brylancikami ametyst.

- Och; Richardzie. To takie piękne - powiedziała i pocałowała go w usta. - To ten sam kolor, w jakim jest moja aura.

- Dlatego właśnie go wybrałem - odpowiedział i spojrzał nieco ponad jej głowę. - To znaczy, zazwyczaj jest taka. Zmienia się tylko wtedy, gdy właśnie masz ochotę ...

- Cwaniak - roześmiała się Susano Chwyliła go za szyję i pociągnęła za sobą pod kołdrę.

Przez następne trzy dni Susan co dziesięć sekund zerkała na swoją lewą dłoń. Chodząc po sklepach z Meredith i szukając czegoś stosownego na wręczenie nagród po sobotnich wyścigach, miała wrażenie, że tak naprawdę to cały czas fruwa w powietrzu. Nawet gdy Szatan, bardziej niż zwykle poirytowany z powodu diety, spróbował ją ugryźć, po prostu pochyliła się nad nim i pocałowała go w nos.

Czas, który Susan spędzała w Roundhouse, mijał Richardowi w towarzystwie Devlina i Sirocco, córki Admirala. Fascynowały go wielkie oczy stworzenia, niezgrabnie krążącego na szczudłowatych nogach wokół matki. Od czasu do czasu Sirocco padała na siano, podnosiła się z móżdżkiem i rozglądała dookoła, jakby chciała zapytać: "Kto mi podstawił nogę?".

W e wtorek pomógł Susan załadować Bannerę do ciężarówki z napisem "Stajnie wyścigowe L. i S. Cade" i przewieźć go do Roundhouse, gdzie koń miał poćwiczyć na porządnym torze przed sobotnimi wyścigami. Przy okazji uciął sobie pierwszą naprawdę poważną rozmowę z Luke'em. -

Wieczorem poszedł z Susan do stajni, zobaczyć, jak się miewa Sirocco. Na ich widok źrebię podeszło do furtki boksu, wymachując ogonem i wydając z siebie zabawne cichutkie rzenie.

~ Sirocco była piękna. Podobnie jak kobieta obok mego.

- Chcę się z tobą kochać - szepnął Susan do ucha.

- Tutaj i teraz.

Pociągnął ją do sąsiedniego boksu i rozłożył na sianie derkę. Następnego dnia przyjechał ojciec Richarda z żoną. W przeciwieństwie do Devlina, Richard Parker-Harris senior nie zmienił się wiele w ciągu ostatnich ośmiu lat. Jego jasne włosy były może odrobinę gęściej przetykane siwizną, ale sylwetka pozostała równie silna i zgrabna jak przed laty. Richard stał przed domem, trzymając Susan za rękę i widząc ojca idącego w jego stronę, uświadomił sobie, że łączy ich niezwykle podobieństwo fizyczne.

Susan zawsze to dostrzegała. Wyczuła jednak zaskoczenie Richarda i przesłała mu dodatkowy ładunek odwagi. Być może zresztą nie był on już Richardowi naprawdę potrzebny. Podeszedł do ojca zdecydowanym krokiem i przywitał go mocnym uściskiem dłoni. Być może nieco za mocnym, pomyślała, widząc lekki grymas na twarzy seniora.

- Cześć, Susan - odezwał się ojciec, jak zawsze . usuwając Richarda w cień.- Pokażesz mi swoje stajnie? - Jasne, wujku -
odpowiedziała. - Idziesz z nami?
- rzuciła Richardowi, który jednak pokręcił przecząco głową.

Potem uśmiechnął się i ułożył usta jak do pocałunku, sądząc, że nikt tego nie zauważy. Mylił się jednak, Bea zauważyła. Matka Meredith zmieniła się jeszcze mniej niż ojciec Richarda. Pozostała tą samą kruchą, delikatną blondynką, którą zapamiętał z Foxglove.

Kiedy po obiedzie zostali sami w kuchni, Bea podeszła do Richarda, ujęła jego twarz. w dłonie i spojrzała mu w oczy.
- Widziałam, że przesłałeś Susan pocałunek. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Zasłużyłeś sobie na nią. - Myślę, że oboje na siebie zasłużyliśmy - odpowiedział z uśmiechem.

Kolacja upłynęła pod znakiem Parkera-Harrisa seniora. W Richardzie narastała furia, ale nikt poza nim nie wydawał się w najmniejszym stopniu zirytowany. Nawet Loren, który zwykle pełnił obowiązki gospodarza, tym razem usunął się na bok, patrząc na wszystko ze swoim wyrozumiałym, życliwym uśmiechem.

Widząc to, Richard poczuł, jak jego złość zaczyn~ blednąć.

Przynajmniej oni dwaj mieli wyrobione jasne pojęcie na temat seniora. Jednak, kiedy już skończyli jeść, nie mógł się powstrzymać, by nie zaprosić. matki

Meredith do fortepianu. .

Grali i śpiewali razem tak jak za dawnych czasów w Foxglove, błędząc wspólnie palcami po klawiaturze, bawiąc się i porozumiewając w sposób niedostępny dla ludzi, którym obca jest muzyka. Kiedy podeszła do nich Susan, Richard powitał ją pierwszymi taktami piosenki "Któregoś dnia nadejdzie mój książę"~.

Susan była naprawdę szczęśliwa. Zauważyła, o czym pograżony w zabawie Richard nie miał pojęcia, że jego ojciec po raz pierwszy w życiu słuchał z zainteresowaniem gry syna.

Prawdziwe spotkanie między nimi nastąpiło nieco później. Kiedy leżeli w łóżku, Susan poprosiła go, żeby przyniósł jej z kuchni szklanek mleka. W drodze powrotnej, niosąc szklanek mleka umieszczoną dokładnie na środku wielkiej srebrnej tacy, natknął się na ojca wychodzącego z gościnnego pokoju. Obaj natychmiast zeszywnieli. Senior pierwszy odzyskał zilną. krew, rzucił okiem na tacę, potem na drzwi do sypialni , Susano

- Czy to rzeczywiście wygląda tak, jak to sobie wyobrażam? - spytał.

- Nie mam pojęcia, tato. Nie wiem, co sobie wyobrażasz.

Ojciec otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Zamknął je i przez chwilę stał w milczeniu.

- Nie mój cholerny interes - powiedział w końcu i wszedł do swojej sypialni.

Życie potrafi być naprawdę słodkie, pomyślał Richard i roześmiał się do siebie.

Następny dzień w pełni potwierdził jego opinię. Noc przed sobotnim wyścigiem Richard przespał najspokojniej w świecie w objęciach Susano

W sobotę rano pojechali do Roundhouse. Tory wyścigowe wyglądały imponująco. Dookoła rozstano kwiaty. Ogrodzenia były pokryte świeżą farbą. Swieciło jasne słońce, pod kolorowymi parasolami siedziały piękne kobiety. Richard widział w życiu kilka dobrych torów wyścigowych, ale miał wrażenie, że z tym żaden nie mógł się równać.

Wyścigi zgromadziły śmietankę towarzyską Santa Barbara. Wokół lśniły futra i brylanty. Richard zatrzymał się obok Meredith ubranej w błękitną suknię i kapelusz z szerokim

rondem. Podał siostrze kieliszek szampana i sam wzniosł drugi.

- Twoje zdrowie, siostrzyczko. Zdaje się, że te wyścigi rzeczywiście przyniosą spory dochód twojej fundacji.

- T o cudowne, prawda? Liczyłam, że wszystko pójdzie~ dobrze, ale nigdy nie marzyłam o czymś takim. - Z marzeń niewiele wynika. Trzeba się nad nimi nieźle napracować.

Meredith roześmiała się, słysząc z ust Richarda własne słowa, a potem obrzuciła brata szybkim spojrzeniem.

- Coś nie tak? Zapomniałem zapiąć ... ?

- Nie - odparła ze śmiechem. - Oglądam tu wszystkich, a teraz rzuciłam okiem na ciebie i mogę z zadowoleniem stwierdzić, że jesteś najlepiej ubranym mężczyzną.

- Broń Boże, żeby' ojciec to usłyszał.

Meredith znowu wybuchnęła śmiechem, ale potem spoważniała w mgnieniu oka.

- No, Richie - odezwała się. - Znikaj. Rozpłyń się w powietrzu. Schowaj się do mysiej nory. Rób, co chcesz.

- Spokojnie, laleczko - odezwał się Richard, naśladując Luke'a. - Nic się nie dzieje.

A potem obejrzał się za siebie. O parę metrów od nich stała

jego matka, lady Simpson.

ROZDZIAŁ

25

Chwała Bogu, jeszcze go nie zauważyła. Ani ona, ani kiwająca się u jej boku babka. Richard dałby głowę za to, że w plastikowym kubeczku babki znajduje się whisky z wodą sodową.

Każdy farbowany włos na głowie pani Barton-Forbes ułożony był z nienaganną precyzją. W uszach miała szafiry i brylanty podarowane jej przez dziadka z okazji czterdziestej rocznicy ślubu. Na obwisłej szyi błyszczała brylantowa kolia. Babka miała sześćdziesiąt osiem lat, wyglądała na osiemdziesiąt.

Obok nich stała Alfreda, z pogardą mierząca wzrokiem amerykańskich nuworyszy, bez kilkusetletniego drzewa genealogicznego. Jej wymalowaną twarz ocieniał kapelusz z szerokim rondem. Dla tego miała krótki czerwony kostium i farbowane na czerwono futerko na ramionach. Patrząc na nią, Richard nie mógł nie zastanowić się, jak to było możliwe, że

tak długo nie widział w niej tego, czym naprawdę była - zneurotyzowanej nimfomanki w najlepszym razie; a w najgorszym - zwykłej dziwki.

~ ego matka była niewiele lepsza. Zepsuta, wiecznie wściekła, próżna jędza. A jednak wiedział, że pomimo obojętności, zjaka go ~raktowała, pomimo jej sztuczek i manipulacji, nie potrafi przestać jej kochać. Tak jak nie pqrtrafił oprzeć się wrażeniu, że jej czarna suknia i naszyjnik z pereł i brylantów są w zdecydowanie lepszym stylu niż stroje babki i Alfredy. Patrząc na stojącą profilem matkę, porównywał jej rysy z zapamiętanym obrazem własnej twarzy. Chwała Bogu, pomyślał, nie mam z niej nic prócz nosa. —

Wydatne usta lady Simpson były zaciśnięte, znamionując niezadowolenie. Jej zielone oczy cały czas niespokojnie penetrowały okolice. W chwili gdy przemknęły obok, nie dostrzegając go, Richard poczuł, że serce więźnie mu w krtani.

Jego sen stawał się jawą. Teraz dopiero zrobił to, do czego zachęcała go Meredith, ujął siostrę pod rękę i ruszył w przeciwną stronę.

- Gdzie jest Susan?

- Na wybiegu z wujkiem Lorenem. Szykują Ban-

nera do biegu.

- Muszę ją ostrzec.

- Richard - Meredith' stanęła w miejscu i zmusiła go, żeby spojrzał jej w oczy - czy ty nie powie-, działaś jeszcze Susan, że te jędze ruszyły za tobą w pościg?

- Nie. Nie pat~z tak na mnie. Teraz to nic nie pomoże. Lepiej zorientuj się, gdzie jest Bea. Tylko ona może sobie poradzić z moją matką. Potem znajdź ojca, ale nie mów mu o matce, dopóki nie wlejesz w niego butelki szampana. Ja załatwię spra-. wę z Susano . . - Powodzenia. - Meredith dodała mu otuchy uśmiechem i zniknęła w tłumie.

Ty idioto, ty idioto, powtarzał sobie, przemykając wśród ludzi w kierunku padoków. Wzdłuż trasy ustawiali się już widzowie. Boże kochany, powinien był to wszystko powiedzieć w zupełiie innej chwili!

Richard patrzył na rozstępujących się przed nim ludzi, nie dostrzegając w nich w tej chwili niczego poza błyszczącymi zębami i oczami, klejnotami i dziwacznymi kapeluszami.

Z megafonów rozległ się głos, wzywający do zajęcia stanowisk. Richard poczuł, że po grzbiecie przebiegają mu ciarki.

Kiedy wreszcie dotarł na miejsce, zobaczył wychodzącego

na tor wyścigowy Bannera. Przed nim lekkim, niemal tanecznym krokiem stąpała Lady.

Dookoła było mnóstwo ludzi, ale nigdzie nie mógł dostrzec Susano Co, do diabła; mogło się z nią stać?! Chciał wykrzyknąć jej imię na cały głos. Powstrzymał się i gorączkowo rozglądał się dookoła, wypatrując jedwabnej sukni barwy ametystów, z której tak bardzo pragnął ją wydobyć rano, zanim wyjechali do Roundhouse. Nie zważając na dobre obyczaje, przepychał się między ludźmi w stronę toru wyścigowego, pewny, że wreszcie zobaczy Susano

Nic z tego.

Susan! - krzyczał, nie otwierając ust i nerwowo przeczesując palcami włosy. Susan, kochanie, gdzie jesteś?

W pewnym momencie przed oczami Richarda przepełnął ametystowy obłok. Chciał natychmiast podążyć jego śladem, ale ametyst rozwiął się bez śladu.

Przeklinając pogrążył się na powrót w tłumie. Daleko, przy wejściu do jednego z pawilonów zobaczył Beę, rozmawiającą z lady Simpson. Rozmowa zakończyła się doŚĆ nieoczekiwanie. Matka Richarda popchnęła swoją rozmówczynię na stolik, na którym poustawiane były drinki,

a następnie, zanim oszołomiona Bea odzyskała równowagę, odeszła wraz z towarzyszącymi jej wiedźmami.

Richard usłyszał Wystrzał obwieszczający start.

- Konie poszły - rozległo się z głośników. Tłum się zakochał, a on się wraz z nim, ruszając od nowa na poszukiwanie Susan~

Idioto! - rozległo się w jego głowie, zanim jeszcze zrozumiał w pełni, o co chodzi. Przecież Susan wie, kto będzie zwycięzcą, i spokojnie czeka na mecie!

Zmienił gwałtownie kierunek i puścił się biegiem w stronę mety.

Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył Susan unoszącą się w powietrzu, w ramionach ojca. Oboje z Lorenem śmiali się i krzyczeli coś niezrozumiałego, aż zabrakło im po prostu sił. Rufus prowadził w ich stronę Banneia

- otoczonego niewidocznadla nikogo poza Richardem, Lorenem' i Susan aurą. Na grzbiecie konia siedział roześmiany od ucha do ucha Paulie O'Gilbert. Chłopak promieniał szczęściem.

- Czy to nie miłe? - Richard usłyszał głos Lorena.

- Byłoby znacznie milej, gdyby Richard ... - Susan odwróciła się w pół zdania, i zobaczyła lady Simpson.

A obok niej babkę i była narzeczoną Richarda. Ich obecność sprawiła, że radość z powodu zwycięstwa uleciała bez śladu. Poczuli się dokładnie tak samo jak przed rokiem, kiedy pierwszy raz zobaczyła lady Alfredę. Brzydka i niezgrabna. Tyle, że teraz pierścionek zaręczynowy znajdował się na jej palcu. Susan spojrzała na błyszczący w słońcu ametyst.

- Spokojnie, Susie - usłyszała głos ojca i poczuła jego dłonie na ramionach. - Nie zabijaj jej przy ludziach.

- Nie mam zamiaru - odburknęła, ale Loren i tak wiedział swoje.

Podobnie jak w Londynie, miała ochotę uciec i zniknąć wszystkim z oczu. Richard stanął w miejscu i patrzył na Susan, starając się przekazać jej całą swoją miłość i siłę. Jego sygnał dotarł do celu. Cokolwiek miało się stać, pomyślała Susan, nie będzie się nigdzie chować. Podobnie jak Richard na wybiegu Admirala, może stawić czoło swoim wrogom.

- Niech to szlag trafi! - Przed Susan pojawił się Parker-Harris senior z Beą u jednego i Meredith u drugiego ramienia. - Aż tu ją diabli przynieśli!

Lady Simpson zmierzyła go wzrokiem wyrażającym absolutną pogardę. Po jednej stronie miała dopijającą właśnie

ostatnie krople alkoholu matkę, po drugiej nerwowo skręcającą w palcach koniec kołnierza, Alfredę.

- O, nie! Teraz tego nie zrobisz, Glorio. - Ojciec uwolnił się od córki i żony i ruszył prosto w kierunku lady Simpson.

Richard zbliżał się do Susan. Patrząc na jej pełną napięcia twarz, poczuł pierwszy dreszcz, przebiegający wzdłuż kręgosłupa i zakończony ukłuciem bólu u podstawy czaszki. . . .

- O, tam jest! - usłyszał wrzask babki. - Richard, ty szczeniaku! Chodź tu natychmiast!

- Richie, kochanie - zagruchała słodko Alfreda. Starał się nie zwracać na nie uwagi, odpychał ze swojej drogi ludzi, przedzierając się desperacko w stronę Susano

Ujrzała go w chwili, gdy odsuwał na bok mierzącego w nią z kamery fotografa. Miał naderwaną klapę białej marynarki i urwany guzik, włosy opadały mu na czoło, ale nigdy jeszcze nie wydał się jej równie przystojny.

Uświadomiła sobie, że spełnia się jej kolejne życiowe pragnienie: Banner jako zwycięzca Wyścigów, a obok on~ i Richard.

Wyciągając do niej rękę, Richard poczuł silniejszy dreszcz, przebiegający mu wzdłuż kręgosłupa.

- Dickie! - wrzasnęła jego matka.

- Dickie! - ryknął Richard senior. - Jak ta kobieta śmie nazywać mego syna Dickie!

Richard nie mógł uwierzyć własnym uszom. Po raz pierwszy w życiu ojciec powiedział o nim "mój syn". ■ CO więcej, powiedział to takim tonem, jakby czuł wobec niego coś innego niż tylko pogardę i wieczne niezadowolenie.

- Czy ona zawsze tak do ciebie mówi? .

- Chyba że jest wściekła. Wtedy mówi Richard.

- No, dosyć tego. - Ojciec sapnął jak lokomotywa i ruszył ostro do przodu. .

Richard złapał Susan za rękę.

- Szybko, kochanie. Nie możemy tego przegapić.

To będą najciekawsze zmagania od czasu bitwy pod Waterloo.

Susan nie czuła się już brzydka ani niezgrabna.

Nawet gdyby nie odebrała sygnałów Richarda, dostatecznie wiele mówiły o jej zaletach wściekłość w oczach lady Simpson i śmiertelna zawiść w spojrzeniu lady Alfredy . Poczwała się szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Szczęśliwsza niż w najszcześniejszych snach. Kątem oka dostrzegła Meredith wywalającą język w stronę trzech jędz.

Tymczasem Parker-Harris senior przebił się przez tłum i stanął oko w oko z byłą żoną.

- Będę pani bardzo wdzięczny - odezwał się lodowatym tonem - jeśli nigdy więcej nie nazwie panI mego syna Dickie.

Tym razem Richard nie miał już żadnych wątpliwości. W tonie, jakim jego ojciec wymawiał słowa "mój syn", słyhać było wyraźną dumę. Dumę i coś więcej. Miłość? - pomyślał zdumiony tym odkryciem.

- Jest oh w równej mierze moim synem jak twoim

- odparła pełnym wściekłości tonem lady Simpson.

- Inie za»lierzam się stąd ruszyć bez niego.

- Owszem, mamO. Raz w żyCiu zrezygnujesz ze swoich zamiarów. ■ w dodatku nie zrobisz nam tutaj sceny.

- Ja miałabym zrobić scenę? - Lady Simpson rzuciła mu niebezpiecznie spokojne spojrzenie. - To ra czej ty z tym krzywonogim brzydactwem zjednej i tym potwornym rudzielcem z drugiej strony stajesz się po-' śmiewiskiem.

Susan tylko przez moment poczuła ból. Uniosła lewą rękę, pozwalając, aby pierścień z ametystem sam przemówił za siebie.

.Zupełnie inaczej zachowała się Meredith, do której skierowana była pierwsza część jadowitej przemowy. -

Krzywonogie brzydactwo! - krzyknęła i bez żadnego szacunku zamachnęła się na lady Simpson.

Matka Richarda zdołała uniknąć jej ciosu. Nie udało jej się natomiast uniknąć uderzenia, które wymierzyła jej torebką wściekła Bea. Lady Simpson zatoczyła się i wpadła na babkę.

(. Kompletnie pijana pani Barton-Forbes poleciała pod ciężarem córki na Alfredę i w rezultacie wszystkie trzy znalazły się na ziemi. Richard zobaczył z prawdziwym zdumieniem, że Bea, słodka, łagodna Bea, która nigdy nie podniosła na nikogo głosu, szykuje się, żeby zadać kolejny cios.

- Wal, mamó - zachęciła ją Meredith.

- Beatrice! - Parker-Harris senior usiłował nadać swemu głosowi ton oburzenia, ale Richard widział wyraźnie, że ojciec jest wręcz zachwycony ..

-:- ~ea - odezwał się łagodnie Loren, ujmując ją za łoklec.

- Trzymaj się z dala, Loren! - Bea energicznie wyrwała mu rękę. -'Przez dwadzieścia pięć lat znosiłam cierpliwie tę cholere z jej odgrazaniem się, pogroźkami i bredzeniem. Mam prawo załatwić nasze sprawy do końca! Wstawaj,

Glorio! To jeszcze nie koniec.

Lady Simpson z trudem podniosła się z ziemi.

Obciągnęła zadartą spódnicę i z nienawiścią spojrzała na swoją przeciwniczkę. Złamał jej się obcas i miała wyraźne trudności z uchwyceniem równowagi.

- Mamo, zrób coś! - krzyknęła. Richard musiał przyznać, że babka nie traciła przytomności umysłu. Odepchnęła na bok łkającą jak na filmie Alfredę i podała córce laskę.

- Masz!

- Richard! - Susan popchnęła, Richarda w stronę kobiet. Parker-Harris junior wszedł między lady Simpson i Beatrice, ~choć w głębi duszy miał wielką ochotę zobaczyć, jak Bea załatwia swoje stare porachunki.

- No nareszcie. Jak mogłeś w ogóle pozwolić, żeby ta obrzydliwa kreatura tak mnie upokorzyła!

- Obrzydliwa kreatura! - Bea natychmiast zamachnęła się torebką, ale w tym samym momencie Loren objął ją ramionami i odsunął na bok.

- Ta obrzydliwa kreatura była dla mnie matką w większym stopniu, niż ty kiedykolwiek potrafiłaś nią być. A krzywonożenie brzydactwo jest moją siostrą ... - Przyrodnią - oświadczyła lady Simpson lodowatym tonem.

- Siostrą - powtórzył Richard. - Natomiast potworny rudzielec jest ni mniej, ni więcej tylko moją narzeczoną i dobrze ci radzę uważać, żebyś od tej pory nie zwracała się do niej inaczej niż Susano

- Jak śmiesz odzywać się do mnie takim tonem!

- Lady Simpson uniosła rękę, aby wymierzyć mu policzek.

- Uważaj, bo nie dostaniesz zaproszenia na ślub ..

- Richard chwycił matkę za rękę. - Babciu, zabieraj się do domu, nic tu po tobie. A ty - spojrział na bladą jak ściana Alfredę - idź do diabła!

Potem pocałował matkę w policzek, odwrócił się i podszedł do Susano Nikt się nie odezwał.

Kątem oka dostrzegł, że Meredith przytula się do ojca, który z kolei obejmuje ramieniem Beatrice. Za nimi zobaczył uśmiechniętą dobrodusznie twarz Lorena. Ostatnią osobą, na której spojrzenie Richarda zatrzymało się na dobre, była Susano Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem. Jej oczy błyszczały dokładnie tak samo, jak w momencie ich pierwszego spotkania.

-Richard poczuł, że wreszcie opuszcza go napięcie, które towarzyszyło mu od tak dawna i które zrosło się z nim -tak

mocno, że już nawet go nie zauważał. Nareszcie miał swoje miejsce na ziemi. I zawdzięczał je ludziom, którzy wbrew wszystkiemu, przede wszystkim wbrew jemu samemu, naprawdę go kochali.

Richard objął Susan ramieniem. Zamknął oczy i poczuł zapach lawendy. Kiedy z powrotem uniósł powieki, zobaczył przed sobą Luke'a Hardina prowadzącego Lady. Oboje wyraźnie przygnębionych doznana porażką.

- Nie pocałujesz mnie? ~ spytała Susano

- Za moment, muszę najpierw coś załatwić. Hej,

Luke!

Luke odwrócił się do nich i uniósł słoneczne okulary. Jego oczy były pełne smutku.

- Szukam konia - wyjaśnił Richard. - Marniutka ta twoja klaczka, ale dam ci za nią jedenaście tysięcy trzysta sześćdziesiąt dolców. Co ty na to?

Lady zarżała urażona i poderwała łeb. Richard puścił do niej oko.

Luke wydał wargi i udawał, że się namyśla. Dopiero, kiedy napotkał proszący wzrok Meredith, mina mu się rozjaśniła.

- Widzę, że jestem w mniejszości. Czworooki, stary kumplu, coś ci powiem - zaczął z szerokim uśmiechem - jeżeli uda ci

się na niej pojechać, jest twoja.

- Mądra decyzja, Baryło, stary ośle. Podsadź mnie.

- Richard - Susan złapała go za ramię - nie chcę

Lady, chcę ciebie.

Tutaj i teraz, wyczytał Richard w jej ametystowych oczach. Dokładnie to samo, co wyszeptał jej do ucha przed trzema dniami w stajni.

- Nie martw się. Wiem, co robię.

- Wielki Boże!

Susan usłyszała krzyk lady Simpson i obejrzała się w samą porę, żeby zobaczyć, jak jej przyszła teściowa osuwa się na rękę Alfredy. Nie potrafiła się zdobyć "na współczucie i przesłała szeroki uśmiech Richardowi, który najspokojniej w świecie dosiadł Lady.

- No nieźle, pistolecie! - zawołała. - Zaczynam wierzyć, że naprawdę wiesz, co robisz.

A potem nie zwracając już na nikogo uwagi, zrzuciła eleganckie pantofle i podbiegła do niego. Chwyciła wyciągniętą rękę Richarda, wsadziła nogę w strzemię i wspięła się na grzbiet Lady.

Objęła Richarda w pasie i przytuliła się policzkiem do jego pleców. Kiedy mijali Lorena, przesłała mu uśmiech, ojciec

odpowiedział uśmiechem i pomachał im kapeluszem.

Lady szybko oddaliła się od hałaśliwego tłumu, zmierzając prosto do swojej stajni. Gdy byli na miejscu, Richard zeskoczył z siodła i otworzył drzwi. Kiedy znaleźli się wewnątrz, wszystkie konie odwróciły się w ich stronę. Susan dojechała na grzbiecie Lady do boksu, który klacz dzieliła z Szatanem, i zeskoczyła na ziemię. Kiedy Richard rozpiął popręgi i zdjął siodło, okryła klacz derką i wprowadziła ją do boksu. Szatan powitał swoją towarzyszkę donośnym rżeniem.

Richard zbliżył się do Susan, objął ramionami i pocałował. Całował ją przez cały czas, gdy zamykał furtkę, gdy prowadził ją do sąsiedniego, pustego boksu, gdy zsuwał z niej suknię i gdy układał ją na rozłożonej na sianie derce.

Czekała na niego, ale on nie wziął jej, tylko zaczął błądzić rozchylonymi ustami po wszystkich jej łagodnych wypukłościach, po wszystkich cudownych i tajemniczych zakamarkach jej ciała. Kiedy w końcu spełnił się sen, oczy Susan miały barwę najszlachetniejszego ametystu.

- To nie ja ściągnąłem tutaj matkę - przypomniał sobie w końcu. - Razem z babką i Alfredą polowały na mnie już od tygodnia. Nie chciałbym, żebyś podejrzewała ...

- Nic nie podejrzewam - szepnęła, kładąc mu palec na

ustach. - Ja wiem.

- Och, Susano - Richard ujął ją za rękę i pocałował. -
Chociaż raz mogłabyś pozwolić mi wyrazić myśli do końca.

